

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



**Karol Dickens**

**Kolęda**

**Świerszcz za kominem**

**Wydawnictwo „Tower Press”**

**Gdańsk 2001**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

**Kolęda prozą**  
**czyli**  
**opowieść wigilijna o duchu**

## Strofka pierwsza

### Duch Marleya

A więc zacznijmy od tego, że Marley już nie żył. Okoliczność ta nie nasuwała żadnych wątpliwości. Akt zgonu podpisali: pastor, urzędnik parafii, przedsiębiorca pogrzebowy i główny żałobnik, czyli Scrooge. Podpis zaś Scrooge'a na giełdzie londyńskiej cieszył się zawsze zaufaniem, cokolwiek ów zechciał podpisać.

Stary Marley był martwy jak ćwiek w drzwiach.

Otóż ani myślę twierdzić, jakobym ja osobiście wiedział, dlaczego ćwiek w drzwiach jest czymś szczególnie martwym. Skłonny byłbym raczej uważać ćwiek w trumnie za najbardziej martwy artykuł w handlu żelastwem. Ale w porównaniu tym zawarta jest mądrość naszych przodków i nie wolno mi na taką świętość podnosić niegodnej ręki, gdyż wtedy kraj nasz zejść by mógł na psy. Pozwólcie więc, że powtórzę z naciskiem: Marley był martwy jak ćwiek w drzwiach.

Czy Scrooge wiedział, że Marley nie żyje? Naturalnie. Jakże by mógł nie wiedzieć? Scrooge i Marley prowadzili wspólnie interesy od nie wiem jak dawna. Scrooge był jedynym wykonawcą jego testamentu, jedynym zarządcą majątku, jedynym spadkobiercą i beneficjentem, jedynym przyjacielem i jedynym człowiekiem, który szedł za jego trumną. Ale widocznie nawet Scrooge nie wziął sobie tak bardzo do serca tego smutnego przypadku, gdyż w dniu pogrzebu raz jeszcze dowiódł, jak znakomitym jest kupcem, i uczcił żałobną uroczystość nadzwyczaj korzystną transakcją.

Wzmianka o pogrzebie Marleya przypomniała mi to, od czego zacząłem. Otóż jest rzeczą najpewniejszą w świecie, że Marley już nie żył. Należy to dobrze zapamiętać, bo inaczej zdarzenia, które zamierzam opowiedzieć, wcale nie będą niezwykle. Gdybyśmy nie mieli absolutnej pewności, że ojciec Hamleta umarł, zanim zaczęło się przedstawienie, jego nocna przechadzka w podmuchach wschodniej wichury po wałach własnego zamku nie wydałaby nam się bardziej osobliwa niżli spacer tego czy owego dżentelmena w średnim wieku, który nocą pojawiłby się niespodzianie w jakimś wietrznym miejscu – powiedzmy na cmentarzu przy katedrze św. Pawła – po to tylko, aby przestraszyć swego niezrównoważonego syna.

Scrooge nie kazał zamalować nazwiska starego Marleya na szyldzie, więc długie jeszcze lata po śmierci wspólnika widniał napis nad składem: „Scrooge i Marley”. Firma znana była powszechnie jako dom handlowy Scrooge'a i Marleya. Niekiedy nowi klienci zwali Scrooge'a Scrooge'em, niekiedy zaś Marleyem, ale on godził się na oba nazwiska. Było mu wszystko jedno.

Och, twardą miał rękę ten Scrooge i umiał wyciskać pot z ludzi. Chciwy, chytry, łapczywy stary grzesznik dusił i ze skóry obdzierał swoje ofiary. Twardy był i ostry jak krzemień, z którego żadna stal nie zdołałaby wykrzesać ani jednej iskierki szlachetnego ognia. Skryty, zamknięty w sobie i żyjący samotnie jak kołek. Oziębłość natury zmroziła jego stare rysy, wyostrzyła długi nos, pokryła bruzdami policzki, obwiodła oczy czerwoną obwódką, zabarwiła sinością wąskie wargi, dźwięczała ostrą nutą w zgrzytliwym głosie, usztywniła chód. Biały szron osiadł mu na głowie, na brwiach i na brodzie. Nie rozstawał się nigdy z tym swoim własnym, osobistym zimnem; mroził powietrze w kantorze podczas letnich upałów i pilnował, aby ów mróz nie zelżał nawet w dniu Bożego Narodzenia.

Zmiany atmosferyczne niewielki miały wpływ na Scrooge'a. Najgorętszy letni skwar nie mógł go rozgrzać, najostrejszy mróz nie mógł go oziębic. Nie było wichury srozszej niż on, nie było śnieżyca bardziej zawziętej ani niemiłosierniejszej ulewy. Niepogoda nie wiedziała, z której strony go ugodzić. Deszcze, śnieg i grad mogły się chlubić jedną tylko nad nim przewagą: często spadały na ludzi hojnie, Scrooge zaś nigdy nikomu nie okazał hojności.

Nikt nigdy nie zatrzymał go na ulicy i nie spytał przyjaźnie: – Jakże się miewasz, drogi Scrooge? Kiedy mnie odwiedzisz? – Żebracy nie prosili go o jałmużnę, dzieci nie pytały o godzinę, nigdy w całym życiu Scrooge'a żaden mężczyzna ani żadna kobieta nie spytała go o drogę. Poznawały się snadź na nim nawet psy ociemniałych ludzi, bo gdy nadchodził, ciągnęły swych panów do sieni czy na podwórza domów i tam machały ogonami, jak gdyby chcąc powiedzieć: – Lepiej, niewidomy panie, żeby człowiek wcale nie widział, niż żeby mu tak źle z oczu patrzyło.

Ale Scrooge się tym nie przejmował. Tego właśnie pragnął. Kroczyć samotnie po tłocznej ścieżce życia i odstraszać wszelką ludzką życzliwość – ach, dla Scrooge'a było to tym, co ludzie znający się na rzeczy zwa „istną delcją”.

Pewnego razu – spośród wszystkich innych zacnych dni w roku w samiotką wilię Bożego Narodzenia – Scrooge siedział przy pracy w swym kantorze. Było to popołudnie dokuczliwe, mroźne, mgliste. Scrooge słyszał, jak ludzie na podwórzu przechadzają się tam i sam pohukując, bijąc rękami w piersi i przytupując dla rozgrzewki. Zegary na wieżach dopiero co wybiły trzecią, ale mrok spowił już miasto – zresztą dzień cały był ciemny – i w oknach sąsiednich biur jarzyły się świece, podobne krwistym smugom w ciężkim, brunatnym powietrzu. Mgła wciskała się do pomieszczeń przez wszystkie szpary i dziurki od kluczy, na zewnątrz zaś wisiała tak gęsta, że choć podwórze było bardzo wąskie, domy naprzeciw majaczyły niczym jakieś zjawy. Patrząc na owe brudne kłęby mgły spływającej na ziemię i przesłaniającej wszystko dookoła, śmiało można było pomyśleć, że pani natura mieszka gdzieś w bliskim sąsiedztwie i warzy właśnie ogromne kadzie piwa.

Drzwi kantoru Scrooge trzymał otwarte, aby bezustannie mieć na oku swego kancelistę, który w posępnej małej norze, raczej studni niżli izbie, kopiował listy. W pokoju Scrooge'a palił się na kominie skąpy ogień, lecz ogień w izdebce jego pomocnika był tak mały, że tlił się chyba jeden najwyżej węgielek. Ale biedak nie mógł ognia podsycać, bo skrzynka z węglem stała w pokoju Scrooge'a, pewne zaś było jak amen w pacierzu, że jeśli kancelista zbliży się z szufelką, jego pryncypał wraz mu oznajmi, iż będą musieli się rozstać. Przeto kancelista, opatuliwszy się białym włóczkowym szalem, usiłował ogrzać członki przy płomieniu świecy; że jednak nie miał bujnej wyobraźni, usiłowania te okazały się daremne.

– Wesółych świąt, wujaszku. Niech cię Bóg ma w swej opiece – zawołał czyjś wesóły głos. Głos ten należał do siostrzeńca Scrooge'a, który zjawił się tak niespodziewanie, że Scrooge spostrzegł jego obecność wtedy dopiero, kiedy młodzieniec przemówił.

– Hm! – mruknął Scrooge. – Bzdura!

Szybki ruch na mrozie i wśród mgły tak rozgrzał siostrzeńca Scrooge'a, że aż biła od niego luna. Urodziwa twarz młodego mężczyzny pałała, oczy skrzyły się, a gdy znów przemówił, z ust buchnęły kłęby pary.

– Święta nazywasz bzdurą, wujaszku? Pewien jestem, że w głębi duszy tak nie myślisz.

– A właśnie, że myślę – odparł Scrooge. – Wesółych świąt! Też mi pomysł! Jakie masz prawo być wesółym? Jakie masz do tego podstawy? Taki biedak!

– Zgoda, wujaszku – zawołał wesóło młodzieniec. – Ale w takim razie jakie ty masz prawo być ponurym? Jakie masz podstawy do smutku? Taki bogacz!

Nie znajdując innej odpowiedzi Scrooge mruknął: – Hm! – Po czym dodał: – Bzdura!

– Nie bądźże taki zły, wujaszku – rzekł siostrzeniec.

– Jakże mogę nie być zły – odparł ostro Scrooge – skoro żyję w świecie zaludnionym przez głupców? Wesółych świąt! Do licha z wesółymi świątami! Czymże innym są dla ciebie

święta Bożego Narodzenia, jak terminem płacenia rachunków, na które nie masz pieniędzy? Z każdym Bożym Narodzeniem stajesz się o rok starszy, ale nie jesteś ani o pensa bogatszy. W dniu tym przeprowadzasz bilans swych ksiąg handlowych i widzisz, że każda pozycja z ubiegłych dwunastu miesięcy jest oskarżeniem dla twej lekkomyślności. Gdybym mógł postąpić wedle swej woli – dodał Scrooge z gniewem w głosie – każdy dureń, który chodzi po ludziach z życzeniami wesołych świąt, zostałby ugotowany w swoim własnym świątecznym puddingu i pochowany z gałązką ostrokrzewu zatkniętą w serce. Nie inaczej!

– Wujaszku! – rzekł prosząco siostrzeniec.

– Siostrzeńcze! – odparł ostro Scrooge. – Obchodź sobie dzień Bożego Narodzenia po swojemu, mnie zaś pozwól go święcić na mój własny sposób.

– Święcić – powtórzył siostrzeniec. – Przecież ty go, wujaszku, wcale nie święcisz.

– Pozwól więc, że nie będę sobie tymi świętami zawracał głowy – warknął Scrooge. – Wiele dobrego ci one w tym roku przyniosą! Albo też wiele dobrego przyniosły ci w latach ubiegłych!

– Wydaje mi się – odparł siostrzeniec – że istnieją rzeczy, które wiele przyniosły mi dobrego, acz nie dały mi żadnych materialnych korzyści. Boże Narodzenie do nich właśnie należy. Ale myślałem zawsze i nadal myślę o każdym zbliżającym się dniu Bożego Narodzenia – niezależnie od czci, jaką budzi w nas sama nazwa tych świąt, oraz ich istota, jeśli sprawy te w ogóle dadzą się rozdzielić – jako o dniach błogich, dniach przepelnionych dobrocią, duchem miłosierdzia, dniach radosnych. Jako o jedynych znanych mi dniach pośród całego długiego roku, kiedy mężczyźni i kobiety, niejako na podstawie milczącej ugody, otwierają szeroko swe serca i zdają się traktować ludzi niżej od siebie stojących tak, jak gdyby naprawdę byli to ich towarzysze wspólnej wędrówki do grobu, nie zaś inna rasa istot zdążających w innym zgoła kierunku. Dlatego więc, wujaszku, choć dzięki świętom tym nie wzbogaciłem się ani o jedną sztukę srebra czy złota, to przecie wiem, że przyczyniły mi one wiele dobrego i w przyszłości wiele dobrego mi przyniosą. I dlatego mówię zawsze: niech będą błogosławione!

Kancelista w ciemnej norce mimo woli przyklasnął tym słowom. Zrozumiawszy zaś natychmiast niewłaściwość swego postępowania, zaczął poprawiać ogień i całkiem zadusił ostatnią słabiutką iskierkę.

– Niech jeszcze raz pana usłyszę – warknął Scrooge – a obchodząc święta Bożego Narodzenia będzie się pan musiał obejść bez pracy w moim kantorze. Znakomity z ciebie mówca – dodał zwracając się do siostrzeńca – i dziwię się doprawdy, że nie zasiadasz dotąd w parlamencie.

– Nie złośćcie się już, wujaszku. Przyjdź do nas jutro na obiad.

Scrooge powiedział, że pierwiej wołałby... Naprawdę tak powiedział. Nie oszczędził siostrzeńcowi ani jednego słowa w swym złorzeczeniu i powiedział, że pierwiej wołałby go ujrzeć na marach.

– Ale dlaczego mi odmawiasz, wuju? – zawołał młodzieniec. – Dlaczego?

– Dlaczegoś się ożenił? – spytał Scrooge.

– Bo się zakochałem.

– Zakochałeś się! – warknął urągliwie Scrooge, jak gdyby miłość była jedyną rzeczą na świecie bzdurniejszą od świąt Bożego Narodzenia. – Żegnam!

– Kiedy przecie, wujaszku, nigdy mnie nie odwiedzałeś, zanim się ożeniłem. Czemu więc podajesz teraz jako powód odmowy moje małżeństwo?

– Żegnam! – powtórzył Scrooge.

– Niczego od ciebie nie chcę, wujaszku, o nic cię nie proszę. Dlaczego więc nie mielibyśmy być przyjaciółmi?

– Żegnam!

– Przykro mi, naprawdę mi przykro, żeś taki, wujaszku, nieustępliwy. Nigdy nie było między nami sprzeczki, którą ja bym spowodował. Świąteczny nastrój skłonił mnie do jeszcze jednej próby przełamania twojego oporu, w tym samym więc świątecznym nastroju powtórzę: wesołych świąt, wujaszku!

- Żegnam!
- I pomyślnego Nowego Roku!
- Żegnam!

Siostrzeniec Scrooge'a opuścił pokój bez jednego gniewnego słowa. Przy drzwiach zatrzymał się i złożył życzenia kanceliście, który choć zziębnięty, więcej snadź miał w sobie ciepła niżli Scrooge i serdecznością odwzajemnił się młodzieńcowi!

Słyszając to Scrooge wymamrotał: – Drugi taki sam obłąkaniec. Zachciewa mu się mówić o wesołych świętach, choć zarabia piętnaście szylingów na tydzień, choć ma na karku żonę i dzieci. Słowo daję, skończę w domu wariatów!

Otworzywszy drzwi, aby wypuścić siostrzeńca Scrooge'a, obłąkaniec ów wpuścił do kantoru dwóch obcych jegomościów. Byli to panowie o nader godnej i miłej dla oka powierzchowności, którzy stanawszy przed Scrooge'em z plikiem ksiąg i papierów w rękach, zdjęli kapelusze i przejmie mu się skłonili.

– Firma Scrooge i Marley, jeśli się nie mylę? – przemówił jeden z nich sprawdzając nazwiska na liście. – Czy mam przyjemność mówić z panem Scrooge'em, czy też z panem Marleyem?

– Pan Marley zmarł dokładnie przed siedmiu laty – odparł Scrooge. – Dziś w nocy minie siedem lat od jego śmierci.

– Nie wątpię, że jeśli idzie o hojność, zmarły znalazł godnego następcę w swym wspólniku – rzekł tenże jegomość. Co powiedziawszy wręczył Scrooge'owi dokument określający cel jego odwiedzin.

I słusznie rzekł obcy jegomość, bo Scrooge i Marley były to bliźniacze dusze. Słyszając złowróżbny wyraz „hójność”, Scrooge zmarszczył brwi, potrząsnął głową i zwrócił obcemu dokument.

– W przededniu świąt tak uroczystych – odezwał się teraz obcy biorąc do ręki pióro – jest rzeczą szczególnie pożądaną, abyśmy okazali pomoc biednym i potrzebującym, którzy o tej porze roku cierpią bolesny niedostatek. Tysiące ludzi pozbawione są najniezbędniejszych środków do życia, setki zaś tysięcy żyją na granicy nędzy.

– Czyżby nie było więzień? – spytał Scrooge.

– Jest ich aż nazbyt wiele – odparł obcy jegomość odkładając pióro.

– A domy pracy? – dopytywał się Scrooge. – Czy nadal istnieją?

– Owszem, istnieją – odparł zapytany. – Chociaż wolałbym móc powiedzieć, że jest inaczej.

– Z czego wynika, że kieraty w więzieniach są czynne, a prawo ubogich wciąż obowiązuje? – indagował Scrooge.

– Jak najbardziej, proszę pana.

– Och, słysząc pańską wypowiedź sprzed chwili, powzięłem obawę, że coś wstrzymało ich pożyteczną działalność. Cieszę się, że tak nie jest.

– W przekonaniu, że instytucje te – ciągnął nieznajomy – nie zaspokajają, jak zgodnie z duchem chrześcijaństwa czynić powinny, ani moralnych, ani cielesnych potrzeb wielkich rzesz nędzarzy, kilku spośród nas postanowiło zebrać fundusz, za który pragnęlibyśmy zakupić dla ubogich jadło, odzienie i opał. Wybraliśmy tę porę roku, ponieważ podczas świąt Bożego Narodzenia bieda najboleśniej daje się ludziom we znaki, dostatek zaś szczególnego przyczynia im wesela. Jaką sumę mam zapisać przy pana nazwisku?

– Nijaką! – warknął Scrooge.

– Ach, życzy pan sobie być bezimiennym ofiarodawcą?

– Życzę sobie, aby mnie pozostawiono w spokoju. Skoro mnie panowie pytacie, czego sobie życzę, oto moja odpowiedź. Sam nie obchodzę świąt Bożego Narodzenia i nie stać mnie na to, abym umiłał życie próżniakom. Łożę na instytucje, o których wspominałem, dość mnie one kosztują. Tam niech się więc udadzą ci; co nie mają środków do życia.

– Dla wielu nie starcza miejsca w przytułkach, inni znów wolą raczej śmierć niżli dom pracy.



– Jeśli wola śmierć – odparł Scrooge – niechże umrą czym prędzej i w ten sposób zmniejszą nadmiar ludności na świecie. Zresztą proszę mi wybaczyć, ale sprawy te są mi najzupełniej obce.

– Mógłby się pan z nimi zaznajomić.

– Nic mnie one nie obchodzą – odparł ostro Scrooge. – Byłoby najlepiej, gdyby każdy z nas pilnował swoich interesów i nie wtrącał się do cudzych. Moja praca pochłania mnie całkowicie. Żegnam panów.

Widząc, jak próżne są ich perswazje, dwaj panowie wyszli. Scrooge, którego mniemanie o sobie samym nadzwyczajnie wzrosło, podjął pracę w znacznie weselszym niż zwykle usposobieniu.

Tymczasem mgła tak bardzo zgęstniała, że na ulice wylegli mężczyźni z płonącymi pochodniami w rękę i ofiarowywali się iść przed końmi powozów i pokazywać drogę woźnicom. Stara wieża kościoła, której wiekowy, ochryply dzwon zerkał chytrze na Scrooge'a przez gotyckie okno w murze, całkiem zniknęła we mgle i mroku i tylko słychać było dzwon wydzwaniający w chmurach godziny i kwadransy. Po każdym dźwięku niesło się w powietrzu brzękliwe drganie, jak gdyby przemarznięta wieża zębami szczykała z zimna. Mróz stawał się coraz dokuczliwszy.

Robotnicy naprawiający przewody gazowe na głównej ulicy, tuż u wylotu podwórza, rozpalili duże ognisko w mosiężnym koszu, wokół którego zebrała się spora gromadka obszarpanych mężczyzn i wyrostków; biedacy grzali ręce i mrużąc oczy wpatrywali się z lubością w jaskrawe płomienie. Woda kapiąca z kranu, o którym wszyscy snadź zapomnieli, ścinała się po chwili w ponure i dziwnie nieżycziwe sople lodu. Blask bijący od wystaw sklepowych, gdzie w ciepłe lamp trzaskały wesoło obsypane jagodą gałązki ostrokrzewu, barwił czerwienią blade twarze przechodniów. To, co się działo w sklepach z drobiem i żywnością, należałoby nazwać raczej pyszną zabawą niżli handlem; przewijał się przez nie korowód tak wspinały, że trudno wprost było uwierzyć, aby prozaiczne zasady sprzedaży i zysku mogły mieć z tym szaleństwem cokolwiek wspólnego. Lord Major w murach swego okazałego domostwa wydał polecenia pięćdziesięciu kucharzom i lokajom, aby urządzili święta godne domu wielkiego dostojnika; a nawet biedny krawiec, którego Lord Major skazał w ubiegły poniedziałek na pięć szylingów grzywny za pijaństwo i burdę uliczną, mieszał na swym poddaszu świąteczny pudding, podczas gdy jego chuda żona z dziecieniem na rękę poszła do rzeźnika po wołowinę.

Coraz zimniej, coraz gęstsza mgła. Ostry, bezlitosny, szczypiący mróz. Gdyby zacny św. Dunstan<sup>1</sup>, miast użyć zwykłej swej broni, dmuchnął takim mrozem złemu duchowi w nos, ów ani chybi ryknąłby wniebogłose. Pewien młodociany posiadacz perkatego nosa, który to nos zgłodniałe mrozisko szczypało mu i gryzło tak niemal żarłocznie, jak psy obgryzają kości, pochylił się przy dziurce od klucza w drzwiach kantoru, aby uraczyć Scrooge'a kolędą. Ale już przy pierwszych słowach strofki:

Niech Bóg ci błogosławi, dobry panie.

Niech smutek nie ma do ciebie dostępu...

Scrooge ruchem tak zwawym pochwycił linijkę, że mały śpiewak uciekł pozostawiając dziurkę od klucza owej jakże dobranej parze – mgle i zimnu.

Wreszcie nadeszła godzina zamknięcia kantoru. Scrooge niechętnie wstał ze stołka i w milczeniu skinął na wyczekującego niecierpliwie tej chwili kancelistę, który natychmiast zgasił świecę i włożył na głowę kapelusz.

– Zapewne chcesz pan mieć jutro cały dzień wolny od pracy? – spytał Scrooge.

---

<sup>1</sup> Legenda podaje, że święty Dunstan, arcybiskup Canterbury, patron złotników, chwycił diabła za nos rozgranymi do czerwoności szczypcami i puścił wtedy, gdy diabeł przyrzekł, że już go nigdy nie będzie nawiedzał.

– Jeżeli to panu dogadza... – odparł kancelista.

– Wcale mi nie dogadza – przerwał Scrooge. – Co więcej, jest to żądanie wręcz nieuczciwe. Gdybym tak potrafił panu z pensji za ten dzień pół korony, uważałbyś pan pewnie, że cię spotkała krzywda? – Kancelista uśmiechnął się blade.

– A jednak nie przyjdzie panu pewnie do głowy, że to mnie spotyka krzywda, kiedy płacę pełne wynagrodzenie za dzień wolny od pracy?

Kancelista rzekł nieśmiało, że zdarza się to tylko raz do roku.

– Kiepska wymówka dla kogoś, kto każdego 25 grudnia okrada cudzą kieszeń – ciągnął Scrooge zapinając paltot aż pod brodę. – Ale trudno, będziesz pan miał dzień wolny. Za to nazajutrz staw się wcześniej do pracy.

Kancelista przyrzekł, że nie omieszka przybyć wczesnym rankiem, po czym Scrooge wyszedł mrucząc coś pod nosem. Kantor został zamknięty w mgnieniu oka i kancelista, owinąwszy szyję długim białym szalikiem, którego końce dyndały mu poniżej pasa (nie mógł się bowiem poszczycić posiadaniem płaszcza), zjechał na końcu długiego łańcuszka chłopców po oblodzonym pagórku na Cornhill razy dwadzieścia, czcząc w ten sposób wieczór wigilijny. Potem zaś pognął najszybciej, jak tylko mógł, do swego mieszkania w dzielnicy Camden Town, aby pobawić się z dziećmi w ślepą babkę.

Scrooge zjadł swój smętny obiad w tej samej co zwykle smętnej jadalni, przeczytawszy zaś wszystkie gazety i uprzyjemniwszy sobie resztę wieczoru sprawdzaniem rachunków bankowych, udał się do domu. Zajmował mieszkanie należące ongiś do zmarłego współnika. Posępne to lokum znajdowało się na piętrze posępnego domu, który stał w głębi podwórza, gdzie tak bardzo był nie na miejscu, iż patrzący nań człowiek zaraz sobie wyobrażał, że bawiąc się w chowanego we wczesnej swej młodości dom ów wbiegł tu i żadną miarą nie mógł odnaleźć powrotnej drogi. Teraz było to już domowisko wiekowe i bardzo ponure, gdyż mieszkał w nim tylko Scrooge, w pozostałych zaś pokojach mieściły się biura. Podwórze zalegała ciemność nieprzenikniona i nawet Scrooge, który znał tu każdy kamień, musiał idąc trzymać się rękami ściany.

Mgła i szron tak szczelnie zasnuły starą bramę, iż zdawać się mogło, że duch niepogody zasiadł na progu w smętnej zadumie.

Otóż jest to fakt niezbity, że kołatka u drzwi nie odznaczała się niczym szczególnym – tym chyba jedynie, że była bardzo duża. Nie ulega także wątpliwości, że odkąd Scrooge mieszkał w tym domu, widywał ją każdego ranka i każdego wieczora; oraz że posiadał tak mało owej cechy szczególnej, zwanej bujną wyobraźnią, jak może żaden inny mieszkaniec Londynu, nie wyłączając nawet – co jest nader śmiałym stwierdzeniem – rajców miejskich, członków cechów i starszyny kupieckiej. Musimy też pamiętać, że Scrooge nie pomyślał o Marleyu ani razu, odkąd tegoż popołudnia napomknął o jego śmierci. A teraz niech mi ktoś wytłumaczy, jeżeli oczywiście potrafi, jak się to stało, że włożywszy klucz do dziurki i spojrzawszy na kołatkę Scrooge miał kołatki zobaczyć – chociaż zjawiska tego nie poprzedziły żadne przemiany – twarz Marleya.

Tak, twarz Marleya. Nie znajdowała się ona bynajmniej, jak inne przedmioty na podwórzu, w nieprzeniknionym mroku. Przeciwnie, promieniowało z niej jakieś posępne światło, jak z zepsutego homara w ciemnej piwnicy. Wyraz tej Marleyowej twarzy nie był ani zagniewany, ani straszny. Spoglądała na Scrooge'a tak, jak ongiś Marley zwykł był na niego patrzeć: spod zsuniętych na widmowe czoło widmowych okularów. Włosy nad czołem drgały w osobliwy sposób, jakby owiane czymś oddechem lub poruszane masą rozgrzanego powietrza; oczy zaś, choć szeroko otwarte, całkiem były nieruchome. Ta martwota oczu i siność skóry czyniły twarz Marleya przerażającą; ale widok jej zdawał się przerażać nie wyrazem rysów, lecz jakby z innych, zgoła niepojętych przyczyn.

I gdy Scrooge wpatrywał się uparcie w to dziwne zjawisko, kołatka na powrót stała się kołatką.

Powiedzielibyśmy nieprawdę twierdząc, że Scrooge nie doznał wstrząsu lub że przestraszył – uczucie obce Scrooge’owi od dzieciństwa – nie ściała mu krwi w żyłach. Mimo to wziął do ręki klucz, który przed chwilą wypuścił, przekreślił go śmiało, wszedł do sieni i zapalił świecę.

Trzeba jednak powiedzieć, że zawahał się, zanim zamknął drzwi, i trzeba także powiedzieć, że wprawdzie zajął za nie ostrożnie, jakby się lękał, że zobaczy tam sterczący do sieni hacrap peruki starego Marleya. Ale na wewnętrznej stronie drzwi nie było nic, prócz śrubek i gwoździ, którymi przymocowano kołatkę, mruknąwszy więc: – Bzdura! – zatrzasnął drzwi.

Cały dom zatrzęsł się jak od grzmotu. Każdy pokój na górze i każda beczka w piwnicy kupca winnego na dole odpowiedziały własnym swoim echem. Scrooge jednak nie należał do ludzi, których byłe echo mogłoby przestraszyć. Zasuwał rygle, przeszedł przez sieni i zaczął powoli wstępować na schody, objaśniając po drodze świecę.

Możecie sobie mówić półzartem o przejażdżce karetą w szóstkę koni po solidnych staroświeckich schodach starej kamienicy lub pomiędzy paragrafami źle sformułowanej ustawy. Otóż zapewniam was, że na te schody moglibyście wtaszczyć – i to wtaszczyć bez trudu – karawan ustawiony w poprzek, dyszlem do ściany, drzwiczkami zaś do poręczy. Nie tylko zmieściłby się, ale zostałyby jeszcze sporo miejsca po bokach. I z tej zapewne przyczyny Scrooge’owi wydało się nagle, że widzi przed sobą w mroku wjeżdżający na schody karawan. Sześć ulicznych lamp gazowych nie oświetliłoby dostatecznie tej sieni, możecie więc być pewni, że łójówka Scrooge’a nie rozpraszała bynajmniej ciemności.

Szedł zatem Scrooge po schodach nic sobie z tych ciemności nie robiąc. Ciemność jest tania, a więc Scrooge ją pochwalał. Ale zanim zamknął ciężkie drzwi mieszkania, obszedł kolejno pokoje sprawdzając, czy wszystko jest w porządku. Wspomnienie twarzy Marleya na tyle było w nim żywe, że nie poniechał tej ostrożności.

Salonik, sypialnia, schowek. Nie ma nikogo pod stołem, nikogo pod kanapą; na kominku pali się mdły ogień, łyżka i talerz przygotowane na stole, mały garnuszek kleiku (Scrooge był trochę przeziębiony) we wnęce komina. Nikogo pod łóżkiem, nikogo w szafie, nikogo w szlafroku wiszącym na ścianie, którego wydęty kształt wydawał się Scrooge’owi mocno podejrzany. W schowku wszystko po dawnemu: stara krata sprzed kominka, stare buty, dwa kosze na ryby, umywalnia na trzech nogach i pogrzebacz.

Uspokojony Scrooge zamknął drzwi na zasuwę, i to na oba spusty, czego zazwyczaj nie robił. Zabezpieczywszy się w ten sposób przed wszelkimi możliwymi niespodziankami, zdjął halsztuk z szyi, włożył szlafrok, ranne pantofle i szlafmycę, po czym usiadł przed kominkiem i zabrał się do owsianki.

Ach, jakże nikły był ten ogień na kominku, doprawdy śmiechu warty w tak mroźną noc. Chociaż Scrooge przysunął się najbliżej jak tylko mógł, czekać musiał długo, zanim z niewielkiej garsteczki węgla przy płynęło ku niemu słabe ciepło. Kominek był staroświecki, wybudowany dawno, dawno temu przez pewnego holenderskiego kupca i wyłożony osobliwymi holenderskimi kaflami, z których każdy przedstawiał inną scenę z Pisma Świętego. Były więc tam rozmaite odmiany Kainów i Ablów, córek faraonów, królowych Sab i aniołów zstępujących z nieba na chmurach niczym puchate pierzynki, dalej Abrahamów, Baltazarów, apostołów, wypływających na morze w łodziach kształtu sosjerek, oraz setki postaci, z których każda mogła przykuć do siebie uwagę Scrooge’a. Mimo to twarz Marleya, zmarłego przed siedmiu laty, zjawiła się przed nim i jak laska starożytnego proroka pochłonęła wszystko. Gdyby kafle kominka były całkiem białe i mogły pokryć się obrazami wyłonionymi ze strzępów beładnych myśli Scrooge’a, na każdym z nich pojawiłaby się podobizna jego zmarłego współnika.

– Bzdura! – mruknął Scrooge i jął przechadzać się po pokoju.

Przemierzywszy kilka razy przestrzeń od ściany do ściany, wrócił na dawne miejsce, a gdy siadając przechylił do tyłu głowę, wzrok jego zatrzymał się przypadkiem na dzwonku, z dawną używanym dzwonku, który w jakimś zapomnianym już obecnie celu łączył pokój

Scrooge'a z izbą na najwyższym piętrze domu. I wtedy to z niewypowiedzianym zdumieniem i przestachem Scrooge spostrzegł, że dzwonek zaczyna się poruszać. Początkowo był to ruch tak nieznaczny, że dzwonek żadnego nieomal nie wydawał dźwięku, wkrótce jednak rozdzwonił się donośnie i wtenczas odpowiedziały mu wszystkie dzwonki w domu.

Trwało to może pół minuty, najwyżej minutę, lecz Scrooge gotów byłby przysiąc, że upłynęła godzina. Dzwonki umilkły tak raptownie, jak raptownie rozbrzmiały. I w tej samej chwili gdzieś głęboko pod podłogą rozległ się jakiś dźwięk brzękliwy, jak gdyby ktoś włókł ciężkie łańcuchy po beczkach w piwnicy winiarza. Wtedy Scrooge przypomniał sobie nagle, że jakoby widma zjawiające się w nawiedzonych domach ciągną za sobą łańcuchy.

Drzwi piwnicy otworzyły się z trzaskiem i brzęk łańcuchów przypląnął do Scrooge'a znacznie wyraźniej – wpraw słyhać go było w sieni na dole, potem na schodach. Potem jął zbliżać się do drzwi jego mieszkania.

– Bzdura! – mruknął Scrooge. – Ani myślę w to uwierzyć!

Zbladł przecie, kiedy nie zadawszy sobie trudu otworzenia masywnych drzwi, brzękliwe widmo weszło do pokoju. Na ten widok zamierający ogień na kominie wystrzelił w górę jasnym płomieniem, jakby wołając: – znam go! Przecież to duch Marleya! – po czym znów przygaśł.

Jego twarz, twarz starego Marleya. Marley w tej samej co ongiś peruce, w tej samej kamizelce, spodniach i butach. Ozdobne chwasty przy butach, dziwnie najeżone, poruszały się lekko, podobnie jak harcap peruki, jak poły surduta i włosy na głowie. Długi łańcuch, który Marley włókł za sobą, opasywał mu kilkakrotnie talię i zwisał za nim niczym ogon. Wykonany był (Scrooge przyjrzał się uważnie) z odrobionych w żelazie kasetek na pieniądze, kluczy, kłódek, ksiąg rachunkowych, aktów kupna i sprzedaży oraz wypchanych sakiewek. Postać Marleya była całkiem przezroczysta, tak że Scrooge spoglądając na kamizelkę, widział poprzez nią dwa guziki na tyle surduta.

Aczkolwiek Scrooge słyszał często, jak ludzie mawiali, że pochłaniany chciwością Marley wypruwał z siebie przy pracy wszystkie flaki, to jednak dopiero teraz w to uwierzył.

Właściwie nadal nie wierzył, choć przeglądał widmo na wskroś i widział je stojące tuż przed sobą; choć przenikał go lodowaty chłód od spojrzenia tych martwych oczu; choć zauważył nawet, z jakiej materii zrobiona jest chustka, której dotąd nie spostrzegł, a którą widmo podwiązało sobie brodę. Mimo to Scrooge nadal nie wierzył w obecność ducha i usiłował przeczyć własnym zmysłom.

– Co to ma znaczyć – spytał zwykłym sobie zimnym i zgrzytliwym tonem. – Czego chcesz ode mnie?

– Chcę wiele – odparło widmo. Hm, był to niewątpliwie głos Marleya.

– Kim jesteś?

– Spytaj mnie raczej, kim byłem.

– Kimże więc byłeś? – spytał Scrooge podnosząc głos. – Jesteś szczególnie drobiazgowy.

– Chciał dodać: jak na ducha”, ale wydało mu się to niewłaściwe.

– W życiu doczesnym byłem Jakubem Marleyem, twoim współnikiem.

– Czy mógłbyś... czy mógłbyś usiąść? – spytał Scrooge z powątpiewaniem w głosie.

– Oczywiście.

– Siądź więc, proszę.

Scrooge zadał to pytanie, ponieważ nie był pewien, czy zjawa tak przezroczysta może się usiąść na krześle, domyślał się zaś, że w przeciwnym razie gość jego zmuszony będzie udzielić mu ambasujących wyjaśnień. Ale widmo usiadło jakby nigdy nic po przeciwnej stronie kominka.

– Nie wierzysz we mnie – ozwało się po chwili.

– Ani trochę – odparł Scrooge.

– Jakich dowodów mego istnienia żadasz oprócz świadectwa własnych swoich zmysłów?

– Sam nie wiem.

– Czemu więc nie ufasz swoim zmysłom?

– Ponieważ często byle drobiazg wprowadzał w nie zamęt, lekka zaś niedyspozycja żołądka czyni z nich zwykłych oszustów. Możesz być po prostu kawałkiem niestrawionej wołowiny, odrobiną musztardy, okruczem sera lub cząsteczką niedogotowanego kartofla. Za kogokolwiek się podajesz, bardziej mi wyglądasz na kawałek ciężko strawnego mięsa od kości niż na kościotrupa.

Scrooge nie miał bynajmniej zwyczaju sypać żartami, zwłaszcza zaś w tej chwili wcale mu nie było do śmiechu. Jeżeli chcecie wiedzieć prawdę, silił się na dowcip, aby odwrócić uwagę od sprawy najważniejszej i opanować lęk, albowiem głos widma ścinał mu krew w żyłach.

Scrooge czuł, że postrada zmysły, jeśli przez krótką choć chwilę będzie spoglądał w milczeniu w nieruchome, szklane oczy widma. Zgrozę budziła w nim otaczająca ducha jakowaś jego własna, piekielna atmosfera. Scrooge wprawdzie sam jej nie odczuwał, nie mógł przecież wątpić w jej istnienie, bo chociaż widmo siedziało całkiem nieruchomo, jego włosy, poły surduta i chwasty u trzewików drgały wciąż, jak gdyby poruszane prądem powietrza buchającego z czeluści pieca.

– Czy widzisz tę wykałaczkę? – spytał Scrooge zaczepnie, z pobudek dopiero co wymienionych ponawiając swój atak, a także pragnąc choćby na krótką chwilę odwrócić od siebie martwy wzrok zjawy.

– Widzę – odparł duch.

– Kiedy wcale na nią nie patrzysz.

– Mimo to ją widzę – wyjaśnił duch.

– Otóż – warknął Scrooge – wystarczy, żebym ją połknął, a do końca życia będę nękany przez setki straszyleł własnej mojej fabrykacji. Powiadam ci, że to wszystko bzdura. Czysta bzdura!

Usłyszawszy te słowa duch zawył tak przeraźliwie i potrząsnął łańcuchem w tak posępny i złowieszczy sposób, że Scrooge całą siłą wparł się w krzesło, aby nie paść na podłogę. Lecz jakże wzrosło jego przerażenie, gdy nagle duch rozwiązał chustkę okalającą twarz – jak gdyby było mu w niej za gorąco w pokoju – i dolna jego szczęka opadła aż na piersi.

Scrooge padł na kolana i złożył ręce niczym do modlitwy.

– Litości! – jęknął. – Czemu mnie tak dręczysz, straszliwa zjawo?

– Istoto przyziemna – ozwał się duch – czy wierzysz teraz we mnie?

– Wierzę – odparł Scrooge. – Nie mogę inaczej. Ale powiedz mi, czemu duchy chodzą po ziemi i czemu mnie nawiedzają?

– Na każdym człowieku – odparło widmo – ciąży obowiązek duchowego bratania się ze swymi bliźnimi. Jeżeli ktoś obowiązkowi tego zaniedba za życia, musi go dopełnić po śmierci. Dusza takiego człowieka skazana jest na wędrówkę po świecie... ach, biada mi, biada... i spoglądać musi na to wszystko, co nie może już stać się jej udziałem, choć za życia stać się mogło – ku wiecznej szczęśliwości.

Znowu widmo jęknęło przeciągle i potrząsnawszy łańcuchami załamało bezcielesne ręce.

– Spętany jesteś łańcuchem – rzekł Scrooge drżąc na całym ciele. – Powiedz mi, dlaczego?

– Muszę wlec za sobą łańcuch – odparło widmo – który sam ukulem za życia. Własnymi rękami odrobiłem każde jego ogniwo, każdy jego jard. Sam się nim opasałem i z własnej woli go nosiłem. Czyżby obcy ci był wzór, wedle którego zrobione są te okowy?

Scrooge dygotał coraz gwałtowniej.

– Albo czy zdajesz sobie sprawę z ciężaru łańcucha, który sam dźwigasz? W dniu willi Bożego Narodzenia przed laty siedmiu twój łańcuch tak był długi i ciężki, jak mój. Od tego czasu przydałeś mu nowych ogniw. Imponujący zaiste jest ten twój łańcuch.

Scrooge obrzucił szybkim spojrzeniem podłogę spodziewając się, że ujrzy wokół siebie najmniej kilkadziesiąt sążni żelaznego powroza. Ale nic nie dostrzegł.

– Jakubie – rzekł błagalnie. – Drogi mój Jakubie, powiedzże coś jeszcze. Pociesz mnie, Jakubie.

– Nie jestem mocen cię pocieszyć – odparł duch.– Pocięcha skądinąd przychodzi, Ebenezerze, udzielają jej zaś inni niżli ja posłannicy innym niżli ty ludziom. Nie mogę też powiedzieć wszystkiego, co bym rzec pragnął. Niewiele mogę ci poświęcić czasu. Nie wolno mi spocząć ani na chwilę, nie wolno zatrzymać się nigdzie ani pozostać dłużej w jednym miejscu. Za życia duch mój nie wydalął się poza ściany naszego kantoru; nie wyrwał się z cięsnego kręgu naszych spraw. A teraz daleka, daleka jeszcze przede mną droga...

Ilekróć Scrooge się zamyślał, wsuwał bezwiednie ręce do kieszeni spodni. Zastanawiając się teraz nad słowami ducha podobnie uczynił, nie podniósł jednak oczu i nie powstał z kłęków.

– Musiałeś dotąd, Jakubie, podróżować bardzo powoli – ozwał się po chwili tonem rzeczowym, lecz z pokorą i szacunkiem w głosie.

– Powoli – jęknął duch.

– Siedem lat jesteś nieboszczykiem – rozmyślał na głos Scrooge – i przez cały ten czas w podróży...

– Przez cały ten czas – przytaknął duch. – Ani chwili odpoczynku, ani chwili folgi. Pośród dręczących mnie bezustannie wyrzutów sumienia.

– Czy podróżujesz prędko? – spytał Scrooge.

– Na skrzydłach wiatru – odparł duch.

– W takim razie musiałeś przez te siedem lat przemierzyć ogromny szmat drogi.

Usłyszawszy te słowa duch zawył po raz trzeci i potrząsnął łańcuchem, przy czym w głuchej ciszy brzęk ów zabrzmiał tak przeraźliwie, że strażnik nocny miałby słuszne prawo ukarać ducha za zakłócenie porządku publicznego.

– O! – jęczał duch – w jakże srogiej, w jakże okrutnej znajduje się w niewoli ten, kto nie wie, że wieki bezustannej pracy dokonywanej przez istoty nieśmiertelne na tej Ziemi muszą przemienić się w wieczność, zanim zwycięży ostatecznie dobro, będące celem wszelkiego istnienia... Kto nie wie, że każdy chrześcijanin, który spełnia czyny miłości w swojej maleńkiej sferze – jakakolwiek jest ona – przekona się niebawem, iż nie starczy mu życia, aby wykorzystać wszystkie ogromne możliwości działania dla dobra bliźnich... Kto nie wie, że najgłębszy nawet żal nie okupi jednej zmarnowanej w życiu sposobności czynienia dobra. A takim właśnie człowiekiem byłem ja.

– Przecież byłeś zawsze, Jakubie, kupcem dobrym i dbałym o swe interesy – rzekł niepewnie Scrooge, pojawiając nagle, że słowa ducha odnoszą się również do niego.

– Interesy! – jęknął duch załamując ręce. – Miałem interesom powinienem być życie całe poświęcić ludzkości. Powinienem być życie całe poświęcić pracy dobroczynnej, okazywać bliźnim miłosierdzie, wyrozumiałość, życzliwość. Sprawy związane z kupieckim rzemiosłem stanowiły zaledwie znikomą kroplę w niezmiernym oceanie moich powinności.

Wypowiadając te słowa duch podniósł i wyciągnął przed siebie rękę trzymającą łańcuch, jak gdyby to on właśnie był przyczyną jego próżnych lamentów, potem cisnął znów żelastwo na podłogę.

– O tej porze roku – ciągnął duch – cierpię najboleśniej. Czemu... o, czemu za życia szedłem pośród bliźnich z oczyma spuszczoneymi w dół i nigdy ich nie podniosłem, by spojrzeć na ową błogosławioną gwiazdę, która wskazała mędrcom drogę do ubogiej stajenki? Czyż nie dość było w moim mieście ubogich domów, do których zaprowadziłaby mnie ta gwiazda?

Słyszając, jak duch coraz ostrzej sobie z sobą samym poczyna, Scrooge przeraził się okropnie i zaczął dygotać niczym osika.

– Wysłuchaj mnie! – wołał duch. – Czas wyznaczony mi dobiega już końca.

– Wysłucham cię jak najuważniej – odparł Scrooge. – Ale nie bądź dla mnie, Jakubie, zbyt surowy. I poniechaj tych kwiecistych oracji. Błagam cię, Jakubie.

– Nie wolno mi wyjawić, jak się to stało, że przyszedł dzisiaj do ciebie w postaci widzialnej. Wiele, wiele razy siadywałem przy tobie jako kształt niewidzialny dla twoich oczu.

Myśl ta wcale nie była Scrooge'owi miła. Dygocąc jeszcze gwałtowniej, otarł pot z czoła.

– Obowiązek ten nie jest najlżejszą częścią mej pokuty – ozwał się znowu duch. – Przybyłem tu dzisiejszego wieczora, aby cię powiadomić, że nie przepadła jeszcze dla ciebie wszystka nadzieja, że możesz jeszcze uniknąć mego losu. Sposobność po temu mnie będziesz zawdzięczał, Ebenezerze.

– Byłeś mi zawsze dobrym przyjacielem – rzekł Scrooge. – Dzięki!

– Nawiedzą cię kolejno – ciągnął duch – trzy zjawy.

Twarz Scrooge'a tak się wydłużyła, że broda, na podobieństwo brody ducha, o mało co nie opadła mu na piersi.

– Czy to właśnie ma być owa sposobność, o której wspominałeś, Jakubie? – spytał drżącym głosem.

– Nie inaczej.

– Myślę, że... że raczej wolałbym tego uniknąć – wymamrotał Scrooge.

– Bez ich odwiedzin nie zdołasz uniknąć mego losu – powiedział duch. – Oczekuj pierwszego gościa z zaświatów jutro, kiedy zegar wybije godzinę pierwszą po północy.

– Czy nie mógłbym ich, Jakubie, przyjąć wszystkich razem i za jednym zamachem całą rzecz zakończyć? – zaproponował Scrooge.

– Oczekuj drugiego nocy następnej, o tej samej porze. Trzeci przybędzie do ciebie trzeciej nocy, kiedy umilknie ostatnie uderzenie zegara wybijającego północ. Nie spodziewaj się ujrzeć mnie więcej. I radzę ci, abys dla własnego dobra zapamiętał, co się dzisiaj między nami wydarzyło.

Wypowiedziawszy te słowa widmo wzięło ze stołu chustkę i podwiązało sobie brodę, jak poprzednio.

Scrooge domyślił się tego po kłapanięciu zębów, gdy zeszły się ściągnięte chustką szczęki. Wtedy dopiero podniósł oczy i zobaczył, że jego gość z zaświatów stoi przed nim wyprostowany, z łańcuchem owiniętym dookoła ręki.

Duch zaczął się teraz cofać, a co postawił krok, suwane okno podnosiło się o kilka cali, tak że gdy stanął wreszcie przy nim, okno było już szeroko otwarte.

Teraz widmo dało Scrooge'owi znak ręką, aby się przybliżył, co też Scrooge uczynił. Ale gdy znalazł się w odległości dwóch kroków, duch Marleya wyciągnawszy przed się rękę wzbronil mu podejść bliżej. Scrooge stanął w miejscu.

Zrobił to nie tyle z posłuszeństwa, ile ze zdumienia i przestachu. Albowiem kiedy duch podniósł rękę, rozległy się w powietrzu jakieś zmieszane głosy – bezładne jęki żalu i rozpacz, szlochy niewypowiedziane żalose, pełne skargi i skruchy. Duch Marleya nasłuchiwał chwilę, potem zaś przyłączywszy się do żałobnego chóru wyfrunął przez okno w mroźną, czarną noc.

W przyływie istic desperackiej odwagi Scrooge wyjrzał przez okno.

W powietrzu roilo się od zjaw zdążających w rozmaitych kierunkach z gorączkowym pośpiechem i wśród żalosenych lamentów. Na podobieństwo ducha Marleya wszystkie one wlokły za sobą łańcuchy. Niektóre widma (mogli to być przekupni ministrowie przekupnych rządów) skute były po kilka razem; ale nie znalazłoby się wśród nich ani jedno wolne od łańcuchów. Wiele z tych zjaw Scrooge znał osobiście podczas ich ziemskiej wędrówki, jak na przykład pewnego starego ducha w białej kamizelce, z przymocowaną do kostki u nogi żelazną kasetką na pieniądze. Duch ów rozpaczał i zawodził, że nie może dopomóc nieszczęśliwej niewieście z dziecięciem w ramionach, którą widział w dole siedzącą na progu domu. Snadź najgorszą dla nich udręką była bezsilność: choć pragnęły pomagać ludziom, na zawsze straciły moc czynienia dobra.

Scrooge nie umiałby powiedzieć, czy zjawy rozplęły się we mgle, czy też je ona pochłonięła. Ale zniknęły wszystkie jednocześnie i jednocześnie umilkły ich upiorne głosy. Noc stała się na powrót taka, jak kiedy Scrooge wracał do domu.

Zasunął okno i dokładnie obejrzał drzwi, przez które duch dostał się do środka. Zamknięte były na oba spusty, tak jak je zamknął własnymi rękami, rygle zaś zdawały się nie naruszone. Już chciał powiedzieć: – Bzdura – ale umilkł przy pierwszej sylabie. A że był – czy to na skutek doznanych wzruszeń, czy na skutek całodziennego znoju, czy też zetknięcia się z życiem pozagrobowym i wyczerpującej rozmowy z Marleyowym duchem – bardzo zmęczony, rzucił się w ubraniu na łóżko i natychmiast zapadł w sen.



## Strofka druga

### Odwiedziny pierwszego ducha

Kiedy się Scrooge obudził, tak było ciemno, że wyjrzawszy poza zasłonę łóżka zaledwie mógł dostrzec jaśniejszą plamę okna na tle ciemnych ścian pokoju. Usiłował przebić mrok swym bystrym wzrokiem, gdy nagle zegar na wieży pobliskiego kościoła wydzwonił cztery kwadranse. Nasłuchiwał więc, która też wybije godzina.

Ku nieopisanemu zdumieniu Scrooge'a potężny dzwon wybił najpierw sześć uderzeń, potem siedem, osiem i tak dalej – aż do dwunastu. Dopiero wtedy umilkł. Dwunasta. Było już po drugiej, kiedy Scrooge położył się do łóżka. Zegar źle chodzi. Okruch lodu musiał wpaść między tryby. Dwunasta...

Nacisnął sprężynę swego repetiera, chcąc sprawdzić, jaki też błąd popełnił ów zwariowany zegar na wieży. Cichutkie, szybkie bicie – dwanaście uderzeń. I cisza.

– Przecież to niemożliwe – zawołał Scrooge – ażebym przespał cały dzień i spory szmat następnej nocy. Niemożliwe też chyba, żeby słońcu przytrafiło się coś złego i żeby teraz było południe.

Ale ponieważ myśl ta mocno go zaniepokoiła, wyskoczył z łóżka i po omacku odnalazł drogę do okna. Zanim dostrzegł cokolwiek, musiał wprawdzie zdrapać rękawem szron z szyby, ale i wtedy niewiele zobaczył. Zdołał tylko zauważyć, że nad miastem nadal wisi gęsta mgła i że nadal jest mroźno, nie usłyszał przecie tupotu nóg ludzi biegających tam i sam w popłochu, jak by się rzecz miała, gdyby noc pobiła na głowę dzień i zapanowała wszechwładnie nad światem. Scrooge poczuł ulgę, gdyby bowiem nie miało już być więcej dni na świecie, kupieckie zobowiązanie tego rodzaju, co „w ciągu dni trzech od okazania niniejszego skryptu zobowiązuje się wypłacić JWP Scrooge'owi lub osobie przez niego upoważnionej sumę... itd.”, stałyby się bezwartościowymi świstkami.

Scrooge wrócił do łóżka i myślał, myślał, myślał, ale żadną miarą nic nie mógł zrozumieć. A im dłużej myślał, w tym większe wpadał zmieszanie; im usilniej zaś starał się nie myśleć, tym więcej natrętnych myśli huczało mu w głowie.

Wspomnienie ducha Marleya srodze go trapiło. Ilekroć po dojrzałym namyśle dochodził do wniosku, że nocna wizyta była jego snem, myśli jego wracały – niczym rozciągnięta i nagle puszczone sprężyna – do punktu wyjścia i znowu stawało przed nim to samo pytanie: „Czy mi się to tylko przyśniło?”

Snując takie rozmyślenia leżał w łóżku, dopóki kurant na wieży nie wydzwonił trzech kwadransów. Wtedy to nagle sobie przypomniał, że na godzinę pierwszą po północy duch Marleya zapowiedział mu odwiedziny gościa z zaświatów. Postanowił, że nie zaśnie, póki zegar nie wybije godziny; było to mądre zaiste postanowienie, zwłaszcza kiedy się zważy, że Scrooge takie mniej więcej miał w tej chwili widoki na zaśnięcie, jak na pójście żywcem do nieba.

Ostatnie piętnaście minut nieznośnie mu się dłużyły i kilkakrotnie był niemal pewien, że zdrzemnął się i przespał bicie zegara. Aż wreszcie usłyszał oczekiwane:

- Bim-bam!
- Kwadrans po dwunastej – rzekł Scrooge.
- Bim-bam!
- Pół do pierwszej – liczył Scrooge.
- Bim-bam!
- Za piętnaście pierwsza – stwierdził Scrooge.
- Bim-bam!
- Pierwsza! – zawołał Scrooge tryumfalnie. – I nic się nie zdarzyło!

Słowa te Scrooge wypowiedział, zanim zegar wybił godzinę. Ale zaledwie przebrzmiało głuche, dudniące, złowieszcze, posepne: bu-um! – pokój cały zajaśniał blaskiem i rozsunięły się zasłony u łóżka.

A właściwie uczyniła to czyjaś ręka niewidzialna. I nie myślcie, że rozsunięła zasłonę w nogach Scrooge'a lub za jego plecami! Rozsunięła ją w tej części, ku której zwrócone były jego oczy. Wtedy Scrooge, uniósłszy się do pozycji wpółleżącej, ujrzał przed sobą gościa z zaświatów. Znajdował się on tak blisko niego, jak w tej chwili ja znajduję się blisko ciebie, czytelniku. A trzeba ci wiedzieć, że sercem jestem z tobą.

Osobliwa ta postać przypominała dziecko. A raczej nie tyle dziecko, ile starca otoczonego jakąś niezmierną atmosferą, która go oddalała od osoby patrzącej i zmniejszała do rozmiarów dziecka. Włosy opadały mu aż na ramiona i były białe, jakby wysrebrzone wiekiem, jednakże lico pozbawione zmarszczek jaśniało najświeższym rumieńcem. Ramiona miał ów starzec bardzo długie i muskularne, podobnie jak dłonie, których kształt kazał się domyślać niezwykłej siły. Zarówno ramiona, jak i pięknie uformowane nogi i stopy całkiem były obnażone. Postać zjawy spowijała śnieżnobiała tunika ściągnięta lśniącem pasem, od którego bił zachwycający blask. Starzec trzymał w ręku gałązkę zielonego ostrokrzewu, szatę zaś jego zdobiły – w osobliwej sprzeczności z tym symbolem zimy – świeże wiosenne kwiaty. Ale bardziej niż wszystko inne zdumiewał snop jaskrawego światła wytryskający mu z czubka głowy i oświetlający całą postać; z tej też zapewne przyczyny starzec w chwilach smutku miast kapelusza używał ogromnego błazka do gaszenia świec, który teraz trzymał pod pachą.

Gdy tak Scrooge coraz uważniej go obserwował, nawet nie ów snop światła wydał mu się największą osobliwością w postaci ducha. Albowiem podobnie jak pas u tuniki raz lśnił w tym, kiedy indziej znów w innym miejscu, co zaś jaśniało w jednej sekundzie, w drugiej ginęło w mroku, tak też przemianom podlegał zarys widmowej postaci. Raz starzec miał jedną tylko rękę, raz jedną nogę, kiedy indziej dwadzieścia nóg, potem znów miał dwie nogi, ale nie miał głowy, po chwili zaś ukazywała się sama jego głowa, przy czym niknących w gęstym mroku członków nie było widać nawet w zarysie. Aż nagle, w samym środku tych dziwów, starzec stawał się znów sobą – postacią o czystych i ostrych konturach.

– Czyś jest, panie, owym duchem, o którego przybyciu zostałem uprzedzony? – spytał Scrooge.  
– Jam jest.

Duch wyrzekł te słowa głosem miłym i łagodnym, osobliwie cichym, jak gdyby miast znajdować się tuż obok Scrooge'a, przemawiał z wielkiego oddalenia.

– Kim jesteś? – spytał Scrooge.  
– Jestem Duchem Wigilijnej Przeszłości.  
– Bardzo dawnej przeszłości? – dopytywał się Scrooge mierząc okiem karłą postać gościa.  
– Niedawnej. Twojej.

Gdyby go o to ktoś spytał, Scrooge nie umiałby zapewne powiedzieć, dlaczego zbudziło się w nim owo przemożne pragnienie. Tak czy inaczej, zapragnął nagle ujrzeć ducha w czapce, poprosił go więc, aby nakrył głowę.

– Jakże to? – zawołał duch. – Czyżbyś chciał tak prędko zgasić niegodnymi rękoma światło, które ze mnie promieniuje? Czy ci nie dość, żeś jednym z tych, których zgubnym namiętnościom czapka ta zawdzięcza swe istnienie? Którzy przez wiele lat zmuszali mnie, abym ją nosił naciśniętą głęboko na oczy?

W słowach pełnych szacunku Scrooge jął przekonywać ducha, że ani teraz nie zamierzał go obrazić, ani też przenigdy w życiu świadomie nie naciskał mu czapki na głowę. Po czym odważył się spytać, co go tu sprowadza.

– Twoje dobro – odparł duch.

Scrooge zapewnił ducha, iż jest mu wielce zobowiązany, ale zaraz pomyślał, że spokojny sen pewniej by prowadził do tego celu niżli ta nocna wizyta. Widocznie duch odgadł jego myśli, bo prędko dorzucił:

– Więc jeśli wolisz, przybyłem, aby cię nawrócić ze złej drogi. Uważaj!

Wypowiadając te ostatnie słowa duch wyciągnął silną dłoń i łagodnie ujął Scrooge'a za ramię.

– Wstań i pójdź za mną!

Daremne były argumenty Scrooge'a, że późna pora i niepogoda nie zachęcają do pieszych wędrówek; że w łóżku mu ciepło, rtęć zaś w termometrze spadła poniżej zera; że ma na sobie tylko szlafrok, pantofle ranne i szlafmycę; że jest przeziębiony. Uścisk ręki ducha, choć lekki niczym dotknięcie dłoni kobiecej, nie dopuszczał sprzeciwu. Scrooge wstał, lecz widząc, że duch kieruje się ku oknu, ruchem błagalnym chwycił go za suknie.

– Jestem zwykłym śmiertelnikiem – jęknął – i mogę spaść na ziemię.

– Wystarczy, że dotknę cię tu – rzekł duch, kładąc mu dłoń na sercu – a wytrzymasz cięższe jeszcze próby.

Gdy duch wypowiedział te słowa, przeszli przez ścianę domu i znaleźli się na wiejskiej drodze biegnącej pośród pól. Miasto zniknęło zupełnie, ani ślad po nim nie został. Rozproszyły się też ciemności i mgła, dzień był pogodny, jasny i mroźny. Śnieg zalegał ziemię.

– Boże mój – zawołał Scrooge bijąc w ręce i rozglądając się dookoła. – Wychowywałem się w tych stronach. Tutaj spędziłem dzieciństwo.

Duch spojrział nań dobrotliwie. Choć ręka jego dotknęła serca Scrooge'a lekko i przelotnie, stary kupiec wciąż świadom był tego dotyku. Nozdrza jego chwytaly tysiące woni, każda zaś wskrzeszała w jego pamięci tysiące myśli, nadziei, radości i smutków – dawno, dawno zapomnianych.

– Usta ci drżą – rzekł duch. – I cóż to widzę na twoim policzku?

Scrooge wymamrotał osobliwie łamiącym się głosem, że to pryszcz, i prosił ducha, aby go wiódł dalej.

– Więc poznajesz drogę? – spytał duch.

– Czy poznaję? – zapytał Scrooge gorączkowo. – Mógłbym iść po niej z zawiązanymi oczami.

– Dziwne w takim razie, żeś przez tyle lat zupełnie o niej nie pamiętał. Ale chodźmy dalej.

Szli drogą i Scrooge poznawał każdą furtkę, każdy słup przydrożny, każde drzewo. Wreszcie ukazało się w oddali małe miasteczko, w nim zaś most, kościół i wijąca się wstęga rzeki. Zobaczyli teraz biegnące ku nim truchtem kosmate kucyki i na ich grzbietach małych chłopców, którzy nawoływali innych małych chłopców jadących na wozach i w dwukółkach powożonych przez wieśniaków. Wszyscy ci malcy tak byli rozbawieni i tak ochoczo do siebie pokrzykiwali, że aż rozległe pola rozbrzmiewały wesołą muzyką, której rześkie powietrze zawtórowało radosnym echem.

– Są to jeno cienie tego, co ongiś było – wyjaśnił duch. – Nie zdają sobie sprawy z naszej obecności.

Rozweseleni podróżni zbliżyli się i wtedy Scrooge poznał ich i kolejno każdego nazywał po imieniu. Czemu widok tych chłopców sprawił mu radość tak bezgraniczną? Czemu, gdy go mijali, w zimnym zazwyczaj oku kupca pojawił się blask i serce skoczyło mu w piersi? Czemu błogość przeogromna wypełniła mu duszę, gdy żegnając się na rozstajach w drodze do swych domów, mali chłopcy życzyli sobie wzajem wesołych świąt? Czymże były dla Scrooge'a święta Bożego Narodzenia? Do licha z nimi! Co dobrego przyniosły mu kiedykolwiek?

– Szkoła nie opustoszała zupełnie – ozwał się duch. – Jest tam pewne samotne dziecko, chłopiec zapomniany przez swych opiekunów.

Scrooge odparł, że wie o tym. I zapłakał.

Zeszli z głównego gościńca i wąską, jakże dobrze Scrooge'owi znaną dróżką dotarli niebawem do budynku z brudnoczerwonej cegły, na którego szczycie stała niewielka kopuła z kurkiem na dachu i dzwonem. Okazały ów dom chylił się najwyraźniej ku ruinie. Od obszernych zabudowań gospodarskich wiało pustką, ściany ich pokrywała wilgoć, drzwi były

spróchniałe. Rozgdakany drób panoszył się w stajniach, chwasty porastały szopy i wozownie. Również wewnątrz domu niewiele zachowało z dawnej swej świetności. Gdy Scrooge wraz z duchem wszedł do mrocznej sieni, oczom jego ukazał się poprzez otwarte drzwi rząd pokoiów rozległych, zimnych, niemal zupełnie pozbawionych sprzętów. W podwórzu unosił się zapach stęchlizny, chłód zaś i pustka zewsząd wyzierająca mimo woli przywodziły na myśl zbyt częste wstawanie ranne przy świetle świecy i niezbyt obfite pożywienie.

Duch i Scrooge przeszli przez sień i zbliżyli się do drzwi izby położonej na tyłach domu. Drzwi otwały się przed nimi ukazując pokój długi, pusty i ponury, tym bardziej opustoszały, że zastawiony rzędami ławek szkolnych i pulpity z nie heblowanych desek. W jednej z tych ławek samotny chłopiec czytał coś przy nikłym blasku kominka. Scrooge opadł na ławkę i zapłakał na widok tego biednego, opuszczonego chłopca, którym był on sam w latach swego dzieciństwa.

Każde dalekie echo rozlegające się w domu, pisk i chrobot myszy za boazerią pokoju, krople wody spadające z na pół odmarzniętego ścieku gdzieś na posepnym podwórzu, szmer pośród bezlistnych gałęzi melancholijnej topoli, łomotanie drzwi pustego spichrza, trzaskanie ognia na kominku – wszystkie te odgłosy głęboko zapadały Scrooge'owi w serce wyciskając mu z oczu coraz obfitsze łzy.

Duch dotknął jego ramienia i wskazał mu pochłoniętego czytaniem chłopca, jego dawne „ja”. Nagle wyrosła za oknem wyraźna – całkiem jakby żywa – postać mężczyzny w cudzoziemskich sukniach, z toporkiem zatkniętym za pas; mężczyzna ów prowadził za uzdę osiołka obładowanego drzewem.

– Ależ to Ali Baba! – zawołał rozpromieniony Scrooge. – Kochany, poczciwy stary Ali Baba! Tak, tak, pamiętam. Dawno temu, kiedy to opuszczone dziecko spędzało tu samotne święta Bożego Narodzenia, Ali Baba przyszedł do niego po raz pierwszy, zjawił się za oknem tak jak dzisiaj. Biedny chłopczyzna... O, teraz idzie Walentyn – wykrzykiwał Scrooge – ze swoim bratem Orsonem, tym dzikusiem. I jest ten... jakże się on nazywa... ten, co to go położyli śpiącego, w samej tylko bieliźnie, u bram Damaszku. I widzę pacholka sułtana, którego wróżki postawiły na głowie, nogami do góry... O, ciągle jeszcze stoi na głowie. Dobrze mu tak! Bardzo mnie to cieszy! Jak śmiał żenić się z księżniczką!

Ach, wyobraźmy sobie zdumienie kontrahentów handlowych Scrooge'a z City londyńskiego, gdyby słyszeć mogli, jak marnotrawiąc energię na tego rodzaju głupstwa rozprawia o nich głosem, w którym śmiech miesza się ze łzami; i gdyby ujrzeć mogli jego pałającą twarz.

– No i naturalnie jest papuga! – wykrzyknął Scrooge. – Cała zielona, tylko ogon ma żółty i na głowie czub podobny do listka strzępiastej sałaty. „Biedny Robinson Crusoe”, wołała na niego, kiedy opłynąwszy wyspę wrócił do szalasu. „Gdzieś ty był, biedny Robinsonie?” – tak do niego wołała. Biedaczysko myślał, że to sen, a tymczasem to wcale nie był sen, tylko papuga naprawdę do niego wołała. A tam znów Piętaszek biegnie do zatoki ile sił w nogach. Hej, Piętaszku! Hop! Hop!

Potem, ze zmiennością usposobienia jakże obcą jego naturze, Scrooge uzalił się znów nad swym dawnym „ja”. – Biedny chłopczyzna – rzekł zalewając się łzami.

Otarłszy po chwili oczy rękawem wsunął rękę do kieszeni i rozejrzał się dokoła. – Chciałbym... – wymamrotał – ale teraz już pewnie za późno...

– Co się stało? – spytał duch.

– Nic się nie stało – odparł Scrooge. – Nic a nic. Tylko że wczoraj wieczorem jakiś chłopiec śpiewał kolędę pod moimi drzwiami. Teraz żałuję, że mu nic nie dałem. To wszystko.

Duch uśmiechnął się w zamyśleniu i skinąwszy ręką rzekł: – Obejrzymy teraz inną Wigilię.

Gdy te słowa zostały wypowiedziane, chłopiec, który był Scrooge'em w jego latach dziecięcych, urósł nagle, izba zaś szkolna stała się mroczniejsza i brudniejsza. Drewno boazerii wypaczyło się, we framugach okien powstały szczeliny, kawałki tynku odpadły z sufitu, uka-

zując nagie belki pod spodem. Ale w jaki sposób nastąpiły wszystkie te przemiany, tego Scrooge nie wiedział, podobnie jak wy nie wiecie. Wiedział tylko, że tak wyglądała wtedy ta izba, że istotnie tak się wszystko zdarzyło, że to znów on sam pozostał w szkole, podczas gdy inni uczniowie odjechali do domów na radosne święta.

Nie czytał teraz, tylko zrozpaczony przechadzał się po izbie. Scrooge spojrzął na ducha, po czym potrząsając smutno głową przeniósł niespokojny wzrok na drzwi.

Wtedy właśnie drzwi otworzyły się i do izby wpadła mała dziewczynka, znacznie młodsza od chłopca. Zarzuciła mu ręce na szyję i obsypując jego twarz pocałunkami wołała: – Mój kochany, kochany braciszek!

– Przyjechałam, żeby cię zabrać do domu – rzekła po chwili dziewczynka, klaszcząc w małeńkie dłonie i w radosnym śmiechu pochylając główkę. – Tak, żeby cię zabrać do domu, do domu, do domu.

– Do domu, Fan? – spytał chłopiec.

– Tak, braciszku – odparło dziecko, promienne w swym uszczęśliwieniu. – Do domu, na dobre. Na zawsze do domu. Ojciec stał się o tyle lepszy, niżli był dawniej, że w domu jest teraz jak w raju. A któregoś wieczoru, kiedy szłam spać, tak dobrotliwie do mnie przemawiał, że ani trochę się nie bała raz jeszcze go spytać, czy nie mógłbyś wrócić do domu. A on na to, że owszem, możesz, no i wysłał mnie dyliżansem po ciebie. I ojciec jeszcze powiedział – ciągnęło dziecko – że masz już być teraz mężczyzną i nigdy, nigdy do szkoły nie wrócisz. Ale najpierw spędzimy razem całutkie święta Bożego Narodzenia i będzie nam wesoło... ach, jak wesoło!

– Jesteś już prawie dorosłą panną, maleńka Fan – rzekł chłopiec.

Klasnęła w ręce i śmiejąc się usiłowała dotknąć jego głowy, że jednak była na to zbyt małeńka, znowu wybuchnęła śmiechem i stanawszy na czubkach palców pocałowała go. Potem z iście dziecięcą gorliwością zaczęła ciągnąć brata ku drzwiom, on zaś nie opierał się bynajmniej, rad na zawsze opuścić to miejsce.

Straszliwy głos w sieni zawołał: – Hej tam, znieść na dół rzeczy panicza Scrooge'a! – i jednocześnie pojawił się dyrektor szkoły we własnej osobie. Spojrzął na chłopca z łaskawością krew mrozącą w żyłach i uściśnął mu dłoń, czym wtrącił go w stan najokropniejszej konfuzji. Potem zaprowadził rodzeństwo do najzimniejszej nory piwnicznej, jaką widziano na świecie, czyli do szkolnej bawialni, gdzie rozpięte na ścianach mapy i ziemskie oraz niebieskie globusy w oknach sztywne były od zimna. Tam postawiwszy na stole karafkę przedziwnie lekkiego wina i kawał przedziwnie ciężkiego ciasta częstował dzieci skąpymi porcjami tych przysmaków. Jednocześnie przykazał chudemu służącemu uraczyć szklaneczką „czegoś tam” pocztyliona, który, wyraziwszy wpiery wdzięczność dla pana za poczęstunek, odparł, że jeśli jest to ta sama lura, co ją pił kiedyś, woli nie próbować. Tymczasem kuferek panicza Scrooge'a umieszczony został na dachu dyliżansu, więc dzieci, pożegnawszy bardzo ochoczo dyrektora szkoły, wsiały do powozu i rozradowane odjechały aleją wiodącą przez ogród; koła rozpedzonego powozu strącały z ciemnych liści zimowych krzewów szron i śnieg i rozpylały go w powietrzu niczym drobniutki deszczyk.

– Była zawsze stworzeniem wątłym, które lada powiew mógł zmieść z powierzchni ziemi – rzekł duch. – Ale serce miała złote.

– Prawda to – odparł Scrooge. – Słusznie mówisz, duchu. Ani myślę przeczyć. Bynajmniej.

– Wyszła za mąż i umarła – ciągnął duch. – Jeśli mnie pamięć nie myli, zostawiła dzieci.

– Jedno dziecko – poprawił Scrooge.

– A, prawda – przyznał duch. – Tym dzieckiem jest twój siostrzeniec.

Scrooge, dziwnie nagle zmieszany, mruknął krótko: – Tak.

Chociaż dopiero przed chwilą opuścili mury szkoły, znajdowali się teraz na ruchliwych ulicach miasta, gdzie cienie przechodniów zdążyły w rozmaitych kierunkach, gdzie cienie wozów i karoc walczyły dla siebie o miejsce na zatłoczonej jezdni, gdzie panował iście wiel-

komiejski zgiełk i tumult. Przystrojone świąteczne wystawy sklepów pozwalały się domyślać, że jest to inna znowu wilia Bożego Narodzenia. Ale tym razem zapadł wieczór i na ulicach płonęły latarnie.

Duch zatrzymał się przed drzwiami pewnego składu i spytał Scrooge'a, czy je poznaje.

– Czy poznaję? – zawołał Scrooge. – Przecież tutaj odbywałem moją praktykę.

Weszli do środka. Na widok starego jegomościa w walijskiej peruce na głowie, siedzącego przy pulpicie tak wysokim, że gdyby jegomość ów był choć o dwa cale wyższy, z pewnością uderzałby głową o pułap, Scrooge wybuchnął:

– Ależ to stary Fezzwig. Kochany stary Fezzwig przywrócony do życia.

A stary Fezzwig odłożył właśnie pióro i spojrzął na zegar, który wskazywał godzinę siódmą. Zatarł ręce, obciągnął na brzuchu obszerną kamizelkę i roześmiał się całą postacią, od stóp aż po czubek zacnej, starej głowy. Po czym zawołał głosem miłym i głębokim, serdecznym, jowialnym głosem:

– Hej tam, Ebenezer i Dick!

Scrooge, ściślej mówiąc dawne jego „ja”, tym razem w postaci młodzieńca, wpadł do kantoru wraz z drugim praktykantem.

– Toż to Dick Wilkins! – zawołał Scrooge do ducha. – Boże mój, to Dick! Naturalnie! Dick był bardzo do mnie przywiązany. Biedny Dick. No i znowu go widzę!

– Hej tam, chłopcy – przemówił Fezzwig. – Dość pracy na dzisiaj. Przecież to Wilia, Dick. Wilia Bożego Narodzenia, Ebenezerze. Załóżcie okiennice, i to migiem – dodał uderzając głośnie w dłonie – zanim zdążę do dwunastu policzyć!

Nie uwierzylibyście, jak ci chłopcy ostro wzięli się do rzeczy. Wypadli na ulicę z okiennicami – raz, dwa, trzy, założyli je jak należy – cztery, pięć, sześć, wsunęli sztaby i zamknęli rygle, siedem, osiem, dziewięć, i dysząc jak konie wyścigowe wrócili do sklepu, zanim ktokolwiek doliczyłby do dwunastu.

– Brawo, chłopcy! – zakrzyknął stary Fezzwig zeskakując z wysokiego stołka za wysokim pulpitem z podziwu godną zwinnością. – A teraz uprzątniczcie izbę, żebyście mieli jak najwięcej miejsca. Dalejże, Dick! Żywo, Ebenezerze!

Uprzątnąć izbę? Nie było takiej rzeczy na świecie, której nie chcieliby albo nie potrafiliby uprzątnąć, kiedy stary Fezzwig na nich patrzył. Uporali się z tym w minutę. Wszystkie sprzęty zostały usunięte, całkiem jakby miały na zawsze zniknąć z życia publicznego; podłogę chłopcy zamietli i skropili wodą, opatrzyli lampy, dorzucili węgla do kominka. Jednym słowem izba sklepowa zmieniła się w najprzytulniejszą, najcieplejszą i najjaśniejszą salę balową, jaką można sobie wymarzyć w mroźny wieczór zimowy.

Zjawił się teraz skrzypek z zeszytem nut, podszedł do wysokiego pulpitu i potraktował go jako podium dla orkiestry, jał stroić skrzypki, które jęczały niczym pięćdziesiąt rozstrojonych żołądków. Zjawiła się pani Fezzwig, promieniejąca serdecznym uśmiechem. Weszły panny Fezzwig, za nimi zaś wsunęło się sześciu wielbicieli, którym złamały serca. Weszli wszyscy młodzi mężczyźni i kobiety zatrudnieni u pana Fezzwiga. Weszła pokojówka ze swoim kuzynem-piekarzem. Za nią kucharka z najserdeczniejszym przyjacielem rodzonego brata, mleczarzem. Wszedł młodziutki czeladnik z przeciwnika, którego – jak ogólnie przypuszczano – pryncypał morzył głodem; teraz chłopczyzna chował się za służącą z sąsiedniego domu, którą pani jej (rzecz to dowiedziona) targwała za uszy. Weszli wszyscy, jedni za drugimi; niektórzy onieśmieleni, inni pewni siebie, niektórzy z wdziękiem, inni niezgrabnie, jedni z ociąganiem, drudzy żwawo. Tak czy inaczej, wszyscy znaleźli się w izbie.

Zaraz też rozpoczęli tańce, w dwadzieścia par. Objawszy się płąsali to w jednym kierunku, to znów w drugim, to zapędzali się na środek izby, to wracali pod ściany; wkoło i wkoło sunęli, niektóre pary w czułym zachwyceniu, inne bardziej dla siebie obojętne. Co rusz zmieniali się tancerze w pierwszej parze. Dawna pierwsza para wyskakiwała zawsze tam, gdzie jej być nie powinno; nowa pierwsza para aż się rwała do przewodnictwa. W końcu były już tylko

same pierwsze pary i ani jednej drugiej, trzeciej czy ostatniej. Kiedy w ten sposób zamieszanie doszło szczytu, stary Fezzwig kłaśnięciem w dłonie wstrzymał tańczących i zakrzyknął: – Wyśmienicie! – Wtenczas skrzypek zanurzył rozpaloną twarz w kuflu portera, specjalnie na ten cel przygotowanym. Ale nie dopiwszy reszty odstawił kufel i choć nie było jeszcze tancerzy, natychmiast znów się wziął do rzeczy, jak gdyby ów skrzypek, który przygrywał przed chwilą, odniesiony został do domu na okiennicy w stanie bezmiernego wyczerpania, on zaś przyszedł na jego miejsce ze świeżymi siłami, postanawiając, że albo zupełnie tamtego zakasuje – albo sam zginie.

Tańczono więc, potem były rozmaite gry o fanty, potem goście znów puścili się w tany, potem wniesiono ciasto i kruszon, i ogromną pieczeń na zimno, i pierożki z mięsem, i mnóstwo piwa. Ale zabawa szczyt swój osiągnęła dopiero po pieczystym, kiedy skrzypek (ach, istny był z niego frant, tak wyśmienicie znał się na swoim rzemiośle, że ani ja, ani wy niczego nie zdołalibyście go nauczyć) zagrał znaną melodię ludową. Wtedy stary Fezzwig ruszył z panią Fezzwig w pierwszą parę. Trzeba przyznać, że przypało im w udziale nie lada zadanie, prowadzić bowiem musieli dwadzieścia kilka par, i to samych zawołanych tancerzy, z którymi nie było żartów – którzy ani myśleli się przechadzać, tylko koniecznie chcieli tańczyć. Ale gdyby ich było dwa... ba, nawet cztery razy tyle, stary Fezzwig też by dał radę, podobnie jak pani Fezzwig. Co się tyczy zacnej tej damy, była ona w całym tego słowa znaczeniu godną partnerką swego męża. Jeśli pochwała ta wyda wam się niewystarczająca, zaproponujcie lepszą, a z pewnością jej użyję. Z łydek pana Fezzwiga bił wyraźny blask. Przy każdej figurze tańca lśniły jak dwa księżycy, i trudno doprawdy było w jednej chwili przewidzieć, co się z nimi stanie w następnej. Gdy zaś państwo Fezzwig odtanńczyli kolejno wszystkie figury: kilka kroków naprzód i kilka w tył, krzyżyk, ukłon i dyg, koszycek, wąż i z powrotem na miejsce, stary Fezzwig podskoczywszy oderwał stopy od podłogi tak zręcznie, że łydki mu tylko śmignęły w powietrzu, i w sekundę stanął bez potknięcia na równych nogach.

Zabawa skończyła się wraz z uderzeniem godziny jedenastej.

Państwo Fezzwig zajęli miejsca po obu stronach drzwi i ściskając kolejno dłonie wszystkim wychodzącym biesiadnikom, życzyli im wesołych świąt. Gdy po odejściu gości zostali w izbie tylko dwaj czeladnicy, państwo Fezzwig im także złożyli życzenia, po czym wesołe głosy umilkły w oddali, chłopcy zaś poszli spać na swoje pośłania pod ladą w izbie za sklepem.

Przez cały ten czas Scrooge zachowywał się tak, jakby całkiem zmysły postradał. Sercem i duszą uczestniczył w wigilijnej zabawie, sercem i duszą był dawnym swoim „ja”. Przytakiwał wszystkiemu, pamiętał wszystko, cieszył się wszystkim i doznawał niewypowiedzianych wzruszeń. I dopiero gdy znikły mu z oczu rozpromienione twarze Dicka i młodzieńca, którym był on sam w latach młodości, przypomniał sobie o istnieniu ducha i spostrzegł, że ów pilnie mu się przygląda, przy czym światło na jego głowie jaśnieje silnym blaskiem.

– Niewiele było potrzeba – ozwał się duch – aby zaskarbić sobie wdzięczność tych prostaczków.

– Ładnie mi niewiele! – zawołał Scrooge.

Duch skinął na niego ręką, aby posłuchał rozmowy dwóch czeladników, którzy w najgorętszych słowach wychwalali pana Fezzwiga, po czym spytał:

– No i co? Czy nie mam racji? Ten człowiek wydal niewielką sumkę, kilka zaledwie funtów. Czy to powód, żeby się tak nad nim unosić?

– To nie o to idzie – odparł Scrooge, zirytowany słowami ducha. Nieświadomie wysławiał się tak, jakby to czyniło dawne „ja”. – To wcale nie o to idzie, duchu. Stary Fezzwig ma władzę uszczęśliwiania nas lub unieszczęśliwiania; moc czynienia naszej pracy ciężką lub lekką, zamieniania jej w przyjemność lub znój. Powiedzmy, że ta jego władza przejawia się w zacytnym spojrzeniu czy słowie, w rzeczach tak błahych i tak niewymiernych, że trudno je doprawdy zważyć czy zsumować. Ale co z tego? Szczęśliwość, którą nam daje, tak jest wielka, jakby kosztowała fortunę. Czując na sobie spojrzenie ducha umilkł raptownie.

– Co z tobą? – spytał duch.

– Och, nic szczególnego.

– Myślę, że jednak coś cię chyba trapi – obstawał przy swoim duch.

– Ależ nic – odparł Scrooge. – Nic a nic. Chciałbym tylko powiedzieć w tej chwili kilka słów memu kanceliście. To wszystkim.

Gdy wymówił to życzenie, jego dawne „ja” zgasiło lampkę i Scrooge wraz z duchem znaleźli się znów pod gołym niebem.

– Czas mój dobiega kresu – oznajmił duch. – Spieszmy się!

Słowa te nie były skierowane do Scrooge’a ani też do żadnej istoty dla Scrooge’a widzialnej, mimo to wywołały natychmiastowy skutek. Scrooge znowu zobaczył siebie. Przybyło mu lat, był teraz młodym mężczyzną w kwiecie wieku. Twarzy jego nie złościły jeszcze ostre, surowe linie, jak w latach późniejszych, ale widniały już na niej pierwsze oznaki skąpstwa i pierwsze ślady trosk gnębiących duszę. W rozbieganych oczach migotał wyraz nienasyconej chciwości, odbijała się namiętność, co nim niepodzielnie owładnęła, namiętność już teraz wskazująca drogę, po której Scrooge kroczyć miał w życiu.

Nie był sam. Siedział u boku pięknej dziewczyny w żałobnych sukniach. Młoda ta osoba miała oczy pełne łez: iskrzyły się one w świetle promieniującym z głowy Ducha Minionych Wigilii.

– Niewielkie ma to znaczenie – rzekła cicho. – Przynajmniej dla ciebie. Inne bożyszczce wyparło mnie z twojego serca, a jeżeli w przyszłości da ci ono tę radość i szczęście, które ja bym ci dać pragnęła, nie mam powodu do troski.

– Jakież to bożyszczce zajęło twoje miejsce? – spytał Scrooge.

– Złoty cielec.

– Oto jest sprawiedliwość ludzka – wybuchnął Scrooge. – Ludzie pogardzają ubóstwem, jak chyba niczym innym na świecie, a jednocześnie niczego nie potępiają z taką surowością, jak wszelkie starania o dostatek.

– Za bardzo lękasz się świata – rzekła dziewczyna łagodnie. – Wszystkie twoje dawne nadzieje i wszystkie pragnienia stopiły się w jedno wielkie pragnienie; aby świat nie obdarzył cię swą plugawą pogardą. Obserwowałam, jak wyrzekłeś się kolejno wszystkich szlachetniejszych ambicji, aż owładnęła tobą jedna tylko namiętność, żądza zysku. Czy nie mam racji?

– Więc co z tego? – spytał. – Powiedzmy, że istotnie zmądrzałem. Co z tego? Przecież moje uczucie względem ciebie wcale się nie zmieniło.

Dziewczyna potrząsnęła głową.

– Czyżby się zmieniło?

– Umowa, która między nami istnieje, sięga czasów, gdy oboje byliśmy ubodzy i nie skarżyliśmy się na nasze ubóstwo, postanawiając czekać cierpliwie, aż pilną pracą poprawimy naszą dolę. Zmieniłeś się. Kiedy zawieraliśmy naszą umowę, byłeś innym zgoła człowiekiem.

– Byłem młokosem – rzekł niecierpliwie.

– We własnym sercu możesz odczytać, żeś był inny, niżli jesteś teraz – odparła. – Ja się nie zmieniłam. To, co zapowiadało nam szczęście, kiedyśmy jednakowo czuli i myśleli, teraz, gdy staliśmy się sobie obcy, jest dla nas tylko źródłem cierpienia. Nie powiem ci, jak często się nad tym zastanawiałam. Niechaj wystarczy, że wszystko rozważyła w myślach i że mogę ci zwrócić słowo.

– Czy żądałem tego?

– W słowach nigdy.

– Jakże więc inaczej mogłem żądać?

– Zmianą usposobienia i charakteru, odmienioną treścią życia i odmienionym jego celem. Tym, żeś w moim uczuciu do siebie jął doszukiwać się innych wartości. Odpowiedz mi na jedno: gdybyśmy nie byli od dawna związani słowem – ciągnęła dziewczyna spoglądając na niego łagodnie, lecz stanowczo – czy zwróciłbyś teraz na mnie uwagę, czy starałbyś się mnie zdobyć? Z pewnością nie.

Zdawało się, że wbrew woli uznaje słuszność tego przypuszczenia, mimo to rzekł z wysiłkiem: – Tak sobie tylko wyobrażasz.



– Jakże bym się cieszyła, gdybym mogła myśleć inaczej – odparła. – Bóg mi świadkiem. Sama poznałam prawdę miłości i wiem, jak jest nieodparta. Ale czyż mogę uwierzyć, że gdybyś dzisiaj, wczoraj, jutro był wolny... że wziąłbyś sobie za żonę dziewczynę bez posagu, ty, który w najpoufniejszych nawet z nią rozmowach przykładasz do wszystkiego miarkę zysku? A gdybyś nawet, sprzeniewierzywszy się na chwilę swym zasadom, wziął ją za żonę, to czyż nie wiem, że czyniłbyś sobie potem wyrzuty i żałował swego kroku? Wiem, że na pewno by tak było i dlatego zwracam ci słowo. Robię to szczerze, w imię miłości, jaką niegdyś dla ciebie żywiłam.

Chciał się odezwać, lecz ona odwróciwszy głowę ciągnęła dalej:

– Być może zaboli cię moja decyzja. Pamięć tego, co ongiś między nami było, pozwala mi nieomal mieć nadzieję, że odczujesz ból. Ale niebawem, bardzo prędko, odegnasz od siebie wspomnienie naszej miłości. Wyda ci się ono snem nie przynoszącym żadnych zgoła zysków, z którego się na szczęście przebudziłeś. Obyś znalazł ukontentowanie na drodze życia, po jakiej z własnej woli będziesz kroczył.

Odeszła i tak się rozstali.

– Duchu! – zawołał Scrooge. – Nie pokazuj mi już nic więcej. Zaprowadź mnie do domu. Czemu delektujesz się tak okrutnie moją udręką?

– Ujrzysz jeden jeszcze tylko cień przeszłości – rzekł duch.

– Nie, nie – błagał Scrooge. – Nie chcę już nic widzieć. Nie pokazuj mi już nic więcej.

Ale nieubłagany duch pochwycił go w żelazny uścisk ramion i kazał patrzeć na następny obraz.

Znaleźli się w innym zupełnie otoczeniu, w pokoju niezbyt dużym i skromnie urządzonej, lecz miłym dla oka i wygodnym. Przy kominku, na którym huczał wesoły ogień, siedziała piękna dziewczyna, tak bardzo podobna do tamtej, iż Scrooge pewien był, że to ona, dopóki się nie zorientował, że to jej córka, ona zaś, urodziwa, dojrzała niewiasta, siedzi obok. W pokoju panował nieopisany wprost harmider, znajdowało się tam bowiem tyle dzieci, że Scrooge w obecnym swym stanie wzburzenia żadną miarą nie mógł się ich doliczyć. Dzieci te, w przeciwieństwie do słynnej gromadki z poematu, nie przypominały w niczym czterdzieściora dzieci bawiących się grzecznie jak jedno układne dziecko. Gdzie tam! Każde z nich dokazywało za czterdzieścioro, czego wynikiem była ta wrzawa przechodząca wszelkie wyobrażenie. Ale snadź nikomu to nie przeszkadzało, a nawet przeciwnie, matka i córka wśród wybuchów serdecznego śmiechu z ukontentowaniem przyglądały się zabawie. Córka zaś, wmiészawszy się po chwili w rozigrany tłumek, została przez małych zbójów bezlitośnie napadnięta i pojmana. Czego bym to ja nie dał, ażeby być jednym z nich. Chociaż nigdy, przenigdy nie okazałbym się tak nieokrzesany jak oni. Za żadne skarby świata nie potargałbym tych włosów upiętych w koronę warkoczy; ani też nie zerwałbym z nogi ślicznego, maleńkiego pantofelka, choćby od tego zależało moje życie. Bóg mi świadkiem, że bym nie zerwał. Jeśli zaś idzie o mierzenie jej wiotkiej kibici dla zabawy, jak to ci mali łotrzykowie robili, po prostu nigdy w życiu bym się na to nie ważył; obawiałbym się, że mi za karę ręka przyrośnie do boku i nigdy się już nie wyprostuje. Mimo to pragnąłbym gorąco dotknąć jej ust; spytać ją o coś, aby musiała rozchylić wargi. Pragnąłbym patrzeć na rzęsy jej opuszczonych w dół powiek i nie spłonąć przy tym najlżejszym rumieńcem; pragnąłbym rozpuścić jej falujące włosy, których najmniejszy loczek byłby dla mnie bezcenną pamiątką. Słowem, pragnąłbym korzystać z przywilejów dziecka, jednocześnie zaś być na tyle dojrzałym mężczyzną, abym umiał docenić szczęście, które mnie spotyka.

Gdy nagle rozległo się pukanie, w pokoju zapanował nieopisany wprost zamęt i rozchukana gromadka rzuciła się do drzwi unosząc ze sobą piękną dziewczynę, roześmianą i z sukniami w nieładzie. Dzieci zdążyły akurat na czas, aby powitać ojca powracającego do domu z posłańcem obładowanym gwiazdkowymi podarkami. Jaki teraz wybuchł harmider, jaki szturm gwałtowny przypuściła szamocząca się dzieciarnia do bezbronnego posłańca. Malcy wdrapy-

wali się na niego po krzesłach niczym po drabinie, aby zanurzyć ręce w kieszeniach nieszczęśnika, ogołocić go z paczek owiniętych w papier, ciągnąć za krawat, wieszać mu się na szyi, okładać kuksańcami plecy i kopać po nogach – wszystko z niepohamowanej do niego czułości. A jak głośne były okrzyki zachwytu i podziwu, towarzyszące odwijaniu zawartości każdej paczki! Potem nagle gruchnęła straszna wieść, że maleństwo przyłapane zostało na gorącym uczynku pakowania do buzi patelni dla lalek oraz że jest bardziej niż słusznie podejrzane o połknięcie indyka z masy na drewnianej tacce. Jakąż ulgę odczuli wszyscy, gdy alarm okazał się fałszywy.

Ach, te wybuchy radości, ta wdzięczność szczerze okazywana, te uniesienia zachwytu! Lecz wszystkie te objawy uczuć tak są do siebie podobne, iż poprzestanę jedynie na stwierdzeniu, że dzieci wraz ze swoimi rozmaitymi wzruszeniami stopniowo opuszczały bawialnię i schodek po schodku wędrowały na górę, gdzie niebawem zasnęły i zgoła się uspokoiły.

Teraz Scrooge, tym pilniej wszystko obserwujący, zobaczył, jak pan domu, przytuliwszy serdecznie najstarszą swą córkę, zasiadł wraz z nią i żoną przy kominku. Gdy zaś Scrooge pomyślał, że inna taka istota, równie wdzięczna i pięknie rokująca nadzieje, mogła byłaby zwać go ojcem i opromienić wiosennym słońcem mroczne dni jego żywota, łzy obficie napłynęły mu do oczu.

– Wyobraź sobie, Bello – z uśmiechem ozwał się mąż do żony – że widziałem dzisiaj po południu twego starego przyjaciela.

– Kogo? – spytała.

– Zgadnij.

– Jakże mam zgadnąć? Ach, już wiem – dodała tym samym lekkim tonem. – Pana Scrooge’a!

– Tak, pana Scrooge’a. Przechodziłem pod oknem jego kantoru, a że nie było zasłonięte i wewnątrz paliła się świeca, chcąc nie chcąc musiałem go widzieć. Podobno jego wspólnik znajduje się o krok od śmierci, więc Scrooge siedział całkiem sam w kantorze. Myślę, że jest samotny jak palec.

– Duchu – rzekł Scrooge łamiącym się głosem – zabierz mnie stąd.

– Mówiłem ci już – odparł duch – że są to jeno cienie tego, co ongiś było. A że przeszłość twoja jest taka, jak ją tu widzisz, nie mnie o to obwiniaj.

– Zabierz mnie stąd! – błagał Scrooge. – Nie mogę znieść tego widoku.

Obrócił się gwałtownie do ducha, widząc zaś, że nieziemskie oblicze z niepojętych przyczyn odbija poszczególne rysy wszystkich twarzy, które mu duch pokazywał, jał się z nim szamotać rozpaczliwie.

Podczas tej walki – jeżeli to w ogóle można nazwać walką, skoro ducha, który żadnego nie stawiał oporu, zdawały się nie dosięgać ataki przeciwnika – Scrooge spostrzegł, iż światło na głowie zjawy płonie silnym i jasnym płomieniem; że zaś światło to w sposób mglisty kojarzył w myślach z władzą, jaką duch nad nim posiadał, pochwycił błazek i ruchem błyskawicznym wcisnął go duchowi na głowę.

Duch padł pod ciężarem błazka, który okrył całą jego postać, ale chociaż Scrooge z całej siły je przyciskał, nie mógł przecie stłumić światła wytryskującego nieprzerwanym strumieniem.

Nagle Scrooge uświadomił sobie, że jest dziwnie wyczerpany, że ogarnia go przemożna senność, po chwili zaś spostrzegł, że znajduje się we własnej sypialni. Przeto na pożegnanie raz jeszcze nacisnąwszy gasidło wypuścił je z ręki i zaledwie dowlókl się do łóżka, już zapadł w twardy sen.

## Strofka trzecia

### Odwiedziny drugiego ducha

Obudziwszy się ze snu, któremu wtórowało zadziwiająco głośne chrapanie, Scrooge siadł na łóżku, aby zebrać myśli. Otóż tym razem nikt nie potrzebował go powiadamiać, że za chwilę zegar wybijie godzinę pierwszą. Wiedział, że zbudził się akurat na czas, i to w tym szczególnym celu, aby odbyć rozmowę z drugim gościem z zaświatów, przysłanym mu dzięki wstawiennictwu Jakuba Marleya. Ale gdy się zaczął zastanawiać, którą też zasłonę z łóżka rozsunie to nowe widziadło, niemiłe dreszcze przebiegły mu ciało, przeto własnoręcznie rozsunał wszystkie zasłony i leżąc jął wpatrywać się pilnie w ciemność wokół łóżka. Chciał bowiem zagadnąć ducha, zaledwie ów pojawi się w pokoju; nie życzył sobie, aby go ten nowy wysłannik z zaświatów zaskoczył i przestraszył.

Dżentelmeni z gatunku tych bardziej obytych w świecie, którzy chełpią się znajomością przeróżnych forteli i potrafią jakoby sprostować każdej sytuacji, dając wyraz swemu zamiłowaniu do przygód, twierdzą zazwyczaj, iż przygotowani są na wszystko – od gry w cetno i lichy poczynając, kończąc zaś na morderstwie. Między którymi to dwiema ostatecznościami znajduje się bez wątpienia niemało innych jeszcze możliwości. Otóż nie chcąc bynajmniej aż tak śmiało przemawiać w imieniu Scrooge'a, nie cofnę się wszelako przed twierdzeniem, iż był on przygotowany na nader liczny i bogaty dobór najdziwaczniejszych postaci oraz że nic nie zdołałoby go wprawić w zdumienie – od niemowlęcia począwszy, skończywszy zaś na nosorożcu.

Ale przygotowawszy się na wszystko nie przygotował się na jedno, na to mianowicie, że się nic nie zdarzy. Kiedy więc zegar wybił pierwszą i nie stanęła przed nim żadna zgoła zjawą, ciałem jego zaczęły wstrząsać gwałtowne dreszcze. Minęło pięć minut, dziesięć minut, pół godziny – i nikt nie przyszedł. Przez cały ten czas Scrooge leżał na łóżku w samym środku czerwonego światła, które sypnęło na niego silnym strumieniem w chwili, gdy zegar wybił godzinę, a które właśnie dlatego, że było jeno światłem, trwożyło go bardziej niżli tuzin najupiorniejszych zjaw. Scrooge żadną miarą nie mógł odgadnąć, co światło to oznacza i czemu tak świeci, chwilami zaś ogarniał go lęk, że jest może interesującym przypadkiem samozapalania się, nie mając nawet tej pociechy, iż zdaje sobie z tego sprawę. Jednakże w końcu przyszło mu na myśl – ja od razu bym o tym pomyślał, jak ty, czytelniku, albowiem zawsze ta osoba, która nie znajduje się w tarapatkach, wie, co należy zrobić, i w razie czego z pewnością by to zrobiła – w końcu, powtarzam, przyszło mu na myśl, że źródło tego niezemskiego światła oraz jego tajemnica kryje się w sąsiednim pokoju, skąd, jak doszedł niebawem do wniosku po dokładniejszym zbadaniu rzeczy, zdawało się promieniować. Myśl ta tak nim o władnęła, że wstał cicho i w pantoflach poczłapał do drzwi.

Zaledwie położył rękę na klamce, jakiś obcy głos zawołał go po imieniu prosząc, aby wszedł do środka. Scrooge usłuchał.

Był to jego własny pokój, co do tego nie miał żadnych wątpliwości. Ale jakże zdumiewające zaszły w nim przemiany. Ściany i sufit tak hojnie przystrojone były zielenią, że pokój sprawiał wrażenie altanki, gdzie spomiędzy gałęzi błyszcząły czerwone jagody. Sztywne liście ostrokrzewu, jemioly i bluszczu odbijały światło niczym małe zwierciadła rozwieszane dokoła pokoju. Na palenisku huczał ogień tak potężny, jakiego ten starożytny posepny kominek nie znał ani za czasów Scrooge'a i Marleya, ani też przez wiele lat przed nim. Na podłodze piętrzył się ułożony w kształcie jak gdyby tronu stos indyków, gęsi, dziczyzny, drobiu, dzikiego ptactwa, poćwiartowanego mięsa, prosiąt, długich wianków kiełbasy, pierożków,

budyni, beczulek z ostrygami, pieczonych kasztanów, rumianych jabłek, soczystych pomarańczy, ponętnych gruszek, ogromnych placków i dzbanów z wrzącym ponczem, którego para napelniała pokój najrozkoszniejszą z woni. A na tym tronie rozparł się wygodnie wesoły olbrzym, którego widok nadzwyczajnie radował oczy. Trzymał ów olbrzym w ręku płonąca pochodnię z kształtu podobną nieco do rogu obfitości; teraz uniósł ją wysoko, aby oświecić Scrooge'a, gdy ten przez szparę w drzwiach zaglądnął nieśmiało do pokoju.

– Wejdz! – zawołał olbrzym. – Wejdz, przyjacielu, musimy się poznać!

Scrooge wszedł bojaźliwie i stanął przed tym nowym duchem ze spuszczoną głową. Nie był to już ów dawny zacięty w swym uporze, niedowierzający Scrooge; a choć duch miał oczy dobrotliwe i łagodne, Scrooge przecie wołał unikać ich spojrzenia.

– Jestem Duchem Tegorocznego Bożego Narodzenia – ozwał się przybysz z zaświatów. – Spójrz na mnie!

Scrooge spojrział na ducha z szacunkiem. Postać jego spowijała prosta szata czy raczej opończa zielonej barwy, obramowana białym futrem. Zarzuconą miał obszerną tę szatę na ramiona tak niedbale, że potężne jego piersi całkiem były obnażone, jak gdyby ani myślał chronić ich czy osłaniać. Spod obfitych fałd opończy wyglądały stopy, również obnażone, jedynym zaś nakryciem głowy był wieniec ostrokrzewu, wysadzany tu i tam iskrzącymi się soplekami lodu. Ciemne włosy opadały mu w długich, luźnych splotach na ramiona, na wesołym zaś obliczu malowała się szczerłość, widoczna również w błyszczącym oku, w szerokich gestach dłoni, w głosie dźwięcznym i swobodnym obejściu. Przypasana do boku ducha wisiała starożytna pochwa bez miecza, na poły zżarta przez rdzę.

– A więc nigdy dotąd nie widziałeś istoty do mnie podobnej? – zawołał duch.

– Nigdy – przyznał Scrooge.

– I nigdy nie spotkałeś młodszych członków naszej rodziny? Mam na myśli moich starszych braci zrodzonych w ostatnich latach, bo sam jestem bardzo jeszcze młody – wyjaśnił duch.

– Nie wydaje mi się, abym ich spotykał – odparł Scrooge. – Właściwie to jestem nawet pewien, że ich nie spotykałem. Czy bardzo wielu masz braci, duchu?

– Przeszło tysiąc ośmiuset.

– Hm... kiepska to sprawa, mieć taką rodzinę na utrzymaniu – mruknął Scrooge.

Duch Tegorocznego Bożego Narodzenia powstał ze swego tronu.

– Zawiedz mnie, duchu – ozwał się Scrooge pokornie – dokąd chcesz. Wczorajszej nocy wyprowadzono mnie z domu przemocą i podczas wędrówki udzielono nauki, która zaczyna dawać zbawienne owoce. Jeżeli dzisiejszej nocy zamierzasz mnie czegoś nauczyć, pozwól, abym z tej nauki wyciągnął jak największe korzyści.

– Dotknij mej szaty.

Scrooge wziął w rękę kraj szaty ducha i mocno ją przytrzymał.

Gałązki ostrokrzewu, jemiola, czerwone jagody, bluszcz, indyki, gęsi, dziczyzna, drób, mięso, prosięta, kielbasy, ostrygi, ciasta, puddingi, owoce i poncz – wszystko to znikło w mgnieniu oka. Znikł też pokój; ogień na kominku, czerwony blask ustąpił ciemności i Scrooge z duchem znaleźli się na ulicach miasta. Był ostry, mroźny poranek pierwszego dnia świąt Bożego Narodzenia. Wokół rozlegał się chrzęst i skrzypienie śniegu zmiatanego z chodników i dachów, co brzmiało niczym niewymyślna, lecz dźwięczna i miła dla ucha muzyka. Mali chłopcy patrzyli z zachwytem na śnieg zrzucany z dachów, który rozpylał się w powietrzu niby maleńkie sztuczne zawieje.

Fasady domów, zwłaszcza zaś ich okna, wydawały się niemal czarne w porównaniu z gładkim, białym całunem śniegu na dachach i znacznie brudniejszym śniegiem na ulicach, w którym to śniegu ciężkie koła platform i wozów wyorały głębokie bruzdy. Na rozgałęzieniach głównych ulic bruzdy te krzyżowały się i przecinały w najrozmaitszych kierunkach tworząc istny labirynt kanałów gubiących się w gęstej brunatnej mazi i lodowatej wodzie. Nad mia-

stem wisały posępne chmury i co krótsze ulice dosłownie znikwały w brudnej, ściętej mrozem mgłę, której cięższe cząsteczki spadały niczym drobniutki deszcz sadzy, tak że i zdawać się mogło, iż jakby za wspólną umową zapaliły się sadze we wszystkich kominach w Anglii i teraz pocziwe kominiska dymią, ile dusza zapragnie. Klimat miasta nie usposabiał bynajmniej wesoło, jednakże w powietrzu unosiło się coś tak radosnego, że najpiękniejszy dzień letni i najjaśniejsze letnie słońce na próżno starałyby się wytworzyć podobny nastrój.

Otóż ludzie zmiatający śnieg z dachów byli weseli i rozbawieni, nawoływali się wzajem i od czasu do czasu rzucali swawolnie jeden w drugiego śnieżną kulą (pocziwszy to pocisk niżli poniektóre miotane w żartobliwych utarczkach słownych), śmiejąc się serdecznie, gdy trafiali, i niemniej serdecznym wybuchając śmiechem, gdy strzał okazał się chybiony.

Sklepy z drobiem były jeszcze częściowo otwarte, owocarnie zaś wprost promieniowały swym wspaniałym bogactwem. Stały tam brzuchate kosze kasztanów, kształtem przypominające wypukłe brzuszki starych jowialnych jegomościów; stały rozparte w drzwiach sklepów lub wytaczały swe apoplektyczne, zażywne kształty na ulicę. Widać też było jędrne, brązowe, pękate, łagodne w smaku hiszpańskie cebule, lśniące roślinnym tłuszczem na podobieństwo tłuściutkich twarzy hiszpańskich mnichów; z wysokości półek sklepowych zerkały one z jakąś figlarną chytrą na przechodzące mimo dziewczęta, które rzucały nieufne spojrzenia na rozwieszone pęki jemiół. Dalej kusily oko wysokie piramidy soczystych gruszek i jabłek, a kiście winogron rozwieszane były przez dobrotliwych właścicieli na widocznych miejscach, aby przechodnie mogli łyknąć ślinkę zupełnie za darmo. Piętrzyły się stosy orzechów laskowych, brązowych i pokrytych meszkiem; ich aromat przywodził na myśl dawno zapomniane przechadzki leśnymi ścieżkami i miły szelest liści, w których nogi grzęzły po kostki. Dalej widać było rdzawoczerwone i kuliste jabłka z Norfolk, ulubiony przysmak; jak pięknie wyglądały na tle złotej barwy cytryn i pomarańcz i jak kusily swą soczystą jędrnością, jak napraszały się, aby je zabrano w papierowej torbie do domu i tam spożyto na deser. Nawet złote rybki wystawione w akwarium pośród tego bogactwa owoców, nawet one – choć należą do flegmatycznej i zimnokrwistej rasy – rozumiały snadź, że dzieje się tu coś niezwykłego, i wszystkie, co do jednej, otwierając pyszczki, w dziwnie beznamietnym wzburzeniu opływały wokoło swój maleńki światek.

A sklepy spożywcze... ach, te sklepy spożywcze! Prawie zamknięte, z jedną lub co najwyżej dwiema odsuniętymi deskami okiennic, ale co za widoki ukazują się przez te szpary.

Nie to zresztą było najważniejsze, że szale wag szczękały tak wesoło, że sznurek z takim radosnym uśmiechem odwijał się z motowidła, że subiekci niczym kuglarze żonglowali blaszankami z oliwą. Nie szło nawet o to, że zmieszane wonie kawy i herbaty tak mile drażniły nozdrza, że stosy najpiękniejszych rodzynek radowały oko, że migdały tak były białe, że laski cynamonu tak długie i proste, wonie innych korzeni oszałamiające, smażone w cukrze owoce pokryte tak piękną glazurą, iż na ich widok najobojętniejszym przechodniom robiło się słabo z głodu, po czym naturalnie wpadali w zły humor. Nie szło wreszcie o to, że figi tak były soczyste i pulchne, że śliwki suszone rumieniły się skromnie a kusząco w swych przebogato ozdobionych skrzyneczkach, że każda rzecz tutaj była przysmakiem przybranym w gwiazdkową szatę.

Otóż szło przede wszystkim o to, że kupujący tak się śpieszyli i tak byli rozgorączkowani radosną zapowiedzią nadchodzącego święta, iż zderzali się w drzwiach wiklinowymi koszykami na zakupy, zostawiali na kontuarze sprawunki, wracali po nie zdyszani, i popełniali tysiące podobnych omyłek, które przecie ani na chwilę nie mąciły im dobrego humoru. Natomiast kupiec i subiekci obdarzali wszystkich tak dobrotliwą życzliwością, że wcale bym się nie dziwił, gdyby się okazało, że błyszczące serduszka-agrafy, którymi spinali z tyłu fartuchy, są własnymi ich sercami, które wyjąwszy z piersi radzi byliby ofiarować swym klientom.

Ale niebawem dzwony wezwały wiernych do kościoła i ulice zaroily się ludźmi o wesołych twarzach, przyodzianymi w świąteczne stroje. Jednocześnie zaś z bocznych ulic, uliczek

i zaułków jeły wylaniać się postaci niosące swe obiady do piekarni, gdzie wedle starodawnego obyczaju pozwalano im je w święta gotować. Widok tych ubogich biesiadników zdawał się ducha szczególnie interesować, stanąwszy bowiem ze Scrooge'em w drzwiach pewnej piekarni podnosił pokrywy garnków, gdy niosący je ludzie przechodzili mimo, i posypywał strawę wonnym proszkiem ze swej pochodni. Była to niezwykła doprawdy pochodnia, bo zdarzyło się kilkakroć, że gdy jeden z niosących obiad biedaków potrącił drugiego i wybuchła między nimi sprzeczka, odrobina wody z tejże pochodni, którą to wodą duch pokropił zwaśnionych, natychmiast przywróciła im dobry humor. Przyznawali, że to wstyd klócić się w dzień Bożego Narodzenia. Przebóg, mieli rację. Na pewno mieli.

Po pewnym czasie umilkły dzwony i piekarnie zamknęły swe podwoje. Pozostała przecie żywa pamiątka gotowanych tam obiadów: mokre plamy po stopniałym śniegu przy piwnicznych okienkach, obok których stały piece piekarskie, i para buchająca z rozgrzanych płyt chodnika.

– Duchu, czy proszek, którym ze swej pochodni posypywałeś potrawy, ma jakiś szczególny smak? – spytał Scrooge.

– Owszem, jest to przyprawa wigilijna – odparł duch.

– A czy podnosi ona smak każdego jedzonego w tym dniu obiadu?

– Każdego, którym ktoś zostanie poczęstowany z dobroci serca. Zwłaszcza zaś podnosi smak obiadów nędzarzy.

– Dlaczego właśnie nędzarzy? – spytał Scrooge.

– Ponieważ ubogiej strawie najbardziej jest to potrzebne.

– Nie pojmuję – ozwał się Scrooge po namyśle – dlaczego – właśnie ty, duchu... właśnie ty spośród wszystkich licznych istot z zaświatów chcesz odebrać biednym tym ludziom sposobność niewinnej rozrywki.

– Ja? – zawołał zdumiony duch.

– Chcesz ich pozbawić – ciągnął Scrooge – możliwości gotowania obiadu co siódmy dzień, chociaż zapewne jest to jedyny dzień, kiedy w ogóle jadają gotowaną strawę.

– Ja? – powtórzył duch.

– Żądasz przecie – wyjaśnił Scrooge – aby w niedzielę zamykano piekarnie, a to na jedno wychodzi.

– Ja tego żądam?

– Wybacz mi, duchu, jeśli się mylę. Żądano tego w twoim imieniu lub przynajmniej w imieniu twych krewniaków, duchów świąt i niedziel.

– Bywają ludzie na tej waszej Ziemi – odparł duch – którzy powołują się na bliską z nami zażyłość i którzy w swych uczynkach zrodzonych z gniewu, pychy, nienawiści, bigotem i egoizmu działają niby to w naszym imieniu. Otóż my z tymi ludźmi nic nie mamy wspólnego, są nam tak obcy, jakby ich zgoła nie było na świecie. Zapamiętaj to sobie i do nich, nie zaś do nas, miej pretensję o to, co złego czynią.

Scrooge przyrzekł, że nie omieszka, po czym przenieśli się wciąż niewidzialni do ubogich dzielnic miasta. Duch posiadał zdumiewającą zaiste właściwość, co Scrooge zaobserwował jeszcze w piekarni: choć był olbrzymem, mógł z największą łatwością dostosować się do każdego otoczenia i trafiawszy pod niską powalę ubogiego domu poruszał się swobodnie, jak przystało na istotę nadprzyrodzoną, i z takim wdziękiem, z jakim zapewne przechadzałby się po obszernych pałacowych komnatach.

I czy to dlatego, że zacy duch rad był się popisować tą swoją niezwykłą właściwością, czy też dlatego, że naturę miał dobrą, szlachetną, szczodłą i darzył współczuciem wszystkich biednych ludzi – tak czy inaczej, duch udał się do mieszkania kancelisty Scrooge'a zabierając tam ze sobą Scrooge'a, który trzymał się kurczowo jego szaty. Na progu duch przystanął uśmiechnięty i pobłogosławił mieszkanie Boba Cratchita za pomocą swej pochodni. Pomyślcie tylko! Bob zarabiał zaledwie piętnaście szylingów na tydzień – zaledwie piętnaście szy-

lingów otrzymywał w każdą sobotę miesiąca – a mimo to Duch Tegorocznego Bożego Narodzenia pobłogosławił jego skromniuchny domek.

Pani Cratchit, małżonka Boba, w świątecznej acz nader ubogiej, dwakroć nicowanej sukni, ozdobionej jednak wstążkami (które są tanie i za sześć pensów pięknie można się nimi przystroić), wstała właśnie z fotela i w asyście także przystrojonej wstążkami Belindy Cratchit, młodszej swej córki, zaczęła nakrywać do stołu. Tymczasem panicz Piotr Cratchit wsadził widelec do garnka z ziemniakami, przy którym to ruchu wsunęły mu się do ust rogi potwornych rozmiarów kołnierzyka (prywatna własność Boba, użyczona na ten dzień synowi i spadkobiercy, aby mógł uczcić godnie uroczyste święto), przekonawszy się zaś, że jest tak wspaniale przyodziany, panicz Piotr zapragnął pokazać swój przepiękny strój w wytwornych londyńskich parkach. Teraz pojawiły się na widowni dwie młodsze latorośle rodu Cratchitów, dziewczynka i chłopiec. Wpadli do pokoju wrzeszcząc wniebogłosy, że pod oknami piekarni poczuli wyraźnie zapach piekącej się gęsi i poczuli, poznali, że to ich własna, Cratchitowa gęś; po czym upojeni rozkosznym wspomnieniem aromatu cebuli i szaławii, jęli tańczyć dookoła stołu, wychwalając jednocześnie piękny strój panicza Piotra, podczas gdy on (nie myślcie przypadkiem, że mu się w głowie przewróciło, chociaż kołnierzyk prawie go dusił) dmuchał w ogień z takim zapałem, iż flegmatyczne dotąd ziemniaki zaczęły stukać o pokrywkę garneczka, domagając się, aby je natychmiast wypuszczono i obrano z łupiny.

– Gdzie też kochany ojciec się podziewa – rzekła pani Cratchit – i wasz braciszek. Maleńki Tim? A Marta w zeszłym roku o tej porze była już w domu od pół godziny.

– Jestem, matko – ozwała się dziewczyna wchodząca właśnie do pokoju.

– Przyszła Marta, mateczko! – zawołała chórem para młodszych Cratchitów. – Marto, żebyś ty wiedziała, jaką mamy gęś!

– Córku kochana, czemu tak późno przychodzisz? – powiedziała pani Cratchit obsypując twarz córki pocałunkami i jednocześnie z czułą gorliwością zdejmując z niej szal i kapturek.

– Miałyśmy wczoraj wieczorem bardzo dużo roboty do wykończenia – odparła Marta – i dopiero dziś rano sprzątałyśmy pracownię.

– Ach, wszystko dobrze, skoro już jesteś – westchnęła pani Cratchit. – Siądź teraz, dziecko, koło kominka i ogrzej się, boś pewnie zmarzła.

– Nie, nie, Marto. Właśnie ojciec idzie – wrzasnęło dwoje młodszych Cratchitów, którzy wszystko widzieli i wszystko słyszeli. – Schowaj się, Marto! Prędko!

Tak więc Marta ukryła się i w tej samej chwili wszedł do pokoju Bob Cratchit, ojciec. Drobna jego postać przyodziana była w włóczkowy szal zwisający mu z przodu najmniej na trzy stopy oraz w zniszczone ubranie, wycerowane i wyczyszczone na tę świąteczną okazję. Na barkach ojca siedział Maleńki Tim. Biedny, biedny chłopczyk! W rękę trzymał małe kule, nóżki zaś miał uwięzione w ortopedycznych szynach.

– Gdzie Marta? – spytał Bob, rozglądając się po pokoju.

– Nie przyjdzie – odparła pani Cratchit.

– Nie przyjdzie! – zawołał Bob tracąc nagle cały swój dobry humor; a przecie jeszcze w drodze z kościoła do domu był ognistym rumakiem Maleńkiego Tima. – Nie przyjdzie do domu w dniu Bożego Narodzenia...

Chociaż miał to być tylko żart, Marta nie chciała smucić ojca, wyszła więc przedwcześnie ze swego ukrycia za drzwiami spiżarni i rzuciła mu się w objęcia, podczas gdy para młodszych Cratchitów uprowadziła Maleńkiego Tima do kuchni, aby posłuchał śpiewu puddingu gotującego się w miedzianym naczyniu.

– A jak też się nasz Maleńki Tim sprawował? – spytała pani Cratchit, kiedy już nażartowała się do woli z łatwowierności Boba, ów zaś wyściskał córkę za wszystkie czasy.

– Wzorowo, po prostu wzorowo – odparł Bob. – Kochany chłopczyka! Tyle przebywa w samotności, że istny się z niego zrobił marzyciel i czasem najosobliwsze myśli przychodzą mu do głowy. W drodze do domu powiedział mi, że ma nadzieję, iż go ludzie w kościele za-

uważali, bo jest kaleką, więc może miło im było przypomnieć sobie w dniu Bożego Narodzenia, kto ślepcem przywracał wzrok, a chromym władzę w nogach.

Gdy Bob opowiadał o tym, głos drżał mu ze wzruszenia; zadrżał mu zaś jeszcze bardziej, kiedy biedak zapewniał żonę, że Maleńki Tim z każdym dniem jest zdrowszy i silniejszy.

Po chwili rozległ się szybki stuk dziecinnych kul o podłogę i zanim jedno słowo więcej zostało wypowiedziane, do pokoju wrócił Maleńki Tim w towarzystwie braciszka i siostrzyczki, którzy podprowadzili go do jego krzeselka w kącie obok kominka.

Teraz Bob podwinąwszy rękawy – jakby cokolwiek na świecie mogło im jeszcze zaszkodzić! – zaprawił dżinem i cytrynami jakiś gorący płyn w dzbanku i jął mieszać zawartość podgrzewając ją na blasze kominka. Tymczasem panicz Piotr w towarzystwie dwojga młodszych wszędobylskich Cratchitów wyprawił się po gęś do piekarni, którą też niebawem wnieśli do pokoju w uroczystej procesji.

Wybuchł teraz taki harmider, iż zdawać by się mogło, że gęś to najrzadszy z ptaków, upieczono dziwo, wobec którego czarny łabędź jest zjawiskiem najzwyczajszym w świecie. Prawdę mówiąc, gęś była rarytasem w tym domu.

Pani Cratchit podgrzała okrasę zawczasu przygotowaną w małym rondelku. Panicz Piotr z nadzwyczajnym wprost zapałem zabrał się do tłuczenia kartofli. Panna Belinda posłodziła do smaku sos jabłeczny. Marta przetarła ściereczką gorące talerze. Bob posadził Maleńkiego Tima obok siebie, na małym krzeselku przy stole. Para młodszych Cratchitów przysunęła krzesła dla wszystkich, nie zapominając naturalnie o sobie, po czym zaciągnąwszy strażę u stołu brat i siostra wepchnęli sobie łyżki do ust, a to w obawie, że zaczną dopominać się głośno o gęś, zanim przyjdzie ich kolej. Wreszcie rozstawiono talerze i odmówiono modlitwę.

Zapadło teraz pełne napięcia milczenie, podczas którego pani Cratchit, obrzuciwszy w pierw uważnym spojrzeniem długie ostrze noża, przygotowywała się do zanurzenia go w gęsi; a gdy w końcu rozkładała pierś i oczom zebranych ukazał się z dawna oczekiwany widok nadziei, szmer zachwyty obiegł stół i nawet Maleńki Tim, naśladując parę młodszych Cratchitów, stuknął trzonkiem noża w stół i zawołał słabiutkim głosem: – Hura!

Nigdy nie było na świecie takiej gęsi. Bob powiedział, że nie wierzy, aby ktokolwiek kiedykolwiek upiekł taką gęś. Delikatne mięso i wyborny smak, niezwykle rozmiary i niska cena stały się przedmiotem ogólnego podziwu. Z dodatkiem sosu jabłecznego i tłuczonych ziemniaków stanowiła wystarczające danie świąteczne dla całej rodziny. A właściwie – jak oznajmiła z ukontentowaniem pani Cratchit, przyglądając się pozostawionej na półmisku jednej małej kostce – to nawet nie zjedli wszystkiego! Mimo to wszyscy się nasycili, zwłaszcza zaś młodszy Cratchitowie, których buzie umazane były sosem aż po brwi.

Ale oto panna Belinda sprzątnęła talerze i pani Cratchit opuściła pokój (całkiem sama, bo w tym krytycznym momencie nie zniosłaby obecności świadków), aby wyjąć z rondla i podać do stołu pudding.

A może pudding jest nie dogotowany? A może przy wyjmowaniu z rondla rozpadł się na części? A może ktoś przeskoczył przez murek od strony podwórza i skradł go, podczas gdy oni raczyli się gęsią przy stole? Na tę myśl twarze dwojga młodszych Cratchitów oblekły się przeraźliwą bledością. Kolejno przychodziły im do głowy najpotworniejsze przypuszczenia.

Co to? Wielka chmura pary! Pudding wyjęty z rondla. W kuchni unosi się zapach jak w dniu prania. To z serwety, w której gotowano pudding. Teraz rozchodzą się wonie tak zmieszane, jakby gdzieś w pobliżu znajdowała się restauracja i tuż obok cukiernia, a zaraz za nią pralnia. Oto jest pudding w całej swej krasie. W pół minuty później weszła do pokoju pani Cratchit, rozgorączkowana, lecz dumnie Uśmiechnięta, z puddingiem na tacy. Znakomite to dzieło, z kształtu i spoistości przypominające nakrapianą kulę armatnią, oblane było półkwarterką rumu, który zapalony buchał jasnym płomieniem, na wierzchu zaś przyozdobione świąteczną gałązką ostrokrzewu.



Ach, wspaniały pudding! Bob Cratchit oznajmił głosem najspokojniejszym w świecie, że jest to największe arcydzieło sztuki kulinarnej, jakie pani Cratchit stworzyła, odkąd są małżeństwem. Pani Cratchit odparła, że teraz, kiedy ciężar spadł jej już z serca, musi przyznać, iż ilość mąki wziętej do puddingu wielce ją niepokoiła. Wszyscy mieli coś do powiedzenia na temat puddingu, ale nikt nie powiedział ani nawet nie pomyślał w skrytości, że jest to pudding bardzo mały jak na tak liczną rodzinę. Podobne twierdzenie byłoby wręcz herezją. Każdy Cratchit pierwaj zapadłby się pod ziemię ze wstydu, niżby o czymś takim napomknął.

Wreszcie skończył się obiad, więc sprzątnięto ze stołu, podmieciono podłogę obok komina i dorzucono węgla na palenisko. A gdy Bob skosztował napoju przygotowanego w dzbanie i oznajmił, że jest wyśmienity, postawiono na stole jabłka i pomarańcze i rzucono na ogień kilka garści kasztanów. Wtedy cała rodzina zasiadła przy kominku kołem, jak to Bob nazywał, choć po prawdzie było to tylko półkole. Obok Boba umieszczono całą zastawę szklaną rodziny Cratchitów, to jest dwa kieliszki i filiżankę ze szkła z obrażonym uszkiem. Trzeba jednak przyznać, że naczynia te nadawały się do swego przeznaczenia nie gorzej niżli złote pucharki, toteż Bob z miną rozpromienioną nalał do nich trunku; tymczasem kasztany trzaśkały wesoło w ogniu.

Bob wznosił toast:

– Wesołych świąt wszystkim nam życzę. Niech nam Bóg błogosławi, drodzy moi.

Życzenie to cała rodzina powtórzyła zgodnym chórem.

– Niech nam Bóg błogosławi, każdemu z nas – rzekł na końcu Maleńki Tim.

Siedział tuż obok ojca na swym małym stołeczku. Bob zamknął w dłoni jego drobną wychudłą rączkę, jak gdyby pragnął ukochanego synka przy sobie zatrzymać, jak gdyby się lękał, że mu go zabiorą.

– Powiedz mi, duchu, czy Maleńki Tim będzie żyć? – spytał Scrooge z serdecznym niepokojem, które to uczucie było mu dotąd najzupełniej obce.

– Widzę opustoszałe krzesło w kącie obok tego ubogiego komina – odparł duch. – Widzę maleńkie kule, przechowywane z miłością jako pamiątka po ich maleńkim właścicielu. Jeżeli przyszłość nie zmieni tych obrazów, dziecko umrze.

– Nie, nie! – zawołał Scrooge. – Dobry duchu, powiedz, że dziecko wyrwane zostanie śmierci!

– Jeżeli przyszłość nie zmieni tych obrazów – powtórzył duch – żaden z moich młodszych braci nie zastanie Maleńkiego Tima w tej izbie. A skoro ma umrzeć, niech umiera czym prędzej i w ten sposób zmniejszy nadmiar ludności na świecie.

Słyszając w ustach ducha swoje własne słowa Scrooge zwiesił głowę, zdjęty żalem i skruchą.

– Człowieku – ozwał się duch – jeżeli masz w piersi serce, a nie kamień, nie wypowiadaj tych słów bezmyślnych i obmierzłych, póki się nie przekonasz, kim jest i gdzie żyje ów nadmiar ludności. Czyżbyś miał prawo rozstrzygać, którzy ludzie powinni żyć, a którzy umrzeć? Być może w oczach Boga mniej zasługujesz na to, aby żyć, niżli miliony istot podobnych temu dziecięciu biednego człowieka. Chryste! Że też słuchać muszę, jak marny robak, żerujący na liściu, uskarża się na nadmiar żywności pośród swych współbraci, co głodni pozostają w pył na ziemi!

Drżąc na całym ciele Scrooge spuścił oczy i w pokorze wysłuchał nagany ducha. Wtem usłyszał swoje nazwisko.

– Zdrowie pana Scrooge’a – mówił właśnie Bob Cratchit. – Wznoszę toast za zdrowie pana Scrooge’a, fundatora tej biesiady!

– Ładny mi fundator! – zawołała pani Cratchit oblewając się rumieńcem... – Chciałabym mieć go teraz pod ręką. Powiedziałabym mu prosto z mostu, co o nim myślę, a głowę dam, że moje słowa nie przypałyby mu do smaku.

– Kochanie – upomniał ją Bob – przecież dzieci słuchają. Nie zapominaj, że mamy dziś Boże Narodzenie.

– Chyba tylko to święto uroczyste mogło cię skłonić do wzniesienia toastu za zdrowie człowieka tak odrażającego, skąpego, tak pozbawionego serca i okrutnego, jak pan Scrooge. Wiesz przecież, Robercie, że on jest taki. Ty sam wiesz o tym najlepiej.

– Kochanie – powtórzył Bob łagodnie – przecież mamy dziś Boże Narodzenie.

– Wypiję jego zdrowie tylko przez wzgląd na ciebie i na to nasze święto radosne – odparła pani Cratchit. – Niech więc żyje długie lata. Życzę mu wesołych świąt i szczęśliwego Nowego Roku. Wyobrażam sobie, jaki jest wesoły i jaki szczęśliwy!

Za przykładem matki dzieci wypili zdrowie Scrooge'a. Pierwszy raz w tym dniu zrobili coś, w co nie włożyły ani krztyny serca. Maleńki Tim wypił na samym ostatku, ale nawet on zrobił to niechętnie. Scrooge stał się postrachem tej rodziny. Na sam dźwięk jego nazwiska zasepili się wszyscy i w ponurym usposobieniu tkwili przez całe pięć minut.

Ale gdy przykry nastrój minął, byli dwakroć weselsi niżli przedtem, już choćby z tej przyczyny, że wygnali z myśli tego przerażającego Scrooge'a.

Teraz Bob oznajmił rodzinie, że ma na oku pracę dla panicza Piotra, która (jeśli ją otrzyma) przyniesie całe pięć szylingów i sześć pensów tygodniowo. Dwoje młodszych Cratchitów aż się zatrzęsło od śmiechu na myśl, że Piotr miałby stać się człowiekiem samodzielnym, sam zaś panicz Piotr, srodze zadumany, spoglądał spomiędzy rogów swego kołnierzyka w ogień z wyrazem tak głębokiej zadumy, jak gdyby zastanawiał się już teraz, na jakie papiery wartościowe winien paść jego wybór, kiedy wpłyną mu do kieszeni owe oszałamiające dochody. Marta, biedna praktykantka u modniarki, opowiedziała im z kolei, jaką teraz pracę wykonuje i jak wiele godzin pracować musi bez wytchnienia; i oznajmiła, że nazajutrz rano poleży dłużej w łóżku, aby choć raz porządnie wypocząć, ponieważ cały jutrzejszy dzień ma wolny od zajęć; i jeszcze dorzuciła, że przed kilku dniami na własne oczy widziała prawdziwą hrabinę i prawdziwego lorda, który był mniej więcej tego wzrostu, co Piotr. Usłyszawszy to Piotr tak wysoko podciągnął rogi kołnierzyka, że nawet gdybyście byli w domu Cratchitów, nie zobaczylibyście jego głowy. Przez cały ten czas kasztany i dzban z trunkiem krążyły wśród biesiadników, niebawem zaś Maleńki Tim odśpiewał smutnym głosikiem piosenkę o dziecku zagubionym w śniegach; a trzeba przyznać, że odśpiewał ją bardzo pięknie.

Otóż wszystko to było – ot, takie sobie. Bardzo zwyczajne. Cratchitowie nie odznaczyli się urodą ani pięknymi strojami. Przeciwnie, buty mieli znoszone, odzienie bardzo skromne, panicz Piotr zaś wiedział już zapewne, co to lombard. Byli przecież szczęśliwi, wdzięczni za wszystko losowi, radzi sobie samym i zadowoleni, że tak miło upływają im święta. A gdy obraz ich zaczął się rozwiewać i blednąć, gdy opromienieni blaskiem pochodni ducha wydawali się w chwili rozstania jeszcze szczęśliwsi, Scrooge patrzył za nimi i patrzył – zwłaszcza zaś za Maleńkim Timem, dopóki całkiem mu z oczu nie zniknęli.

Tymczasem zapadł już wieczór i śnieg zaczął sypać gęsty. A gdy Scrooge z duchem szli ulicami miasta, ogień huczący w kuchniach, salonach i najrozmaitszych innych pomieszczeniach rozświetlał mrok jasnością wprost cudowną. Tutaj w drgającym blasku kominka widać było ostatnie przygotowania do miłej świątecznej wieczerzy; już talerze grzały się przy ogniu, już za chwilę ciężkie czerwone kotary odgrodzić miały biesiadników od ciemności i zimna. Tam dzieci wybiegały na zaśnieżoną ulicę, aby przed innymi domownikami powitać zameżne swe siostry, braci z żonami, kuzynów, wujów i ciotki. Gdzie indziej znów na zasłonach okien poruszały się cienie przybywających w dom gości; ówdzie widać było gromadkę ślicznych, rozszczebiotanych dziewcząt w kapturkach i futrzanych bucikach, lekkim krokiem śpieszących gdzieś w pobliskie sąsiedztwo. Biada kawalerowi, który je, promienne i zachwycające – ach, przebiegłe czarodziejki, dobrze o tym wiedziały – witał na progu.

Sądząc po mnogości ludzi na ulicach, śpieszących w odwiedziny do krewnych i przyjaciół, łatwo można by dojść do wniosku, że biedacy ci nikogo nie zastaną w domu. A tymczasem rzecz osobliwa – w każdym domu oczekiwano gości i na każdym kominie huczał wesoły ogień. Jakże duch radował się tym widokiem! Obnażył szeroką pierś, otworzył dłoń potężną i

szczodra i unosząc się w powietrzu rozrzucił wkoło swą niewinną, promienną wesołość. Latarnik, który biegł rozświetlając smugami światła mrok ulic – nawet ów latarnik śpieszący na wizytę w świątecznym ubraniu roześmiał się w głos, kiedy duch go mijał. A przecież ani się, pocziwina, domyślał, że to sam Duch Bożego Narodzenia dotrzymuje mu towarzystwa.

Nagle, bez żadnego uprzedzenia ze strony ducha, znaleźli się na pępnych, odludnych bagnach, gdzie tu i tam piętrzyły się bezkształtne, olbrzymie głazy, jak gdyby było to cementarzystwo olbrzymów; i gdzie woda rozlana szeroko pochłonęłaby wszystko, gdyby mróz nie ujął jej w lodowe okowy; gdzie rosły jedynie jałowiec i mech, i ostra, twarda trawa. Nisko na widnokregu zachodzące słońce pozostawiło płomienną smugę, która niczym krwią nabiegłe oko spoglądała przez chwilę na tę pustynną okolicę, potem zaś obsuwając się coraz to niżej i niżej zgasła w nieprzeniknionych ciemnościach nocy.

– Gdzie jesteśmy? – spytał Scrooge.

– W okolicy zamieszkaanej przez górników, którzy w pocie czoła ryją wnętrzości ziemi – odparł duch. Ale nawet oni mnie znają. Spójrz!

W oknie samotnej chaty błyszczało światło. Podeszli do chaty i przeniknąwszy przez ścianę ulepioną z gliny i kamienia ujrzeli gromadkę ludzi zebraną wokół ognia trzaskającego wesoło na kominie. Była tam para wiekowych staruszków, ich dzieci, wnuki i prawnuki, wszyscy świątecznie przyodziani. Starzec śpiewał kolędę głosem, który z rzadka tylko przebijał się ponad wycie wichru na pustkowiu – kolędę bardzo starą już wtedy, kiedy on był małym chłopcem. Od czasu do czasu wszyscy mu wtórowali, ilekroć zaś rozbrzmiewały ich głosy, starzec ożywał się i głos jego przybierał na mocy; ilekroć milkł chóralny śpiew, siły starca gasły.

Duch nie bawił tu długo. Poleciwszy Scrooge'owi, aby ów pochwycił w dłoń kraj jego szaty, wzbil się w powietrze i poszybował nad trzęsawiskami – dokąd? Czyżby nad morze? No tak, nad morze. Obejrawszy się Scrooge dostrzegł ku swemu nieopisanemu przerażeniu nikaący mu z oczu ostatni skrawek ładu, pasmo groźnych skał; i usłyszał w dole ogłuszający ryk wody, która przelewała się i kłębiła pośród wyżartych przez fale straszliwych wyrw i w skalnej ścianie i z wściekłym uporem usiłowała podmyć ziemię.

W odległości mili od brzegu stała samotna latarnia morska wzniesiona na wynurzającym się z toni pępym wierzchołku podwodnej skały, o którą fale uderzały przez cały rok z tą samą nieposkromioną wściekłością. Kosmate wodorosty oblepiły podnóże latarni, petrele zaś – te ptaki zrodzone chyba z wichrów morskich, jak wodorosty zrodzone są z morskiej toni – szybowały dokoła niej to unosząc się, to znów opadając w rytmie fal, których powierzchnię muskały.

Ale nawet tutaj dwaj latarnicy rozpalili ogień, rzucający przez otwór w grubym murze latarni snop jaskrawego światła na rozszalałe morze; i złączywszy nad prostym sosnowym stołem swe ręce stwardniałe od pracy życzyli sobie wesołych świąt i tręcali się kubkami grogu. A potem starszy z nich, którego twarz zbrzydzone przez wichry i słoty przypominała maski wyrzynane ongiś na dziobach starodawnych okrętów, zaśpiewał pieśń tak prawie potężną, jak grzmot morskiej wichury.

I znowu duch wzbil się ponad czarne, rozchybotane morze i szybował, szybował wciąż naprzód. A gdy byli już bardzo daleko, jak powiedział Scrooge'owi, od brzegów, opuścił się na pokład jakiegoś okrętu. Obserwowali teraz kolejno sternika przy sterze, strażnika na dziobie i oficerów na wachcie – niewyraźne w gęstym mroku, niemal upiorne postacie stojące na swoich różnych posterunkach. Otóż każdy z nich nucił kolędę albo rozmyślał o wigilijnym święcie, albo wreszcie głosem cichym opowiadał towarzyszącej o świętach dawno minionych, pocieszając się w sercu nadzieją powrotu do rodziny. Każdy z tych mężczyzn na statku – pełniący służbę czy zażywający odpoczynku, dobry czy zły – miał w tym dniu dla towarzyszy słowo lepsze niżli każdego innego dnia w roku, uczestniczył niejako w wigilijnych uroczystościach, ulatywał myślami ku tym, którzy mimo oddalenia byli mu bliscy i którzy – tego był pewien – wspominali go z miłością.

Wysłuchany w wycie wichru Scrooge rozmyślał o tym, jaką grozę, a zarazem cześć muszą odczuwać ludzie, co suną pośród samotnych ciemności ponad wodną otchłanią, w której kryje się tajemnica niezgłębiona jak śmierć. A gdy tak trwał w zadumie, nagle usłyszał z nieopisanym zdumieniem czyjś głośny, wesoły śmiech. Lecz zdziwienie jego wzrosło niepomiernie, kiedy poznał głos siostrzeńca i jednocześnie najniespodziewaniej w świecie znalazł się w jasnym, ciepłym pokoju. Stał u boku ducha, który uśmiechając się przyjaźnie spoglądał na tegoż Scrooge'owego siostrzeńca z życzliwą aprobata.

– Cha, cha, cha! – śmiał się siostrzeniec Scrooge'a. – Cha, cha, cha!

Jeżeli znasz przypadkiem, czytelniku – co jednak nie wydaje mi się prawdopodobne – człowieka śmiejącego się serdeczniej i radośniej niżli siostrzeniec Scrooge'a, to rzeknę ci jedynie, że ja również chciałbym go poznać. Przedstaw mi go, a będę rad podtrzymać z nim znajomość.

Jest to porządek rzeczy ze wszech miar słuszny i sprawiedliwy, że podczas gdy choroby zakaźne i smutek łatwo udzielają się innym, nie ma przecie rzeczy bardziej zaraźliwej na świecie niżli wesoły śmiech i dobry humor. Kiedy więc podparłszy rękami boki siostrzeniec Scrooge'a śmiał się kiwając głową i marszcząc twarz w najbardziej niepomiarkowany sposób, śmiała się również jego żona. A że ich goście ani myśleli pozostawać w tyle, przeto dosłownie trzęśli się od śmiechu.

– Cha, cha! Cha, cha, cha!

– Powiedział, że święta Bożego Narodzenia to bzdura – zawołał siostrzeniec Scrooge'a. – Klnę się na wszystko, że tak powiedział. Co więcej, on naprawdę tak myśli.

– Tym gorzej dla niego – rzekła z oburzeniem żona siostrzeńca Scrooge'a. Ach, uwielbienia godne są te kobiety. Nigdy nie robią niczego połowicznie i zawsze wszystko traktują na serio.

Żona Freda, siostrzeńca Scrooge'a, była bardzo ładna, właściwie nadzwyczaj ładna. Miała dołki w policzkach i wyraz jak gdyby zdziwienia na zachwycającej twarzyczce; miała śliczne pełne wargi, jakby stworzone do całowania – ja osobiście pewien jestem, że w tym celu zostały stworzone! I miała jeszcze mnóstwo uroczych dołków na brodzie, które przy śmiechu zlewały się w jeden uroczy dołek, a także parę najpromienniejszych oczu na świecie. Ogólnie rzecz biorąc, było w niej coś drażniącego. Wiecie, co mam na myśli. Ale drażniącego w przyjemny sposób. Och, w nadzwyczaj przyjemny sposób!

– Cała rzecz w tym – ozwał się siostrzeniec Scrooge'a – że z wujaszka jest śmieszny, stary dziwak. I w dodatku nie bardzo sympatyczny. Ale jego wady same się mszczą na nim, a ja nie noszę do niego w sercu urazy.

– Musi być chyba bardzo bogaty – podsunęła żona siostrzeńca Scrooge'a. – Przynajmniej tak mi mówiłeś.

– Co z tego, moja droga? – odparł Fred. – Przecież bogactwo nie daje mu żadnego pożytku. Ani innym nie czyni przy jego pomocy dobra, ani sam nie czerpie zeń nijakich korzyści. Nie znajduje nawet pociechy w myśli przyjemnej... cha, cha, cha... że nas kiedyś swym bogactwem obdarzy.

– Brak mi dla niego wyrozumiałości – oznajmiła żona siostrzeńca Scrooge'a. Siostry żony siostrzeńca Scrooge'a podzieliły jej zdanie, podobnie jak wszystkie inne obecne damy.

– A mnie nie brak – odparł siostrzeniec Scrooge'a. – Żał mi go. Choćbym nawet chciał, nie mógłbym się na niego gniewać. Kto cierpi przez jego niedorzeczne chimery? On sam, tylko on. Na przykład wmówił w siebie, że nas nie lubi i z tej przyczyny nie przyjął naszego zaproszenia na obiad. A jaki tego skutek? Jeśli idzie o obiad, to prawdę powiedziawszy, niewiele stracił.

– A ja uważam, że stracił bardzo wiele – zawołała żona siostrzeńca Scrooge'a. Wszyscy obecni ją poparli, ja zaś myślę, że mieli prawo wyrokować, jako że dopiero co wstali od stołu i teraz czekając na herbatę usiedli w świetle lampy przy kominku.

– Hm, rad jestem, że tak mówicie – rzekł siostrzeniec Scrooge’a – ponieważ ja osobiście niewielkie mam zaufanie do takich świeżo upieczonych gospodyń. A co ty o tym sądzisz, Topper?

Otóż Topperowi wpadła najwyraźniej w oko jedna z sióstr żony siostrzeńca Scrooge’a, odparł bowiem, że mężczyzna nieżonaty jest nieszczęśliwym wyrzutkiem w społeczeństwie, który to wyrzutek nie ma prawa wydawać sądów w tej materii. Co usłyszawszy owa siostra żony Freda – ta pulchniutka w koronkowym szalu, nie ta z różami przypiętymi do sukni – oblała się rumieńcem.

– Mówże dalej, Fred – prosiła go żona klaszcząc w dłoń. – On zawsze zaczyna mówić i nigdy nie kończy. Co za głuptas z niego.

Siostrzeniec Scrooge’a znowu wybuchnął śmiechem, a ponieważ była to zaraza, której żadną miarą nie dało się uniknąć (choć trzeba przyznać, że pulchna siostra broniła się przed nią za pomocą aromatycznego octu), wszyscy poszli zgodnie za jego przykładem.

– Otóż chciałem powiedzieć – ciągnął siostrzeniec Scrooge’a – że powziąwszy do nas ową niechęć, co mu wzbronila uczestniczyć w naszej zabawie, wujaszek pozbawił się rozrywki, która by mu z pewnością nie zaszkodziła. Sądzę, że znalazłby w naszym domu towarzystwo miłsze niżli własne jego myśli, które są mu jedynymi towarzyszkami, czy to w zatęchłym, starym kantorze, czy w zakurzonej mieszkanie. Żał mi go, więc postanowiłem dawać mu co roku tę samą szansę – czy mu to jest miłe, czy nie. Może sobie szydzić z świąt Bożego Narodzenia aż do samej śmierci. Nie może jednak – choćby nie wiem jak się przeciwko temu bronił – nie powziąć w końcu lepszego o nich mniemania, jeżeli co roku będę go odwiedzał pytając życzliwie: „Jakże się miewasz, wujaszku?” Uważałbym, że to już wiele, gdyby te moje odwiedziny tak na niego podziałały, iżby zapisał kilkadziesiąt franków swemu kanceliście. Zresztą myślę, że mu wczoraj trochę wzruszył.

Teraz z kolei oni wybuchnęli śmiechem, tak zabawną wydała im się sama myśl o tym, że Fred mógłby wzruszyć starego Scrooge’a. Że jednak Fred był człowiekiem dobrodusznym i niewiele go obchodziło, z czego się goście śmieją, byleby się tylko śmieli, zachęcał ich do tych nowych objawów wesołości puszczać jednocześnie w krąg butelkę wina.

Czas po podwieczorku przeznaczili na muzykę. A byli to wszystko ludzie muzykalni i zapewniłem was, że umieli wziąć się do rzeczy, gdy rozpoczynali pieśń na jeden lub na kilka głosów. Zwłaszcza Topper wprost przepięknie ryczał basem, przy czym ani nie nabrzmiewały mu żyły na czole, ani twarz nie robiła się czerwona. Żona siostrzeńca Scrooge’a dobrze grała na harfie, między zaś innymi utworami odegrała prostą, naiwną melodię – istny drobiazg, w dwie minuty można by się go nauczyć gwizdać. Była to piosenka dobrze znana dziewczynce, która ongiś przyjechała po Scrooge’a do szkoły, o czym przypomniał mu Duch Wigilijnej Przeszłości. A gdy rozbrzmiały tony tej melodii, stanęły znów Scrooge’owi przed oczyma wszystkie obrazy, które mu ów duch pokazywał. Uczucia coraz tkliwsze wypełniały mu serce; pomyślał, że gdyby przed laty danym mu było częściej słuchać tej piosenki, umocniłby się może w cnotach serca ku własnej szczęśliwości. A przy tym osiągnąłby to sam, bez pomocy łopaty grabarza, która pochowała Jakuba Marleya.

Ale nie myślcie, że siostrzeniec Scrooge’a i jego goście cały wieczór poświęcili muzyce. Po jakimś czasie zaczęli grać w fanty, bo dobrze jest czasem stać się dzieckiem, a już zwłaszcza w dniu Bożego Narodzenia, kiedy ów, któremu dzień ten jest poświęcony, sam był dziećciem. Ach, omyliłem się! Przecież najpierw bawili się w ślepą babkę. No, naturalnie. Ale nie wierzę, że Topper nic nie widział, podobnie jak nie wierzę, że miał dodatkowe oczy – powiedzmy w trzewikach. Moim zdaniem Topper i siostrzeniec Scrooge’a z góry wszystko między sobą ułożyli, Duch zaś Tegorocznego Bożego Narodzenia świetnie o tym wiedział. Sposób, w jaki Topper ścigał pulchną siostrę żony siostrzeńca Scrooge’a, tę w koronkowym szalu, był po prostu obrazą dla ludzkiej łatwowierności. Przewrócił stojak z pogrzebaczem, szufelką i szczypcami do węgla, potykał się o krzesła, wpadał na fortepian, plątał się między

zasłonami u okien, lecz szedł wszędzie tam, gdzie szła ona. Zawsze wiedział, gdzie znajduje się ta pulchna siostra. Żadną miarą nie chciał chwycić innych osób. A jeżeli ktoś wpadł na niego umyślnie (jak to niektórzy robili), udawał, że łapie tego kogoś, ale udawał tak niezdarnie, że było to wręcz zniewagą dla ludzkiej inteligencji, i natychmiast podejmował gonitwę za pulchną siostrą. Ta zaś wielokroć wołała, że jest to gra nieuczciwa; i miała słuszość. Ale gdy ją wreszcie złapał, gdy mimo że mu wciąż umykała wśród szelestu jedwabnych spódniczek, zapędził niebogę w róg pokoju, skąd nie było już nijakiej ucieczki – wtedy zachowanie jego stało się po prostu ohydne. Udawał, że jej nie poznaje. Udawał, że musi koniecznie dotknąć jej głowy, że chcąc się upewnić co do jej tożsamości, musi wsunąć na dziewczęcy palec pewien pierścionek i zapiąć na szyi pewien łańcuszek – ach, wszystko to było potworne, odrażające. Niezawodnie powiedziała mu, co o tym myśli, gdy z kolei komuś innemu zawiązano oczy, oni zaś prowadzili za firankami bardzo poufną rozmowę.

Nie myślcie, że żona siostrzeńca Scrooge'a bawiła się w ślepą babkę. O, nie! Usadowiono ją wygodnie w dużym fotelu w zacisznym kąciku (tuż obok miejsca, gdzie stał Scrooge z duchem) i podsunęto stołeczek pod nogi. Ale przyłączyła się do gry w fanty i zachwyciła wszystkich podczas gry w abecadło. No i przeszła samą siebie w grze „Jak, Gdzie i Kiedy”, ku tajemnemu ukontentowaniu siostrzeńca Scrooge'a, bijąc na głowę własne siostry, chociaż im także nie brakowało sprytu, co mógłby zapewne Topper poświadczyć.

Było tam ze dwadzieścia osób młodych i starych, ale wszystkie uczestniczyły w zabawie, a wraz z nimi Scrooge. Albowiem pochłonięty tym, co się wokół niego działo, zgoła zapomniał, że głos jego jest dla nich niedosłyszalny, i co rusz wykrzykiwał odpowiedzi na zadawane zagadki. Trzeba zaś powiedzieć, że najczęściej odgadywał trafnie, żadne bowiem wody górskiego potoku nie były bystrzejsze od Scrooge'a – choć on się całe życie upierał, aby być tępym.

Ducha cieszyła bardzo ta zmiana w jego usposobieniu, spoglądał też na niego tak łaskawie, że Scrooge niczym mały chłopiec ośmielił się go prosić, aby zostali jeszcze, dopóki goście nie rozejdą się do domów. Ale duch odparł, że to niemożliwe.

– Zaczynają nową grę! – prosił Scrooge. – Pół godziny, duchu! Zostańmy choć z pół godziny!

Otóż nowa ta gra zwana „Tak i Nie” na tym polegała, że siostrzeniec Scrooge'a miał pomyśleć o czymś, reszta zaś powinna była odgadnąć, co to jest takiego, przy czym na wszystkie ich pytania Fred odpowiadać mógł tylko „tak” lub „nie”, w zależności od przypadku. Wziąwszy go w krzyżowy ogień pytań zdołali z niego wydobyć, że miał na myśli zwierzę, żywe zwierzę, dość nieprzyjemne zwierzę, dzikie zwierzę, które czasem pomrukuje i warczy, kiedy indziej znów mówi; które mieszka w Londynie, chodzi po ulicach; zwierzę, którego nie pokazywano za pieniądze, ani nie prowadzono na smyczy, nie trzymano w menażerii, nie zabijano w rzeźni, które nie jest ani koniem, ani osłem, ani krową, ani bykiem, ani tygrysem, ani psem, ani świnia, ani kotem, ani niedźwiedziem. Każde nowe pytanie siostrzeniec Scrooge'a witał nowym wybuchem śmiechu. W końcu w takie wpadł rozbawienie, że już w ogóle na kanapie nie mógł usiedzieć, wstał i jał tupać nogami w podłogę. Nagle pulchna siostra zawołała z radosnym tryumfem w głosie:

– A ja zgadłam! Wiem, co to jest! Wiem, wiem!

– To powiedz – rzekł Fred.

– Twój wujaszek Scrooge.

Dobrze utrafiła. Nie było końca zachwytom, chociaż ktoś zwrócił uwagę, że na pytanie: „Czy to jest niedźwiedź?”, odpowiedź powinna była brzmieć: „Tak”, ponieważ odpowiedź przecząca odwróciła myśli grających od pana Scrooge'a – jeżeli w ogóle skłonni byli zaprzętać sobie nim głowę.

– Dzięki wujaszкови tak wyśmienicie się bawiliśmy – zawołał siostrzeniec Scrooge'a – że byłoby to czarną niewdzięcznością, gdybyśmy nie wznieśli na jego cześć toastu. Mamy tu grzane wino, pijmy więc – zdrowie wujaszka Scrooge'a!

– Zdrowie wujaszka Scrooge’a! – zawołali wszyscy.

– Niech tam sobie staruszek będzie, jaki jest, życzę mu wesołych świąt i pomyślnego Nowego Roku – rzekł siostrzeniec Scrooge’a. – Nie chciał przyjąć ode mnie życzeń, a ja mimo to mu je składam. Twoje zdrowie, wujaszku!”

A Scrooge całkiem niepostrzeżenie dał się ponieść tak płochej wesołości, że byłby wypił zdrowie towarzystwa i podziękował zebrany w niedosłyszalnej dla nich przemowie – gdyby duch mu na to pozwolił. Lecz wraz z ostatnimi słowami siostrzeńca cały obraz znikł Scrooge’owi sprzed oczu, on zaś wraz z duchem w dalszą puścił się drogę.

Dużo, dużo widzieli, daleką odbyli wędrówkę i odwiedzili wiele domów wszędzie wnosząc radość i wesele. Duch zatrzymywał się na chwilę przy łóżach chorych, a sływała na nich pogoda i błogi spokój; przy wygnańcach, a zdawało im się, że wrócili do kraju ojczystego; przy borykających się z przeciwnościami losu, a znajdowali pociechę w nadziei lepszej przyszłości; przy nędzarzach, a zapominali o swoim ubóstwie. W szpitalu, przytułku, więzieniu, we wszystkich przybytkach nieszczęścia i niedoli, gdzie człowiek obdarzony władzą przemijającą i krótkotrwałą, człowiek pyszny i próżny nie mógł zabezpieczyć drzwi przed duchem i wzbronić mu wstępu – wszędzie tam duch zostawiał swoje dary błogosławione, w ten sposób ucząc Scrooge’a miłosierdzia.

Inna jeszcze rzecz zdumiewała Scrooge’a. Podczas gdy w jego wyglądzie żadne nie zaszły zmiany, duch starzał się, starzał się wyraźnie. Scrooge zauważył te zmiany, ale nie wspominał o nich, dopóki nie spostrzegł – wyszli właśnie z jakiejś zabawy dziecięcej w dniu święta Trzech Króli i stali pod gołym niebem – że włosy ducha całkiem zbiały.

– Czy duchy żyją tak krótko? – spytał.

– Moje życie na tym świecie bardzo jest krótkie – odparł duch. – Kończy się dzisiejszej nocy.

– Dzisiejszej nocy! – zawołał Scrooge.

– Tak, gdy zegary wybiją północ. Słyszysz? Ta pora już bliska!

Właśnie kuranty na wieży wydzwoniły trzy kwadransy po godzinie jedenastej.

– Wybacz mi, duchu, zbyt może śmiało pytanie – rzekł Scrooge wpatrując się w szatę ducha – lecz spod kraju twej opończy wystaje coś, co nie należy do ciebie. Czy są to stopy ludzkie, czy też szpony ptaka?

– Są to kończyny tak wychudłe, że śmiało można by je nazwać szponami – brzmiała smutna odpowiedź ducha. – Spójrz.

Pośród fałd szaty wydobyl dwoje dzieci – wynędzniałych, odrażających, strasznych, szkaradnych. Klękawszy u stóp ducha stwory te uczepliły się kraju jego szaty.

– Och, człowieku, spójrz, spójrz na nie! – wołał duch.

Była to dziewczynka i chłopiec. Pożółkłe, wychudłe, obdarte, patrzące spode łba, zdziczałe istoty; ale jednocześnie płaszczące się pokornie. Młodość nie nadała im twarzom wdzięcznej krągłości ani nie powlekła swą barwą świeżą; zdawać się mogło, że jakaś dłoń okrutna niczym ręka czasu wykrzywiła, zniekształciła, skaziła ich rysy. Tam gdzie aniołowie powinni byli królować, czaiły się złe duchy łypiące groźnie ślepiami. Rodzaj ludzki, choćby najbardziej upodlony, najbardziej poniżony, znikczemiały, nie zdołałby wydać potworów tak szkaradnych.

Scrooge cofnął się, zdjęty wstrętem. Ujrawszy je tak niespodzianie czuł się w obowiązku powiedzieć, że są to ładne dzieci, lecz słowa ugrzęzły mu w gardle, jak gdyby nie chciały brać udziału w tak wierutnym kłamstwie.

– Duchu, czy są to twoje dzieci? – wymamrotał.

– Są to dzieci człowiecze – odparł duch spoglądając na nieszczęsny drobiazg. – Czepiają się mych sukien szukając obrony przed swymi ojcami. Chłopiec uosabia Ciemnotę, dziewczynka – Nędzę. Strzeż się tych dwojga i wszystkich ich pobratymców, ale najbardziej strzeż się chłopca, gdyż na jego czole widzę wypisaną zapowiedź zguby. Zapowiedź ta ziści się,

jeżeli napis nie zostanie starty. Zaprzecz temu, co mówię – wołał duch wyciągając rękę ku miastu. – Spotwarzaj każdego, kto ci o tym przypomni! Dla własnej swej wygody pogódź się z ich istnieniem! Ale drogo za to kiedyś zapłacisz!

– Czyż nie znajdą nigdzie ratunku, nie znajdą schronienia? – spytał Scrooge z rozpaczą w głosie.

– A czy nie ma więzień? – spytał duch, po raz ostatni zwracając się do Scrooge'a własnymi jego słowy. – Czy nie ma domów poprawy?

Zegar wybił północ.

Scrooge rozejrzał się szukając wzrokiem ducha, ale go już nie było. A gdy umilkło ostatnie uderzenie zegara, przypomniał sobie słowa starego Jakuba Marleya i podniósłszy oczy ujrzał majestatyczną jakowąś postać w płaszczu i kapturze, która szła ku niemu niczym tuman mgły sunący nisko po ziemi.



## Strofka czwarta

### Odwiedziny trzeciego ducha

Zjawa zbliżała się powoli, uroczyście, w milczeniu. Kiedy była już blisko, Scrooge przykląkł na jedno kolano, gdyż sama atmosfera otaczająca tego nowego gościa z zaświatów przepojona była tajemniczością i grozą.

Postać ducha, a także jego głowę i twarz okrywał szczelnie długi czarny całun, spod którego tylko jedna wyciągnięta ręka była widoczna. Gdyby nie ta ręka, wzrok ludzki nie dostrzegłby widma, nie zdołałby rozróżnić jego kształtów pośród otaczających je ciemności.

Gdy widmo stanęło przy nim, Scrooge domyślił się raczej, niżli zobaczył, że jest wysokie i okazałe, a także odczuł w jego tajemniczej bliskości lęk osobliwie dominujący. Nic więcej o nim nie wiedział, gdyż duch ani się dotąd nie odezwał, ani nie wykonał żadnego gestu.

– Czy mam przed sobą Ducha Przyszłych Wigilii? – spytał Scrooge.

Duch nie odpowiedział, tylko wyciągnął przed siebie rękę.

– Przybywasz, duchu – ciągnął Scrooge – aby mi pokazać cienie tego, co się jeszcze nie zdarzyło, ale zdarzy się w przyszłości. Czy słusznie mówię?

Górna część całunu zafalowała i skurczyła się na sekundę, jak gdyby duch skinął głową. Tylko taką odpowiedź otrzymał Scrooge.

Chociaż Scrooge zdążył już przywyknąć do obcowania z istotami niezemijskimi, to jednak obecność tej milczącej zjawy takim przejęła go lękiem, że ugięły się pod nim kolana i nogi odmówiły mu posłuszeństwa, gdy usiłował podążyć za duchem. Ów zauważył snadź pomieszenie Scrooge'a, przystanął bowiem na chwilę, jakby czekając, aż Scrooge odzyska kontenans.

Ale to jeszcze bardziej zmieszało Scrooge'a. Niejasne, dręczące uczucie trwogi przeniknęło go na myśl, że spoza czarnego całunu wpatrują się weń oczy niezemijskiej zjawy, podczas gdy on wyteżając wzrok widzi rękę widma i niewyraźny zarys jego postaci.

– O Duchu Przyszłych Wigilii! – zawołał Scrooge. – Lękam się ciebie bardziej niżli twoich poprzedników. Ale ponieważ wiem, że pragniesz mego dobra, i ponieważ mam nadzieję stać się innym, lepszym człowiekiem, gotów jestem wszędzie ci towarzyszyć z sercem przepelnionym wdzięcznością. Czy nie odezwiesz się do mnie?

Duch milczał i tylko rękę trzymał wciąż wyciągniętą przed siebie.

– Prowadź mnie więc – zawołał Scrooge. Prowadź mnie, gdyż czas szybko uchodzi. Prowadź mnie, duchu!

Duch ruszył przed się powoli, krokiem posuwistym, Scrooge zaś podążył za nim w cieniu jego całunu, który zdawał się go unosić i ciągnąć za sobą.

Trudno powiedzieć, że to oni weszli do miasta; raczej miasto, wyrósłszy nagle jak spod ziemi, ze wszystkich stron ich otoczyło. Ale tak czy inaczej, znaleźli się w samym sercu Londynu, na giełdzie, pośród kupców, którzy spiesząc tam i sam pobrękiwali pieniędzmi w kieszeniach, naradzali się zbici w małe gromadki, spoglądali na zegarki, w zamyśleniu bawili się złotymi brelokami i wykonywali mnóstwo innych czynności, przy których Scrooge tylekroć ich widywał.

Duch zatrzymał się przy jednej takiej gromadce, Scrooge zaś widząc, że jego ręka tę właśnie gromadkę wskazuje, podszedł bliżej i jał przysłuchiwać się prowadzonej rozmowie.

– Nie – mówił tęgi jegomość o zadziwiająco tłustym podbródku – nie mam żadnych szczegółów. Wiem tylko, że umarł.

– Kiedy? – spytał inny.

– Słyszałem, że dzisiejszej nocy.

– A co mu się tak nagle stać mogło? – zagadnął trzeci, biorąc pokazną szczyptę tabaki z ogromnej tabakierki. – Myślałem, że on nigdy nie umrze.

– Bóg raczy wiedzieć, co mu się stało – rzekł pierwszy jegomość ziewając przeciągle.

– Czy wiadomo może, co zrobił z pieniędzmi? – zapytał jegomość o purpurowej twarzy i narośli zwisającej mu z czubka nosa, która trzęsła się przy każdym ruchu niczym korale indyka.

– Nic o tym nie słyszałem – odparł ten z podbródkiem, ponownie ziewając. – Może zapisał je swojej gildii kupieckiej. Wiem tylko, że mnie ich nie zostawił.

Dowcip ten przyjęto wybuchem śmiechu.

– Pogrzeb będzie pewnie bardzo skromny – ciągnął dalej ten sam jegomość – bo nie znam doprawdy nikogo, kto by go chciał odprowadzić do grobu. A gdybyśmy tak zgłosili się wszyscy na ochotnika?

– Nie miałbym nic przeciwko temu, gdyby nas zaproszono na stypę – ozwał się jegomość z naroślą na nosie. – Ale żałobnikiem mogę zostać tylko za cenę dobrego obiadu.

Nowy wybuch śmiechu.

– Jak widzę, jestem jedynym bezinteresownym człowiekiem w tym gronie – przemówił jegomość z podbródkiem – gdyż z reguły nie noszę czarnych rękawiczek i z reguły nie jadam o tej porze obiadów. Ale tym razem gotów jestem pójść na pogrzeb, jeżeli któryś z panów zechce mi towarzyszyć. Jak się tak zastanowię, to nie wiem doprawdy, czy to przypadkiem nie ja byłem jego najbliższym przyjacielem, gdyż zamienialiśmy ze sobą kilka słów przy każdym spotkaniu. Na razie żegnam was, panowie.

Rozstawszy się uczestnicy tej rozmowy zniknęli w tłumie, wtedy zaś Scrooge, który znał ich wszystkich, spojrzął na ducha oczekując od niego wyjaśnień.

Ale widmo opuściło giełdę i na ulicy wskazało Scrooge'owi palcem dwóch witających się właśnie mężczyzn. Scrooge znowu nastawił ucha w nadziei, że może tutaj znajdzie wytłumaczenie tamtej rozmowy. Znał dobrze tych mężczyzn. Byli to także kupcy: ludzie bogaci i bardzo wpływowi. Scrooge'owi zależało zawsze na tym, aby zyskać ich szacunek, aby ludzie ci mieli dobre o nim mniemanie. Oczywiście, jako o kupcu; wyłącznie jako o kupcu.

– Jakże się pan miewa? – zagadnął jeden drugiego.

– Doskonale. A pan? – odparł tamten.

– Niezgorzej. No i w końcu licho wzięło tego starego kutwę.

– Tak, słyszałem o tym. Zimno dzisiaj, co?

– Pogoda w sam raz jak na Boże Narodzenie. Pan chyba nie jeździ na łyżwach?

– Nie. Mam inne sprawy na głowie. Do widzenia.

Ani słowa więcej. Takie było ich przywitanie, rozmowa i pożegnanie.

Scrooge zdziwił się początkowo, że duch przywiązuje wagę do tak błahych na pozór rozmów. Ponieważ jednak był przekonany, że zawierają one jakiś sens ukryty, usiłował dociec ich znaczenia. Wydawało mu się to rzeczą mało prawdopodobną, aby dotyczyć mogły śmierci Jakuba Marleya, jego dawnego wspólnika, gdyż tamto należało do przeszłości, przyszłość zaś była domeną tego ducha. Nie przychodził też Scrooge'owi na myśl nikt spośród bliskich jego znajomych, do kogo mogłyby się odnosić zasłyszane rozmowy. Nie wątpiąc jednak ani przez chwilę, że do kogokolwiek się odnosiły, zawierały przecie jakąś dla niego przeznaczoną, ukrytą naukę, postanowił przechowywać w pamięci niczym skarb bezcenny każde zasłyszane słowo i każdy oglądany obraz. Zwłaszcza zaś postanowił obserwować pilnie cień swojej osoby, w nadziei, że naprowadzi go ona na właściwy trop i pozwoli rozwiązać zagadkę.

Zaczął szukać wzrokiem swojej postaci, lecz w miejscu, gdzie zwykł się być zatrzymywać, stał inny jakiś człowiek, a chociaż zegar wskazywał godzinę, o której Scrooge tu co dzień przychodził, nie dojrzał siebie pośród tłumu idącego przez przedsionek giełdy. Nie zdziwiło go to jednak, bo postanowił już zmienić dotychczasowe życie, przypuszczał więc, iż w scenie tej widzi dowód ziszczenia się nowych swych postanowień.

Milczący i mroczny stał obok niego duch z wyciągniętą przed się ręką. Ocknąwszy się z tych pilnych rozmyślań Scrooge wyobraził sobie – z gestu ręki ducha i jej zmienionego położenia – że niewidoczne, lecz widzące oczy bystro się w niego wpatrują. Zimne dreszcze przebiegły mu po plecach.

Opuściwszy ruchliwe i gwarne sąsiedztwo giełdy udali się do ubogiej dzielnicy miasta. Scrooge nie zapuszczał się nigdy w te strony, znał przecie położenie i złą sławę tych okolic. Ulice były tu wąskie i brudne i domy nędzne, ludzie półnędzy, pijani, niechlujni, odrażający. Z zaułków i ciemnych bram, niczym z dołów kloaczych, buchały na bezładnie zabudowane uliczki plugawe smrody, wysypywał się brud najwstrętniejszy, wylaniały się szkaradne postacie... Cała ta dzielnica była siedliskiem brudu, nędzy i zbrodni.

W samym sercu tej jaskini wszelkiego bezceństwa stała przycupnięta do ziemi rudera o krzywych ścianach i dachu, w niej zaś mieścił się kram, w którym skupywano stare żelastwo, szmaty, kości i najprzeróżniejsze odpadki pośledniego mięsa. Na podłodze tej nory piętrzyły się zardzewiałe klucze, gwoździe, łańcuchy, odważniki, szale wag i tym podobne rupiecie. Tajemnice, które nie każdy chciałby zgłębiać, kryły się w stertach ohydnych łachmanów i w stosach nadgniętego tłuszczu i zaśmierzdłych kości.

Pośród tego śmiecia, w pobliżu pieca skleconego z nadłupanych cegieł, rozsiadł się wygodnie siedemdziesięcioletni siwowłosy starzec, istny łotr z wyglądu. Od ulicznego chłodu starzec ów odgrodził się pstrokatą zasłoną z rozwieszonych na sznurku, zatęchłych gałganów i palił fajkę zażywając w ciszy błogiego wypoczynku.

Duch i Scrooge stanęli więc przed nim, w tej samej zaś chwili do sklepu wślizgnęła się jakaś kobieta z ciężkim tobołem na plecach. Tuż za nią weszła druga, dźwigająca podobny ciężar. W chwilę zaś po nich zjawił się mężczyzna w czarnym, zrudziałym ubraniu, który na widok kobiet zdradził nie mniejsze zdumienie, niżli one okazały ujrzawszy siebie. Po krótkiej chwili osłupiałego milczenia, podczas której starzec wyszedł im naprzeciw, wszyscy troje wybuchnęli śmiechem.

– Żeby tam nie wiem co, posługaczka zawsze przyjdzie pierwsza! – zawołała kobieta, która pierwsza weszła do sklepu. – Praczka zawsze będzie druga, a karawaniarz trzeci. Patrzajże, Joe. A to ci heca. Całkiem wygląda na to, żeśmy się tu umówili.

– Tak czy inaczej, nie mogliście wybrać na to spotkanie stosowniejszego miejsca – rzekł stary Joe wyjmując fajkę z ust. – No, a teraz proszę do salonu. Nie od dzisiaj w nim pani bywasz, a tamci dwoje też nie są tu obcy. Poczekajcie, niech tylko drzwi zamknę. Ależ te drzwi-ska skrzypią. W całym składzie nie ma chyba żelastwa tak zardzewiałego, jak te zawiasy, a już na pewno nie ma kości tak starych, jak moje gnaty. Cha, cha, cha! Świetnieśmy się wszyscy dobrali, świetnie nadajemy się do naszego rzemiosła. Ale proszę, proszę do salonu.

Salonem stary Joe nazywał miejsce za łachmanami rozwieszonymi na sznurze. Znalazłszy się tam poprawił węgle na kominie za pomocą żelaznego słupek z balustrady schodów i oczyścił zakopconą lampę – był to bowiem wieczór – cybuchem fajki, którą wraz na powrót wsadził w usta.

Tymczasem kobieta, która pierwsza weszła do sklepu, rzuciła swój tobołek na ziemię, po czym z dumną miną usiadła na stołku i oparłszy łokcie na kolanach spojrziała na dwoje towarzyszy.

– I co się tu dziwić? Co się tu dziwić, moja pani? – zwróciła się do pani Dilber, praczki. – Każdy człowiek ma prawo dbać o swoje interesa. On całe życie to robił.

– Słusznie pani to mówisz – przytaknęła praczka. – Do tego to on był jedyny;

– To czemu stoisz pani i wybałuszasz oczy, jakbyś się czegoś bała? Czy cię ktoś wyda? Przecież nie będziemy chyba sobie nawzajem skakali do oczu?

– Nie, skądże! – zawołali chórem pani Dilber i karawaniarz.

– No to wszystko w porządku – ciągnęła posługaczka. – Czy kto zbiednieje, jak mu zabiorą kilka marnych drobiazgów? W każdym razie nieboszczyk przez to na pewno nie stanie się uboższy.

– Nie, skądże! – zaśmiała się pani Dilber.

– Jeżeli ten stary plugawy sknera chciał, żeby mu się rzeczy uchowały po jego śmierci – ciągnęła posługaczka – czemu za życia nie postępował jak należy? Bo wtedy miałby na pewno kogoś, kto by się nim zaopiekował w godzinę śmierci, zamiast żeby leżał tam i konał samotnie.

– Słusznie powiedziane – przytaknęła pani Dilber. – Nie ma co, zasłużył sobie na tę karę.

– Szkoda, że mu nie mogła wymierzyć kary trochę cięższej – odparła posługaczka spoglądając na przyniesiony tobołek – co też bym bez wątpienia zrobiła, gdyby mi jeszcze coś pod rękę wpadło. Dalejże, Joe, rozwiąż tłumok i powiedz, ile mi dajesz. Gadaj prosto, jak człowiek do człowieka. Możesz zacząć ode mnie. Nie boję się, że oni moje łupy zobaczą. Zanim spotkaliśmy się tutaj, dobrześmy wiedzieli, że każde z nas obłowiło się po swojemu. To nie grzech, Joe, otwórz ten tobołek.

Ale przyjaciele jej, pomni na dobre maniere, żadną miarą nie chcieli się na to zgodzić. Tak więc mężczyzna w zrudziałym czarnym ubraniu pierwszy okazał swoją zdobycz. Nie była to zdobycz bogata. Kilka breloków, futerał na ołówek, spinki i broszka małej wartości. Nic ponadto. Joe każdy przedmiot skrupulatnie oglądał i taksował, zapisywał kredą na ścianie cenę, jaką gotów był za każdy zapłacić, po czym przekonawszy się, że karawaniarz nic już więcej nie ma, zsumował rachunek.

– Tyle wypadło – rzekł w końcu. – Nie dodam ani pensa, choćby mnie za to mieli smażyć w smole. Kto następny?

Pani Dilber zgłosiła się na ochotnika. Prześcieradła i ręczniki, trochę odzieży, dwie staromodne srebrne łyżki, dwoje szczypiec do cukru i kilka par butów. Jej rachunek został w podobny sposób spisany na ścianie.

– Damom zawsze płacę więcej, niżli się im należy – oznajmił stary Joe. – Ta słabostka w końcu mnie zrukuje. Oto należność. Jeżeli zażadasz pani choć jednego pensa więcej i będziesz się targowała, pożałuję, że był taki hojny, i stracę pół korony.

– A teraz, Joe, otwórz mój tobołek – rzekła posługaczka.

Joe przyklął na ziemi dla większej wygody i rozwiązawszy niezliczoną ilość supelków i supłów wyciągnął duży i ciężki zwój jakiejś ciemnej materii.

– A cóż to jest takiego? – mruknął. – Zasłony łożka?

– Dobrześ trafił – zawołała kobieta wybuchając głośnym śmiechem i pochylając do przodu ciało. – Zasłony łożka.

– Czy to ma znaczyć, żeś je ściągnęła razem z kólkami i resztą, choć on tam leży jeszcze na łożku? – spytał stary Joe.

– A jakże – odparła. – A czemu nie miałabym tego zrobić?

– Sam los cię przeznaczył na zdobywczynię wielkiej fortuny, którą też z pewnością zdobędziesz – rzekł z uznaniem Joe.

– Możesz być spokojny – odparła zimno kobieta – na pewno nie będę jej za siebie chowała przez wzgląd na takiego sknerę, jakim on był za życia. O to możesz być spokojny, Joe. Ale uważaj na lampę – dodała – boś gotów zatłuścić koc olejem.

– Czy to jego koc? – spytał.

– A niby czyj? Nie zaziębi się chyba bez koca.

– A czy on przypadkiem nie umarł na coś zaraźliwego? – spytał Joe podnosząc głowę znad tobołka.

– Nie bój się, Joe – odparła kobieta. – Nie tęsknię tak znowu za jego towarzystwem, że bym się miała kręcić koło niego dla tych kilku łachów, gdyby był zaraźliwie chory. Ach, Joe! Możesz oglądać tę koszulę pod światło, dopóki sobie oczu nie wypatrzysz, i tak nie znajdziesz w niej dziury ani wytartego miejsca. To najlepsza jego koszula, a musisz przyznać, że z przedniego płótna. Gdyby nie ja, całkiem by ją zmarnowali.

– Co to znaczy, zmarnowali? – spytał stary Joe.

– Ano zwyczajnie, ubraliby w nią nieboszczyka – odparła posługaczka śmiejąc się głośno – i tak by go pochowali. Nawet znalazł się jeden dureń, co już tę piękną koszulę włożył na trupa, ale ja czym prędzej ją z niego ściągnęłam. Jeżeli zwykły perkal nie nadaje się do trumny, to nie nadaje się w ogóle do niczego. Ja tam uważam, że nieboszczykowi w perkalu całkiem jest do twarzy. A ten stary sknera w tej pięknej koszuli też szpetnie wyglądał.

Scrooge przysłuchiwał się rozmowie ze zgrozą. Ludzie ci, pochyleni nad swoimi łupami w migotliwym płomieniu lampy, budzili w nim wstręt tak bezgraniczny, że gdyby byli obmierzłymi demonami targującymi się o samego trupa, nie spoglądałby na nich z większym obrzydzeniem.

– Cha, cha! – zaśmiała się posługaczka, gdy przyniósłszy flanelowy woreczek z pieniędzmi stary Joe jął odliczać należność układając pieniądze na podłodze. – No i widzicie, do czego to przyszło. Za życia odstraszał od siebie ludzi po to, abyśmy się mogli obłowić na nim po jego śmierci. Cha, cha, cha!

– Duchu – ozwał się Scrooge dygocąc na całym ciele. – Rozumiem, wszystko rozumiem. Przypadek tego nieszczęśliwego człowieka mógłby być moim przypadkiem. Do takiego końca musi prowadzić życie, jakie obecnie wiodę. Boże miłosierny, co to?!

Odkoczył przerażony. Obraz zmienił się nagle i Scrooge stał teraz tuż obok jakiegoś łóżka. Było to łóżko ogołocone z pościeli, pozbawione zasłon, na nim zaś pod łachmanem prześcieradła leżał jakiś kształt podłużny; choć niemy, straszliwą posiadał wymowę. W pokoju było ciemno, tak ciemno, że Scrooge niewiele mógł dojrzeć, chociaż ulegając tajemniczemu impulsowi rozglądał się pilnie dokoła, ciekaw, jak też wygląda to pomieszczenie. Mdłe światło płynące zza okna padało na łóżko, gdzie leżały ograbione, odarte z majestatu śmierci zwłoki człowieka, przy którym nikt nie czuwał, którego nikt nie oplakiwał.

Scrooge przeniósł wzrok na ducha. Nieruchoma jego ręka wskazywała wezglowie łóżka. Prześcieradło tak było niedbale narzucone na zwłoki, że gdyby Scrooge uchylił je choć na cal, dotknął palcem, ukazałaby się twarz nieboszczyka. Scrooge pomyślał o tym, wiedział, jak łatwo mógłby to zrobić, chciał to zrobić, ogarnęła go obezwładniająca niemoc, zabrakło mu sił.

O, straszna, zimna, okrutna śmierci, wznos tu sobie swój ołtarz i ozdabiaj go wszystkimi okropnościami, jakie masz do rozporządzenia, gdyż jest to twoje królestwo. Ale daremnie byś usiłowała zohydzić, skazać jeden choćby rys twarzy człowieka, którego inni darzyli miłością i szacunkiem. Co z tego, że ręka stężała i opadła bezwładnie? Co z tego, że tętno ucichło i serce bić przestało? To jedno jest ważne, że ręka ta była hojna, innym pomocna, że serce to było odważne i czułe, i pełne miłości, że było sercem człowieczym. O, śmierci, uderz, zadaj cios! Przekonasz się, że z rany wytrysną dobre uczynki, owe nasiona nieśmiertelnego życia na ziemi.

Nikt tych słów nie wypowiedział, a Scrooge spoglądając na łóżko słyszał je wyraźnie. „Gdyby ten człowiek ożył – zastanawiał się Scrooge – jakie uczucie pierwsze by się w nim zbudziło? Chciwość, bezwzględność, pragnienie zysku? Piękny zaiste zgotowały mu one koniec!”

Leżał samotny w pustym, ciemnym domu i nie było przy nim nikogo, kto by powiedział: „Ongiś zaznałem dobroci tego człowieka, więc przez pamięć na jedno jego życzliwe słowo nie poskapię mu dobrych myśli”. Kot drapał do drzwi, gdzieś pod paleniskiem kominka chrobotały szczury. Czego one chcą w izbie śmierci, czemu są tak niespokojne i podniecone? Scrooge nie śmiał szukać odpowiedzi na te pytania.

– Duchu – rzekł. – Straszno tu. Ufaj mi, że gdy wyjdę stąd, nie zapomnę nauki, jakiej mi tu udzielono. Chodźmy więc.

Duch gestem ręki nieruchomej wskazywał mu wciąż głowę trupa.

– Rozumiem, duchu – jęknął Scrooge – i zrobiłbym to, gdybym tylko mógł. Ale brak mi sił, duchu. Brak mi sił...

Scrooge znowu odniósł wrażenie, że duch na niego spogląda.

– O duchu, jeżeli jest w Londynie ktoś, kogo śmierć tego człowieka poruszyła – zawołał Scrooge w najwyższej udręce – pokaż mi go, duchu. Błagam cię, pokaż mi go!

Duch rozpostarł przed nim swój całun niczym czarne skrzydła, a gdy go po chwili opuścił, noc zmieniła się w dzień i Scrooge ujrzał pokój, w nim zaś kobietę z kilkorgiem dzieci.

Kobieta oczekiwała snadź kogoś z wielką niecierpliwością, albowiem to przechadzała się po pokoju, to wyglądała przez okno, podskakiwała słysząc szmer najłżejszy, spoglądała na zegar, daremnie usiłowała zająć się szyciem i zaledwie znieść mogła bez gniewu wesoly szczebiot rozbawionych dzieci.

Wreszcie rozległo się z dawna oczekiwane pukanie. Kobieta pobiegła otworzyć drzwi. Wszedł jej mąż, mężczyzna młody jeszcze, lecz o twarzy znużonej i stroskanej. Teraz w ry-  
sach jego czaił się jakiś szczególny wyraz – jak gdyby radość ogromna, której się wstydził i którą usiłował pohamować.

Zasiadł do obiadu, który schowany dla niego grzał się na kominie. A gdy po długiej chwili milczenia żona spytała go nieśmiało, jakie przyniósł nowiny, mężczyzna wydawał się wielce zakłopotany.

– Dobre czy też złe? – podsunęła starając się mu pomóc.

– Złe – odparł.

– A więc czeka nas ruina?

– Nie, Karolino. Mamy jeszcze nadzieję ratunku.

– Jeżeli on okazał nam litość – zawołała zdumiona – jesteśmy uratowani. Nie ma rzeczy niemożliwej na świecie, jeżeli on się nad nami zlitował.

– Za późno już, aby on mógł się nad kimkolwiek zlitować – odparł mąż. – Ten człowiek umarł.

Jeżeli twarz kobiety nie kłamała, była ona stworzeniem zacnym i łagodnym. Mimo to sło-  
wa męża przyjęła z radosną wdzięcznością, której też nie omieszkała wyrazić w słowach. Już w następnej chwili zdjęta skrucą prosiła Boga o przebaczenie. Ale ów pierwszy jej odruch był szczery.

– Jak widzisz, ta na pół pijana kobieta, o której wspominałem ci wczoraj, powiedziała mi prawdę, kiedy usiłowałem dostać się do niego, aby go prosić o tydzień zwłoki. Myślałem, że to zwykły wykręt, że po prostu chce się mnie pozbyć. A tymczasem on wtedy nie tylko był bardzo chory, ale wręcz umierał.

– Kto przejmie teraz nasz dług? – spytała.

– Nie wiem, ale zanim to nastąpi, zdobędziemy pieniądze. A jeżeli nawet nie uda nam się zgromadzić całej sumy, musiałyby to być szczególnie niepomysłne zrządzenie losu, gdyby jego spadkobierca okazał się równie niemiłosiernym wierzycielem. Możemy dzisiaj spać spokojnie, Karolino.

Tak, choćby nie wiem jak starali się pohamować to uczucie, ulgę odczuli ogromną. Powe-  
selały nawet twarzyczki dzieci, które obstały rodziców i w milczeniu przysłuchiwały się mało dla nich zrozumiałej rozmowie. Tak więc śmierć tego człowieka wniosła odrobinę szczęścia do ich domu. Duch mógł pokazać Scrooge’owi jedno tylko uczucie, jakie zgon ów zbudził w ludzkim sercu – uczucie ukontentowania.

– Pokaż mi, duchu – ozwał się Scrooge – jakieś uczucia tkliwe, obudzone czyjąś śmiercią, bo inaczej owa posępna izba, którąśmy niedawno opuścili, zawsze będzie mi stała przed oczyma.

Duch powiódł go przez dobrze mu znane ulice. Gdy szli, Scrooge spoglądał to tu, to tam, szukając wzrokiem siebie, ale nigdzie nie dojrzał swej postaci. Weszli do domu biednego Boba Cratchita, do tego samego pokoju, w którym Scrooge był już kiedyś. Zastali tam panią Cratchit z dziećmi, siedzieli wszyscy w pobliżu kominka.

Jakże tu cicho, jak bardzo cicho. Hałaśliwa zwykle para młodszych Cratchitów, braciszek i siostrzyczka, siedzą w kącie pokoju, nieruchomo, niczym dwie małe statuetki, i wpatrują się w Piotra schylonego nad książką. Matka i córki zajęte są szyciem, ale i one zachowują się niezwykle spokojnie.

„Powołał do siebie dziecię i posadził je między anioły”.

Scrooge słyszał już gdzieś te słowa. Przecież nie mogło to być jeno przywidzenie. Zapewne odczytywał je na głos, kiedy on wraz z duchem przekraczali próg domu. Ale dlaczego Piotr nie czyta dalej?

Matka położyła robotę na stole i ukryła twarz w dłoniach.

– Oczy mnie rozbolały od tej czerni – rzekła.

Od czerni? Ach, biedny Maleńki Tim.

– Już mi przeszło – dodała po chwili. – Od pracy przy świecach zaczerwieniły mi się oczy, a nie chciałabym, żeby to ojciec zobaczył. Chyba wróci niedługo.

– Powinien być już w domu – ozwał się Piotr zamykając książkę. – Ale wydaje mi się, mateczko, że od kilku dni ojciec chodzi trochę wolniej i wraca trochę później do domu.

Umilkli i znowu zapanowała cisza. W końcu matka odezwała się głosem spokojnym i pogodnym, który raz tylko zadrżał.

– A ja pamiętam, jak chodził szybko z..., pamiętam, jak chodził szybko z Maleńkim Timem na plecach.

– Ja też pamiętam – zawołał Piotr. – I to jak często!

– Ja też pamiętam – zawtórowało któreś z dzieci. Wszyscy kolejno powtórzyli te same słowa.

– Ale Maleńki Tim taki był lekki – ciągnęła pani Cratchit, pochylając się nisko nad robotą – a ojciec tak bardzo go kochał, że wcale nie czuł jego ciężaru. Otóż i ojciec wraca!

Pobiegła otworzyć drzwi. Wszedł mały Bob w swym długim włóczkowym szalu, biedny mały Bob. Herbata już czekała na niego i wszyscy na wyścigi starali się mu usłużyć. Dwoje małych Cratchitów wdrapało się na kolana ojca i przytuliło swoje dziecięce policzki do jego twarzy, jak gdyby chciały powiedzieć: „Nie frasuj się już tak, ojczulku. Nie bądź taki smutny”.

Bob silił się na wesołość i dla każdego z nich miał miłe słowo. Obejrzał robotę leżącą na stole i pochwalił pracowitość żony i córek. Powiedział, że na pewno skończą szycie przed niedzielą.

– Przed niedzielą? Więc byłeś tam dzisiaj, Robercie?

– Tak, moja droga – odparł Bob. – Żałowałem, żeś nie mogła pójść ze mną. Zrobiłoby ci się lżej na duszy, gdybyś zobaczyła tę piękną trawę i drzewa. Ale będziesz tam przecież często chodziła... Przynieślę ci, że co niedziela będę go odwiedzał. Mój synek maleńki – zapłakał Bob. – Moja droga dziecina!

Dał nagle upust żalości. Nie mógł już dłużej nad sobą panować. Gdyby mógł, jeszcze może boleśniej odczułby pustkę po odejściu Maleńkiego Tima.

Wstał i poszedł do pokoju na górze, jaśniejącego wesołym światłem świec i przystrojonego gałązkami ostrokrzewu. Tuż obok małego łóżeczka stało krzesło, wszystko w tym pokoju wskazywało wyraźnie, że ktoś tu był przed chwilą. Biedny Bob usiadł na krzesle i myślał, myślał, a gdy odzyskał znów spokój, ucałował maleńką twarzyczkę. Pogodziwszy się z losem wrócił na dół w znacznie weselszym usposobieniu.

Usiedli teraz wszyscy dokoła kominka i rozmawiali, podczas gdy matka i córki nadal pilnie pochylały się nad robotą. Bob opowiedział im o niezwykle serdeczności, jaką mu okazał siostrzeniec pana Scrooge’a, którego widział przedtem tylko jeden raz w życiu. Kiedy dzisiaj spotkali się przypadkiem na ulicy, siostrzeniec Scrooge’a zauważył snadź, że Bob jest „trochę smutny, wiecie”, spytał go bowiem, co też mu dolega.

– Wtedy ja – mówił Bob – powiedziałem mu wszystko, bo wzruszyły mnie jego przyjazne słowa. A on mi na to: „Z całego serca panu współczuję, panie Cratchit, i proszę przyjąć najserdeczniejsze wyrazy współczucia dla pańskiej zacnej małżonki”. Swoją drogą, skąd on o tym wiedział?

– O czym, mój drogi?

– O tym, że jesteś zacną kobietą, dobrą żoną.

– Przecież wszyscy o tym wiedzą – rzekł Piotr.

– Słusznie powiedziane, mój chłopcze! – zawołał Bob. – Pewien jestem, że wiedzą „Najserdeczniejsze wyrazy współczucia dla pańskiej zacnej małżonki” – tak powiedział i zaraz dodał wręczając mi swój bilet wizytowy: „Oto mój adres na wypadek, gdybym mógł być panu w czymkolwiek pomocny. Niechże pan zwróci się do mnie bez wahania”. Ach, jakże miła mi była propozycja tego człowieka – wykrzyknął Bob z zapalem – i to nie dlatego, iż mógłby nam być istotnie pomocny, tylko że taką mi okazał życzliwość. Naprawdę można by pomyśleć, że znał Maleńkiego Tima i odczuwa naszą stratę.

– Pewna jestem, że to zacny człowiek – rzekła pani Cratchit.

– Byłabyś tego pewniejsza – zawołał Bob – gdybyś go zobaczyła i rozmawiała z nim. Wcale bym się nie zdziwił – zapamiętajcie dobrze moje słowa – gdyby znalazł dla naszego Piotra lepsze zajęcie.

– Piotr, czy ty słyszysz? – rzekła pani Cratchit.

– A wtedy Piotr znajdzie sobie żonę – wykrzyknęła jedna z dziewcząt – i założy dom!

– Dajże spokój, dziewczyno – mruknął Piotr uśmiechając się zawstydzony.

– Kiedyś w przyszłości najprawdopodobniej się to stanie – powiedział Bob – chociaż po prawdzie masz jeszcze na to dużo czasu, mój chłopcze. Ale pewien jestem, że jeśli kiedykolwiek w jakichkolwiek okolicznościach przyjdzie się nam rozstać ze sobą, żadne z nas nigdy nie zapomni biednego Maleńkiego Tima i tego pierwszego w naszej rodzinie rozstania.

– Nigdy, ojcze! – zawołałi wszyscy.

– Wiem także, moi drodzy – ciągnął Bob – wiem, że kiedy wspomnimy, jak cierpliwy był on i łagodny, choć taki jeszcze maleńki... taki maleńki... uniknąć potrafimy kłótni między sobą, gdyż kłócąc się zdradzilibyśmy pamięć Maleńkiego Tima.

– Na pewno, ojcze, na pewno – znów zawołałi chórem.

– O, jakże jestem szczęśliwy – westchnął Bob. – Jak bardzo szczęśliwy.

Pani Cratchit ucałowała go, obie córki ucałowały go, dwoje małych Cratchitów ucałowało go, z Piotrem zaś Bob wymienił uścisk dłoni. O Maleńki Timie, w twej dziecięcej duszyczce Bóg gościł.

– Duchu – rzekł Scrooge – jakiś głos tajemny mówi mi, że zbliża się chwila naszego rozstania, wiem O tym, choć nie wiem, skąd płynie ta pewność. Powiedz mi, kim był ów człowiek, któregośmy widzieli na marach.

Duch Przyszłych Wigilii powiódł go – jak już to raz był uczynił – do dzielnicy kupieckiej, lecz nie była to już ta sama Wigilia, w ogóle Scrooge odnosił wrażenie, że ostatnie widziadła nie są ułożone wedle jakiegoś porządku, prócz tego jedynie, że wszystkie tkwiły w przyszłości i znowu Scrooge nie dojrzał siebie, owego Scrooge’a przyszłych lat. Duch nie zatrzymywał się nigdzie, szedł wciąż i wciąż naprzód, jak gdyby śpieszno mu było do celu wędrówki. Wreszcie Scrooge zaczął go prosić, aby przystanęli na chwilę.

– Przy tym dziedzińcu – rzekł Scrooge – przez który właśnie śpieszymy, mieści się mój kantor, tu pracowałem przez wiele długich lat. Widzę już nawet ów dom. Pozwól mi, duchu, zobaczyć, jaki też będę w przyszłości.

Duch zatrzymał się, lecz ręką wskazywał w innym zgoła kierunku.

– Mój dom jest tutaj! – zawołał Scrooge. – Czemu więc wskazujesz ręką w tamtą stronę?

Ręka nieubłaganego ducha nawet nie drgnęła.

Scrooge podbiegł do okna kantoru i zajrzał do środka. W pokojach nadal mieściło się biuro, ale nie było to już jego biuro. Zmieniło się umeblowanie, w fotelu przed pulpitem siedział obcy mężczyzna. Ręka ducha wskazywała wciąż w tym samym kierunku.

Scrooge wrócił do ducha i szedł za nim zastanawiając się w drodze, czemu nie było go w kantorze i gdzie też mógł się podziewać. Wreszcie stanęli przed bramą kutą w żelazie. Zanim wszedł do środka, Scrooge rozejrzał się ciekawie dokoła.

Cmentarz. A więc tu leży w ziemi ów nieszczęśnik, którego nazwisko Scrooge miał poznać niebawem. Było to nader godne miejsce. Otoczone zewsząd domami, zarośnięte trawą i



zielskiem – bujną roślinnością śmierci, nie życia. Miejsce dławiące się od nadmiaru grobów, o ziemi sytej, ponad miarę użyźnionej. Godne zaiste miejsce.

Duch przystanął między mogiłami i wskazywał na jedną z nich. Scrooge przybliżył się z drżeniem. W wyglądzie ducha nie zaszła żadna zmiana, a mimo to Scrooge dostrzegł z przerażeniem nowy jakby wyraz w jego mrocznej, majestatycznej postaci.

– Zanim podejść bliżej do nagrobka, który wskazujesz – rzekł Scrooge – odpowiedz mi na jedno pytanie. Czy widziadła, któreś mi ukazał, są cieniami przyszłości, która musi, czy tylko może nastąpić?

Duch wciąż wskazywał mogiłę, obok której stali.

– Gdy człowiek kroczy po jakiejś drodze, zawsze przewidzieć można, jaki go czeka kres – ciągnął Scrooge. – Lecz jeśli człowiek zmieni drogę życia, inny go także będzie czekał kres. Powiedz mi, duchu, że tak właśnie jest z widziadłami, któreś mi ukazał.

Duch nadal stał nieporuszony.

Dygocąc na całym ciele Scrooge przysunął się do grobu i spojrzawszy w kierunku, który mu duch wskazywał, odczytał na kamieniu opuszczonego grobowca swoje własne nazwisko:

**EBENEZER SCROOGE**

– A więc to ja byłem owym nieszczęśnikiem, który leżał na marach? – zawołał padając na kolana.

Ręka ducha wskazywała na niego, potem znów na mogiłę.

– Nie, duchu! – jęknął Scrooge. – O nie, nie, nie! Ręka ducha wciąż wskazywała na mogiłę.

– Wysłuchaj mnie, duchu – zawołał Scrooge czepiając się kraju jego szaty. – Nie jestem już tym człowiekiem, jakim byłem dotąd! Nie będę już tym człowiekiem, jakim pozostałbym do końca moich dni, gdyby nie to nasze spotkanie. Po cóż pokazywałeś mi owe widziadła, jeżeli nie ma już dla mnie nadziei, nie ma ratunku?

Po raz pierwszy ręka ducha drgnęła.

– Dobry duchu – ciągnął Scrooge padając przed nim na twarz – współczujesz mi, błagam cię więc o wstawiennictwo. Powiedz, że zmieniając drogę życia zmienić jeszcze zdołam owe cienie przyszłości, któreś mi pokazał.

Ręka dobrotliwa wciąż drżała.

– Będę czcił święta Bożego Narodzenia i będę się je starał święcić przez cały rok. Będę żył w przeszłości, terażniejszości i przyszłości. Zamknę w sercu Ducha Przeszłych, Przyszłych i Teraźniejszych Wigilii. Nie będę nigdy głuchy na nauki, jakich one udzielają. Powiedz mi... powiedz mi, duchu, że mogę jeszcze zatrzeć napis na kamieniu.

W męce serdecznej pochwycił rękę ducha. Duch starał się dłoń oswobodzić, ale rozpacz dodała Scrooge'owi sił. W końcu przecie duch, silniejszy odeń, wyrwał rękę z jego uścisku.

Uniósłszy w górę ręce, błagając po raz ostatni o zmianę losu, Scrooge zauważył, że kaptur i całun ducha podlegają osobliwym przemianom. Skurczyły się, zapadły, zmałyły, zmieniły w słupek u poręczy łóżka.

## Strofka piąta

### Koniec opowieści

Nie inaczej. A był to jego własny słupek jego własnego łóżka. I pokój był jego własnym pokojem. Co zaś najważniejsze, czas był jego niepodzielną własnością, którą mógł rozporządzać wedle własnej woli, okupując grzechy dotychczasowego życia.

– Będę żył w przeszłości, teraźniejszości i przyszłości – powtórzył Scrooge gramoląc się z łóżka. – Zamknę w sercu Ducha Przeszłych, Teraźniejszych i Przyszłych Wigilii. O Jakubie Marleyu. Niechże niebiosy i wigilia Bożego Narodzenia będą błogosławione za łaskę mi zesłaną. Na kolanach im za to dziękuję, stary Jakubie, na kolanach!

Tak był podniecony, tak ożywiony dobrymi intencjami, że łamiący się głos odmawiał mu posłuszeństwa. Podczas szamotania się z duchem łkał gwałtownie i teraz twarz mokrą miał od łez.

– Nikt ich nie zerwał! – zawołał Scrooge przyciskając do piersi jedną z zasłon łóżka. – Nikt ich nie zerwał, razem z kółkami i całą resztą. Są tutaj, tak jak były... i ja jestem tutaj, a cienie tego, co miałyby się zdarzyć w przyszłości, mogą się jeszcze rozproszyć, zniknąć! Na pewno znikną. Jestem pewien, że znikną.

Przez cały ten czas ręce jego manipulowały przy odzieniu. Wywracał sztuki garderoby na lewą stronę, wkładał je na wywrót, szarpał, gubił, wyprawiał z nimi najdziwsze brewerie.

– Sam nie wiem, co robię! – zawołał jednocześnie śmiejąc się i płacząc, przy czym omtawszy się pończochami przypominał Laokoona opasanego przez węże. – Lekki jestem jak piórko, szczęśliwy niczym anioł niebieski, wesoły jak uczeń. Szumi mi przyjemnie w głowie, jakbym był pijany. Wesołych świąt życzę wszystkim ludziom na ziemi! Pomyślnego Nowego Roku życzę całemu światu! Hej, hop, hop! Hura! Hej!

Pobiegł w podskokach do bawialni i tam przystanął, zupełnie zdyszany.

– Oto garnuszek, w którym grzała się kaszka! – zawołał zbliżając się do kominka. – A oto drzwi, przez które wszedł duch Jakuba Marleya. Oto miejsce w kącie pokoju, gdzie siedział Duch Tegorocznej Wigilii. Oto jest okno, przez które widziałem błąkającego się w powietrzu ducha. A więc naprawdę tak było, wszystko naprawdę się zdarzyło. Cha, cha, cha!

Słowo daję – jak na człowieka, który w ciągu wielu, wielu lat całkiem zdążył wyjść z wprawy, Scrooge śmiał się śmiechem wspaniałym, śmiechem porywającym. Był to jak gdyby śmiech-rodzic licznego pokolenia radosnych śmiechów przyszłości.

– Nie wiem, jaki dziś dzień mamy – mówił Scrooge. – Nie wiem, jak długo przebywałem pośród duchów. W ogóle nic nie wiem. Jestem jak dziecko. Mniejsza o to... ani myślę się tym trapić. Bardzo bym chciał być dzieckiem. Hej! Ho! Hura!

Z tego stanu bezgranicznego wprost zachwycenia wyrwało go bicie dzwonów kościelnych tak radosne, że radośniejszego Scrooge nigdy w życiu nie słyszał. Bim-bim-baaam! Bum-bum-buuum! Din-don, din-don! Ach, jakież to wspaniałe! Jakież zachwycające!

Podbiegł do okna, otworzył je szeroko i wysunął głowę. Ani śladu mgły, ani śladu wilgotnych oparów. Jasny, pogodny, rześki, wesoły, mroźny dzień. Taki mróz, że aż krew zaczyna rażniej krążyć w człowieku. Promienie słońca są złote, niebo lazurowe, powietrze czyste, aromatyczne. Dzwony biją wesoło. Ach, jakież to wszystko wspaniałe! Jakież zachwycające!

– Co za dzień dzisiaj mamy? – zawołał Scrooge do małego chłopca w odświeżnym ubraniu, który przystanął w pobliżu okna po to zapewne, aby się Scrooge'owi przypatrzeć.

– Hę? – odparł chłopiec zdumiony.

– Pytam, drogi chłopczku, jaki dziś mamy dzień – powtórzył Scrooge.

– Jaki dzień? Przecież to Boże Narodzenie! – zawołał chłopiec.

– Boże Narodzenie... – rzekł cicho Scrooge. – A więc go nie straciłem. Duchy dokonały wszystkiego w ciągu jednej nocy. Mogą zrobić wszystko, na co im przyjdzie ochota. Pewnie, że mogą. Ależ oczywiście. Słuchaj no, mój chłopczyku!

– Słucham pana.

– Czy znasz sklep z drobiem na sąsiedniej ulicy? Ten na samym rogu?

– No chyba!

– Ach, co za mądry chłopczyk! – zawołał Scrooge, – Niezwykle mądry chłopczyk! Nie wiesz przypadkiem, czy sprzedali tego indyka, który tam wisiał u nich na wystawie? Nie tego mniejszego, tylko tego większego, ogromnego indyka?

– Tego, co to jest prawie taki duży, jak ja? – spytał malec.

– Zachwycający chłopczyk! – wykrzyknął Scrooge. – Prawdziwa przyjemność z nim rozmawiać! Tak, mój kochaneczku, tego właśnie indyka miałem na myśli!

– Jeszcze tam wisi – rzekł malec.

– Doprawdy? – ucieszył się Scrooge. – W takim razie idź i kup go dla mnie.

– Tere-fere! – zawołał chłopiec.

– Nie, nie, ja wcale nie żartuję – bronił się Scrooge. – Mówię najzupełniej poważnie. Idź i kup tego indyka i każ go tutaj przynieść, a ja wskażę, komu go należy doręczyć. Jak wrócisz tu z subiektem ze sklepu, dostaniesz szylinga. Jeżeli przyprowadzisz mi go prędzej niż za pięć minut, dostaniesz pół korony.

Chłopiec skoczył jak z procy. Hm... zręczną rękę musiałby mieć procarz, który by tak szybko umiał kamień z procy wyrzucić!

– Poślę tego indyka Cratchitowi, mojemu kanceliście – wykrztusił Scrooge zacierając ręce i aż się zanosząc od śmiechu. – Ani się Bob domyśli, kto mu go przysłał. Ptaszysko jest ze dwa razy większe od Maleńkiego Tima. A to ci figiel!

Ręka mu drżała, gdy wypisywał adres, ale uporawszy się z tym jakoś zszedł na dół, otworzył drzwi i czekał na subiekta ze sklepu. A gdy tak stał na progu, nagle wzrok jego zatrzymał się na kołatce.

– Będę ją kochał do końca moich dni! – zawołał klepiąc pieśczołtliwie gładką powierzchnię metalu. – Przedtem ledwie ją zauważałem. A jaki zacny ma wygląd. Ach, zachwycająca kołatka! A oto indyk! Hej! Hop! Jakże się pan miewasz? Wesółych świąt!

Ho-ho! To był indyk! Taki indyk żadną miarą nie mógłby się utrzymać na swych indyckich nogach. W mig załamałyby się pod jego ciężarem, jak dwie laseczki laku.

– To wykluczone, aby ktoś dźwigał taki ciężar aż do Camden Town – oznajmił Scrooge. – Musisz pan wziąć dorożkę.

Cichy radosny śmiech, z jakim to powiedział, i cichy radosny śmiech, z jakim zapłacił za indyka, i cichy radosny śmiech, z jakim zapłacił za dorożkę, i cichy radosny śmiech, z jakim wynagrodził chłopca – wszystkie one zostały zakasowane przez cichy radosny śmiech, z jakim usiadł na krześle i śmiał się – śmiał się aż do łez.

Przy goleniu mocno się natrudził, gdyż ręka nadal mu drżała; a jak wiadomo, czynność ta wymaga pilnej uwagi nawet wtedy, kiedy gołąc się człowiek nie wykonuje tanecznych piruetów.

Ale nawet gdyby sobie Scrooge uciął brzytwą czubek nosa, zalepiłby ranę plasterkiem nie straciwszy pogody ducha.

W końcu ubrał się najpiękniej, jak tylko mógł, i wyszedł z domu. Na ulicach było gwarno i rojno, tak jak wtedy, kiedy Scrooge wędrował po mieście z Duchem Tegorocznej Wigilii. Idąc z założonymi w tył rękami spoglądał na wszystkich z uśmiechem tak pełnym zachwyty i – słowem – minę miał tak sympatyczną, że kilku dobrodusznych jegomościów zawołało doń: – Dzień dobry! Życzymy wesółych świąt! – Scrooge często potem zapewniał, że słowa te brzmiały mu w uszach niczym najradośniejsza muzyka.

Nim uszedł daleko od domu, zobaczył idącego z przeciwnej strony jegomościa, który odwiedziwszy go wczoraj w kantorze spytał: „Czy to firma Scrooge’a i Marleya?” Gdy Scrooge pomyślał, jakim spojrzeniem obrzuci go przy spotkaniu ów stary człowiek, poczuł w sercu przykry ból; znał przecie swą powinność i bez wahania ją wypełnił. Przyśpieszywszy kroku chwycił starca za obie ręce i odezwał się tymi słowami:

– Witam drogiego pana. Jak zdrowie? Mam nadzieję, że powiodła się panu wczorajsza kwesta? Nadzwyczajnie to zacne z pana strony. Życzę wesołych świąt.

– Pan Scrooge?

– Nie inaczej – odparł Scrooge. – Tak właśnie brzmi moje nazwisko, a obawiam się, że nie jest ono panu nazbyt miłe. Niechże mi pan wybaczy wczorajszy mój postępki. I czy zechce pan łaskawie... – tu Scrooge szepnął mu coś do ucha.

– Mój Boże! – zawołał zacny jegomość w osłupieniu. – Drogi panie, czy pan mówi serio?

– Najzupełniej serio – zapewnił go Scrooge. – Ani pensa mniej. Widzi pan, chciałbym spłacić w ten sposób bardzo stary dług. Więc czy raczy mi pan wyświadczyć tę uprzejmość?

– Ach, drogi panie – odparł zacny jegomość – nie wiem, doprawdy, co mam rzec tak hojnemu ofia...

– Proszę, niechże pan o tym nie wspomina – przerwał mu Scrooge. – Będę pana oczekiwał niecierpliwie. Przyjdzie pan?

– Przyjdę na pewno – zawołał zacny jegomość. Nikt nie mógłby wątpić, że dotrzyma słowa.

– Dziękuję panu – rzekł Scrooge. – Jestem panu serdecznie zobowiązany. Stokrotne dzięki. Bóg zapłać.

Doszedł do kościoła, potem przechadzał się po ulicach obserwując przechodniów, głaszcząc dzieci po głowach, życzliwym słowem zagadując żebraków, zerkając do kuchen w suterenach domów i w okna mieszkań nad nimi. Otóż przekonał się zdumiony, że wszystko, każdy najmniejszy drobiazg, sprawia mu przyjemność. Nie przypuszczał nawet, że zwykła przechadzka – że cokolwiek na świecie może go uczynić tak bardzo szczęśliwym. Po południu skierował kroki do dzielnicy, w której mieszkał jego siostrzeniec.

Kilkanaście razy przeszedł pod domem, zanim ośmielił się zbliżyć do drzwi. W końcu jednak zebrał się w sobie, skoczył – i zastukał.

– Pan w domu? – spytał służącej. – Miła dziewczyna. Ach, jaka miła!

– Tak, proszę pana.

– A gdzie jest w tej chwili, kochaneczko?

– W jadalni, razem z panią. Niech pan pozwoli, zaprowadzę na górę.

– Nie trzeba, kochaneczko. Twój pan zna mnie dobrze – rzekł Scrooge, już z ręką na klamce drzwi jadalni. – Sam wejść, moja droga.

Nacisnął leciutko klamkę i wsunął głowę przez szparę w drzwiach. Siostrzeniec Scrooge’a i jego żona wpatrywali się w stół pięknie zastawiony świątecznymi przysmakami. Cóż, wiadomo, że młode gospodynie skłonne są okazywać szczególną nerwowość w tego rodzaju okolicznościach i wolą raz jeszcze sprawdzić, czy wszystko jest, jak być powinno.

– Fred! – zawołał z cicha Scrooge.

Wielkie nieba, jak ta żona siostrzeńca Scrooge’a podskoczyła! Scrooge zupełnie zapomniał, że podczas zabawy w ślepią babkę usadowiono ją wygodnie w fotelu i podsunęto stołeczek pod nogi; gdyby był o tym pamiętał, za nic na świecie nie naraziłby jej na taki przestraszenie.

– Któż to, u Boga? – zawołał Fred. – Czy mnie oczy mylą?

– To ja – odparł Scrooge. – Twój wujaszek Scrooge. Przyszedłem na obiad. Czy wolno wejść?

Czy mu wolno wejść! Cud to prawdziwy, że mu siostrzeniec ręki przy powitaniu nie urwał. Po pięciu minutach Scrooge czuł się jak u siebie w domu. Jakże serdecznie zgotowano mu tu przyjęcie! Żona Freda wyglądała dokładnie tak samo, jak podczas odwiedzin Scrooge’a i Du-

cha Tegorocznej Wigilii. A gdy Topper przyszedł, okazało się, że i on wygląda tak samo. I pulchna siostra wyglądała tak samo. I w ogóle wszyscy goście byli dokładnie tacy, jak podczas tamtych odwiedzin. Zachwycające towarzystwo, zachwycające gry, zachwycająca harmonia – ach, szczęście, szczęście prawdziwe!

Ale nazajutrz rano udał się Scrooge do kantoru. Jak wcześnie! Gdyby mu się tylko udało przyjść tam przed Bobem i przyłapać go na spóźnieniu! Gorąco, z całego serca tego pragnął.

No i udało mu się. Naprawdę. Zegar wybił dziewiątą – Bob jeszcze nie przyszedł. Piętnaście po dziewiątej – jeszcze go nie ma. Spóźnił się o całe osiemnaście i pół minuty. Scrooge zostawił drzwi swego pokoju szeroko otwarte; chciał widzieć Boba, gdy ów będzie się przemyskał do swej nory.

Bob zdjął kapelusz, zanim otworzył drzwi; zdjął także biały włóczkowy szal. W sekundę siedział już na stołku wodząc piórem po papierze z taką prędkością, jakby usiłował dopędzić ową minioną dziewiątą godzinę.

– Hej tam! – burknął Scrooge naśladowując tak wiernie, jak to było możliwe, dawny swój gniewliwy ton. – Co to ma znaczyć? – Jak pan śmiesz przychodzić do pracy o tej porze?

– Bardzo pana przepraszam – wyjąkał Bob. – Istotnie się spóźniłem.

– Spóźniłeś się pan. Czyżby – sztychł Scrooge. – No myślę, że się spóźniłeś. Proszę tu do mnie.

– Przecież to tylko raz do roku... – mówił błagalnie Bob wychodząc ze swej nory. – Nigdy więcej się to nie powtórzy. Wczoraj wieczorem zabawiłem się trochę, proszę pana.

– A teraz słuchaj mnie uważnie, przyjacielu – rzekł Scrooge. – Nie myślę znosić tego dłużej. Ani myślę. I dlatego – ciągnął dalej zeskakując ze stołka i dając Bobowi takiego kuksańca, że ów aż się zatoczył z powrotem do swej komórki – zamierzam podnieść ci pensję.

Bob zadrżał i przysunął się bokiem do linii leżącej na pulpicie. Błysnęła mu w głowie zbawienna myśl, że ogłuszy nią Scrooge'a, przytrzyma go, a potem wezwie ludzi z podwórza i z ich pomocą wsadzi pryncypała w kaftan bezpieczeństwa.

– Życzę ci, mój Bobie, wesołych świąt – rzekł Scrooge z powagą, która rozproszyć musiała wszelkie wątpliwości Boba. – Życzę ci, mój pocziwczu, świąt weselszych niżli te, któreś od wielu lat spędzał u mojego boku. Podniosę ci pensję i dołożę wszelkich starań, aby dopomóc twojej rodzinie, która tak ciężko boryka się z losem. Omówimy wszystko szczegółowo dzisiejszego jeszcze popołudnia, nad dzbankiem dymiącego grogu, mój Robercie. A teraz dorzuć węgli do kominka i zanim zdążę do trzech zliczyć, kup porządny piecyk do swojego pokoju.

Nie wystarczy powiedzieć, że Scrooge dotrzymał słowa. Zrobił to, co obiecał – i wiele, wiele ponadto. Dla Maleńkiego Tima, który nie umarł, był drugim ojcem. Stał się tak dobrym przyjacielem, tak dobrym chlebodawcą, tak dobrym człowiekiem, że lepszego nie znajdziesz w tym naszym zacnym starym mieście ani też w żadnym innym zacnym starym mieście czy miasteczku na tym naszym zacnym starym świecie. Niektórzy wyśmiewali zmiany, jakie w nim zaszły, ale on nic sobie z tego nie robił. Był na tyle mądry, iż wiedział, że wszystko, co kiedykolwiek zdarzyło się ku dobremu na tej naszej ziemi, było początkowo przedmiotem drwin pewnego gatunku ludzi. Wiedząc zaś, że ludzie ci i tak będą ślepi, Scrooge uważał, iż lepiej jest dla nich, aby od pełnego drwin śmiechu robiły im się zmarszczki wokół oczu, niż aby ich choroba objawiała się w jakiejś mniej przyjemnej formie. W jego własnym sercu gościła pogoda i to mu wystarczało.

Nie miał już nigdy więcej do czynienia z duchami, ale do końca życia zachowywał powściągliwość w jadłach. Powiadano też o nim, że jak nikt umie święcić Boże Narodzenie. Oby to samo rzec było można o nas i o wszystkich ludziach. A na zakończenie powtórzę za Maleńkim Timem: niech nam Bóg błogosławi, każdemu z nas.

# **Świerszcz za kominem**

## Świerkot pierwszy

Zaczął imbryk! Nie powołujcie się na to, co pani Peerybingle powiedziała. Ja wiem lepiej. Pani Peerybingle może nas zapewniać do końca świata, że nie potrafi rozstrzygnąć, które zaczęło; ja powiadam, że imbryk. Przecież powinienem chyba wiedzieć! Wedle małego holenderskiego zegara, który wisiał w kącie, imbryk zaczął dobre pięć minut wcześniej, nim świerszcz w ogóle świerknął.

Całkiem jak gdyby zegar nie przestał wybijać godzin, jak gdyby mały podrygujący kosiarz na jego szczycie, który wymachiwał w prawo i w lewo kosą przed wejściem do mauretańskiego pałacu, nie skosił akra urojonej trawy, zanim świerszcz zawtórował imbrykowi!

Z natury nie jestem człowiekiem upartym. Wszyscy o tym wiedzą. W żadnym wypadku nie przeciwstawiłbym się opinii pani Peerybingle, gdybym nie był najgłębiej przekonany o swojej słuszności. Nic by mnie do tego nie zdołało nakłonić. Lecz tu idzie o fakty. Faktem zaś jest, że imbryk zaczął dobre pięć minut wcześniej, nim świerszcz w ogóle dał znać o swoim istnieniu. Zaprzeczcie mi, a powiem, że dziesięć.

Opiszę wam dokładnie, jak się wszystko zdarzyło. Uczyniłbym to w pierwszych słowach, gdyby nie ów prosty wzgląd: jeśli mam coś opowiedzieć, muszę zacząć od początku. A jakże mogę zacząć od początku, nie zaczynając od imbryka?

Otóż zrozumcie, proszę, że między imbrykiem a świerszczem odbywało się coś w rodzaju współzawodnictwa, czy też próby zręczności. Posłuchajcie, co do tego doprowadziło i czego rzecz owa była wynikiem.

Pani Peerybingle wyszła w chłodny zmierzch odziana w drewniane chodaki, które pozostawiały na mokrych kamieniach podwórza niezliczone, acz niedoskonałe rysunki pierwszego twierdzenia Euklidesa – pani Peerybingle wyszła więc i napełniła imbryk w studni. Wróciwszy niebawem, już bez chodaków (co w jej wzroście niemiłą stanowiło różnicę, jako że chodaki były wysokie, ona zaś niziutka), pani Peerybingle postawiła imbryk na ogniu. Co czyniąc, straciła cierpliwość lub raczej na chwil kilka gdzieś ją zapodziała; albowiem woda – nieprzyjemnie zimna, lepko-śniegowata, znajdująca się w owym stanie ruchliwym, w którym przenika wszelką absolutnie materię, nie wyłączając podkładek pod chodaki – przedostała się do palców u nóg pani Peerybingle i, co więcej, opryskała jej łydki. A gdy człowiek skłonny jest chlubić się (nie bez racji) swoimi nogami, pończochy zaś otacza szczególną dbałością, wypadek taki na pewno wyda mu się przez chwilę trudny do zniesienia.

Ponadto imbryk był uparty i irytujący. Żadną miarą nie pozwalał, aby go ustawiono na górnym ruszcie, i ani myślał ustawić się grzecznie na bryłkach węgla; nic, tylko leciał do przodu niczym jaki pijak i pryskał, istny głupiec, na komin. Był kłótniwy, syczał i mamrotał gderliwie do ognia. Na domiar złego pokrywka, oporna palcom pani Peerybingle, wpierniła do góry nogami, a potem zmyślnie i ze stanowczością godną lepszej sprawy dała nura w bok i spadła na samo dno imbryka. Ach, kadłub „Royal George”, gdy go wydobywano z morza, ani w połowie nie stawiał tak zaciętego oporu, jak stawiała pokrywka, zanim ją pani Peerybingle zdołała na wierzch wyciągnąć!

Ale nawet wtedy imbryk miał minę naburmuszoną i zaciętą; trzymał rączkę w sposób wyzywający i zadarłszy dziobek wpatrywał się w panią Peerybingle impertynencko i drwiąco, jak gdyby chciał powiedzieć: – Nie będę się gotował! Nic mnie do tego nie zmusi!

Wszelako pani Peerybingle, odzyskawszy humor, otarła jedną swą małą pulchną rączkę o drugą i roześmiana usiadła przed kominem. Tymczasem wesoły ogień to buchał, to przygasał, ogarniając migotliwymi błyskami kosiarza na szczycie holenderskiego zegara, tak że w końcu zdawać się mogło, iż kosiarz stoi jakby w ziemię wryty przed swym mauretańskim pałacem, a tylko płomienie są w ruchu.

Jednakże kosiarz ruszał się; przepisowo i regularnie chwytają go spazmy, dwa na sekundę. Ale kiedy zegar miał zacząć wybijać godziny, strasznie było patrzeć na jego cierpienia; gdy zaś kukułka wychyliła się z pałacu i zakukała sześć razy, kosiarz za każdym razem dygotał, jakby na dźwięk upiornego głosu lub jakby coś skubnęło go boleśnie w łydkę.

Dopiero kiedy straszliwy rozgardiasz i zgrzytliwe dźwięki w dole pośród wag i sznurów zupełnie milkły, przerażony kosiarz stawał się znów sobą. Zresztą strach jego nie był bezpodstawny, albowiem działanie owych zegarów, wychudłych i grzechotliwych niczym kościotrupy, bardzo jest konfundujące i dziwię się doprawdy, że jakimkolwiek ludziom na świecie, zwłaszcza zaś Holendrom, mogła w ogóle przyjść chętka je wymyślić. Panuje powszechne mniemanie, że Holendrzy lubią nakładać szerokie i sute odzienie na dolne rejony swych postaci, powinni więc chyba mieć dość rozumu w głowie, aby nie budować zegarów tak chudych i tak obnażonych.

Oto teraz, zauważcie, imbryk rozpoczął swą wieczorną zabawę. Oto teraz imbryk, rozrzewniwszy się i rozmiłowawszy w muzyce, jął bulgotać gardłowo, niepowstrzymanie, folgując sobie w krótkich a melodyjnych parsknięciach, które jednak tłumił wraz, jak gdyby niezupełnie jeszcze zdecydowany: wpadnie, czy nie wpadnie w nastrój towarzyski. Oto teraz, po kilku tego rodzaju daremnych próbach stłumienia przyjaznych afektów, imbryk odrzucił precz wszelką posepność i wszelką powściągliwość i wybuchnął pieśnią tak serdeczną i tak radosną, o jakiej żadnemu dotąd łzawemu słowikowi nawet się nie śniło.

Jakże prosta i zrozumiała była ta pieśń! Ach, pojąłbyś ją niczym księgę – pojąłbyś ją łatwiej niżli niektóre spośród tobie i mnie znanych dzieł. Podczas gdy jego ciepły oddech wytryskiwał lekką chmurką, co uniósłszy się wesoło i z wdziękiem na wysokość kilku stóp nieruchomiała u pułapu na kształt prywatnego imbrykowego nieba, imbryk wyśpiewywał swą pieśń z tak nieokiełzaną energią wesołości, że aż jego żelazny kadłub podskakiwał i brzęczał na kominie. A przykrywka, ów niedawny buntownik – tak oto zbawienny jest wpływ dobrego przykładu – odtańczywszy skoczny taniec, jęła szczełkotać na podobieństwo głuchego i niemego miedzianego talerza, który będąc młodzikiem ani się dotąd domyślał, do czego służy jego brat bliźniak.

Że ta pieśń imbryka była pieśnią zaprosin i pieśnią powitania dla kogoś, kto znajdował się w drodze, dla kogoś, kto zdążył w tej chwili do małego, zacisznego domku i wesołego ognia na kominie – rzecz ta nie budzi żadnych wątpliwości. Wiedziała o tym doskonale pani Peerybingle, siedząca w zadumie obok komina. Noc jest ciemna, śpiewa imbryk, i zeschnięte liście leżą na drodze; a w górze sama tylko mgła i ciemność, a w dole samo tylko błoto i rozmokła glina; i jedno tylko pociesza w tej smutnej i mrocznej atmosferze; lecz tak naprawdę, to nie wiem, czy pociesza, bo jest to zaledwie smuga światła purpurowej, złowrogiej barwy, w miejscu, gdzie słońce wraz z wichrami napiętnowało chmury, owe sprawczynie niepogody; a okolica, otwarta i rozległa, jest jeno podłużną, niewyraźną i czerniawą smugą; i szron osiadł na drogowskazie, a na gościńcu leży topniejący śnieg; i ani lód nie jest wodą, ani woda nie jest wolna od lodu; i prawdę powiedziawszy, nic nie jest takie, jakie być powinno. Ale on jedzie, jedzie, jedzie!

Otóż wtedy, moi drodzy, odezwał się świerszcz. Zaświerkotał swoje przepotężne świrt, świrt, świrt, wtórując imbrykowi, zaświerkotał głosem tak zdumiewająco nieproporcjonalnym w stosunku do swojego świerszczego wzrostu, jeśli go porównać z wielkością imbryka? Przecież świerszcza nie było widać!), że gdyby w tej samej chwili rozpuknął się jak strzelba zbyt nienaładowana prochem, gdyby na miejscu oddał życie rozświerkotując swoje maleńkie ciało na pięćdziesiąt kawałków, wydałoby się to nam rzeczą naturalną i nieuniknioną, o którą świerszcz najusilniej się starał.

Tak oto dobiegał do końca występ solowy imbryka. Imbryk nie ustawał i zapał jego nie słabł; lecz świerszcz pochwycił pierwsze skrzypce i już ich nie wypuszczał. Chryste, jakże on świerkotał! Jego przenikliwy, ostry, świdrujący głos wypełniał cały dom i zdawał się mrugać



niby gwiazdka w ciemnościach na dworze. Gdy świerkot wzmagął się, słyhać w nim było jakiś nieopisany, drżący trel, który kazał podejrzewać, że gwałtowny entuzjazm zwala świerszcza z nóg i na powrót zmusza go do wstania. Jednakże świetnie się ze sobą zgadzali, ów świerszcz i ów imbryk. Refren piosenki wciąż był ten sam; i coraz głośniejszy, głośniejszy, głośniejszy śpiewali współzawodnicy.

Śliczna maleńka słuchaczka – gdyż śliczna w istocie była i młoda, acz nieco pulchna, co mnie osobiście bynajmniej nie przeszkadza – zapaliła świecę, zerknęła na kosiarza, który na szczyt holenderskiego zegara zbierał dość przeciętny urodzaj minut, i spojrzała w okno, gdzie z powodu ciemności nie dostrzegła nic, prócz odbicia własnej twarzy w szybie. Ja zaś uważam (a wy zgodzilibyście się ze mną, na pewno), że mogłaby długo spoglądać i nie zobaczyć nic nawet w połowie tak miłego oku. Kiedy wróciwszy usiadła na dawnym miejscu, świerszcz i imbryk, roznamiętnieni współzawodnictwem, nadal trwali przy swoim. Imbryk zaś w tym objawiał swą słabość, że nie umiał przegrać.

Zapanowało teraz podniecenie, jakie zwykle towarzyszy wyścigom. Świrt, świrt, świrt! Świerszcz wysforował się o milę naprzód. Mrum, mrum, mrum, mru-um! Imbryk dybie nań z oddali, jak wytrawny zawodnik. Świrt, świrt, świrt! Świerszcz bierze zakręt. Mrum, mrum, mrum, mru-um! Imbryk depce mu po piętach; ani myśli się poddać. Świrt, świrt, świrt! Świerszcz coraz zwawszy. Mrum, mrum, mrum, mru-um! Imbryk powolny i wytrwały. Świrt, świrt, świrt! Świerszcz zaraz go pognębi. Mrum, mrum, mrum, mru-um! Imbryk ani rusz nie da się pognębić. Aż wreszcie w zapale i harmiderze zawodów ich głosy tak się pomieszały, że cięższej trzeba by głowy niżli twoja lub moja, aby orzec z jaką taką stanowczością, czy to imbryk świerkotał, a świerszcz mruczał, czy może świerszcz świerkotał, a imbryk mruczał, czy też obydwaj razem świerkotali i mruczeli. Jedno wszelako nie budzi żadnych wątpliwości, to mianowicie, że imbryk i świerszcz, w tej samej chwili i dzięki jakowejś im najlepiej znanej umiejętności jednoczenia różnych materii, wysłały każdy swą pieśń o chwale domowego ogniska po promieniu świecy, co padał przez okno i potem dalej na ścieżkę. Światło zaś to, napotkawszy po drodze pewną osobę, która w tejże chwili zbliżyła się ku niemu poprzez mrok, wytłumaczyło jej wszystko w jednym mgnieniu, a potem zawołało: – Witaj w domu! Witaj nam, drogi!

Osiągnąwszy ów cel, imbryk, pobity na łeb, wykupiał i został zdjęty z ognia. Wtedy to pani Peerybingle podbiegła do drzwi, gdzie skrzyp kół wozu, stukot kopyt końskich, głos mężczyzny, susy podnieconego psa, który wpadał i wypadał z domu, oraz niespodziewane a tajemnicze pojawienie się niemowlęcia – gdzie wszystko to razem wywołało niebawem piekielne wprost zamieszanie.

Skąd wzięło się niemowlę lub też jak pani Peerybingle zdołała wejść w jego posiadanie w ciągu owego ułamka sekundy – w żaden sposób nie potrafię powiedzieć. Lecz faktem jest, że w ramionach jej spoczywało żywe niemowlę. Jakże dumna była z tego niemowlęcia, gdy tak szła do komina, pociągnięta tam łagodnie przez krzepkiego mężczyznę, znacznie od niej wyższego i starszego, który nisko musiał się schylać, aby ją pocałować. Ale warta była zachodu – nawet dla kogoś, kto by miał sześć stóp sześć cali wzrostu i podagrę.

– Och, wielki Boże, John! – rzekła pani Peerybingle. – Co też ta plucha z tobą zrobiła!

Plucha nie schlebiła jego urodzie, trzeba przyznać. Gęsta mgła ścięła mu się na rzęsach niczym kandyzowany szron i w połączeniu z blaskiem ognia zapaliła tęczę w jego bokobrodach.

– Hm, widzisz. Kropko – mówi powoli John odwijając jednocześnie szal z szyi i grzejąc ręce – nie jest to pogoda, jak letnią porą bywa. Więc co się tu dziwić?

– Wolałabym, John, żebyś mnie nie nazywał Kropką. Nie lubię tego – rzekła pani Peerybingle odymając usta w sposób, który najwyraźniej wskazywał, że lubi to, nawet bardzo lubi.

– A czymże ty jesteś, jak nie Kropką? – spytał John, spoglądając na nią z uśmiechem i swą potężną ręką i silnym ramieniem ściskając jej kibić tak lekko, że aż dziw. – Kropka i... – tu

spojrzał na niemowlę – Kropka i reszta w pamięci... nie powiem do końca, bom gotów wszystko pomylić. Ale niewiele brakowało, a byłby mi się udał dowcip. Bardzo niewiele brakowało.

Wedle jego własnych relacji nader często znajdował się dosłownie o krok od powiedzenia czegoś szczególnie dowcipnego. Taki on już był, ten nieruchawy, powolny, zacny John; ten John tak ocieżyła ciałem i tak lekki sercem; tak szorstki na pozór, a tak delikatny w istocie; tak tępy na zewnątrz, a tak bystry w głębi duszy; nudny, a tak poczciwy. O matko naturo, obdarz dzieci swoje prawdziwą poezją serca, która kryła się w piersi ubogiego woźnicy (gdyż był on tylko woźnicą), a radzi będziemy, aby mówiły słowami prozy i wiodły prozaiczny żywot; i radzi będziemy cię błogosławić, żeś nam przydała je na towarzyszy!

Miło było patrzeć na Kropkę, maleńką Kropkę z dzieckiem w ramionach – śliczniutkim dzieckiem. Miło było patrzeć na nią, gdy spoglądała w zalotnej zadumie na ogień, gdy przechylała swą kształną, maleńką główkę w bok, ale tyle tylko, aby oprzeć ją w jakiś osobliwy sposób, na poły naturalny i na poły afektowany, lecz całkowicie ufny i pełen zadowolenia, o wielką niedźwiedziowatą postać woźnicy. Miło było patrzeć na niego, jak tkliwie a niezdarnie starał się otoczyć opieką tę delikatną istotę i uczynić ze swego dojrzałego wieku męskiego podporę stosowną dla jej kwitnącej młodości. Miło było patrzeć na Tilly Slowboy, która czekając w pewnym oddaleniu na dziecko, przyglądała się z aprobatą (choć lat miała zaledwie dziesięć i coś tam) tej trójce i stała z ustami i oczami szeroko otwartymi i głową wysuniętą do przodu, chłonąc w siebie ów widok, jakby to było powietrze. Niemniej miło było patrzeć na Johna-woźnicę, który usłyszawszy jakowąś uwagę Kropki o wyżej wzmiankowanym niemowlęciu, już chciał je dotknąć, lecz w pół drogi wstrzymał rękę – lękając się zapewne, że może maleństwo uszkodzić; i pochylony przyglądał mu się z bezpiecznej odległości z czymś w rodzaju pełnej zdziwienia dumy, takiej, jaką mógłby odczuwać dobroduszny brytan, gdyby przekonał się nagle, że jest ojcem młodego kanarka.

– Powiedz, John, czy on nie jest śliczny? Czy nie wygląda rozkosznie, kiedy śpi?

– Bardzo rozkosznie – odparł John. – Nadzwyczajnie rozkosznie. On chyba ciągle śpi, prawda?

– Mój Boże, John! Co też ty wygadujesz!

– Hm – rzekł John z namysłem. – Wydawało mi się, że ma oczka przeważnie zamknięte. Ojej!

– John! Aleś mnie przestraszył!

– Bo też on nie powinien tak oczkami wywracać! – powiedział zdumiony woźnica. – No, przecież nie powinien! Spójrz tylko, jak mruga, dwoma ślipkami naraz. I spójrz na jego buzię! Och, łapie powietrze niczym mała złota rybka!

– Wcale nie zasługujesz na to, żeby być ojcem, John – odparła Kropka z niepomiarłą powagą doświadczonej matrony. – Ale po prawdzie, co ty możesz wiedzieć o drobnych dolegliwościach trapiących niemowlęta Przecież ty, niemądry mężczyzno, nie znasz tych chorób nawet z nazwy. – Tu Kropka przytrzymała dziecko lewą ręką i obróciwszy je, klepnęła po pleckach, co było niezawodnym środkiem leczniczym na wszelkie dolegliwości; potem śmiejąc się pociągnęła męża za ucho.

– Prawda to, Kropko – odparł John zdejmując wierzchnie okrycie. – Święta prawda. Niewiele wiem o tych sprawach. Wiem za to, że wiatr dziś wieczór dmuchał z północo-wschodu, prosto w twarz.

– Och, racja, mój ty biedaku! – zawołała pani Peerybingle krzątając się żywo po izbie. – Tilly, potrzyмай nasze kochane maleństwo, a ja tymczasem wezmę się do roboty. Robaczek, mogłabym go na nic zacałować! Co ty wyprawiasz, Bokser! Kochane psisko. Nastawię tylko herbatę, John, a potem zaraz zajmę się paczkami, jak pracowita pszczołka. „Od rana do nocy pszczołka pracowała...” i tak dalej. Znasz to, John? Czy uczyli cię w szkole „Pszczółki”, John?

– Uczyli, ale nie nauczyli – odparł John. – Choć kiedyś niewiele brakowało, a byłbym się nauczył. Ale i tak na pewno pokręciłbym wszystko.

– Cha! cha! cha! – roześmiała się Kropka. Nie słyszeliście nigdy śliczniejszego i weselszego śmiechu. – Co za kochana, droga tępa głowa z ciebie, John!

Nie sprzeciwiając się bynajmniej temu stwierdzeniu, John wyszedł zobaczyć, czy chłopiec z latarnią, tańczącą tam i sam za oknem niczym błędny ogień, zaopiekował się jak należy koniem; który to koń tak był gruby, że gdybym wam podał jego wymiary, nie uwierzylibyście mi na pewno; i tak był wiekowy, że dzień jego urodzin ginął w pomroce historii. Bokser, uważając snadź, że winien jest afekt całej rodzinie i domowi, a więc musi obdzielić nim wszystkich sprawiedliwie, wybiegał na dwór i znów wbiegał do domu z zadziwiającym wprost brakiem stateczności; to poszczekując uganiał się dokoła konia, którego wycierano u wrót stajni; to udawał, że rzuca się dziko na swą panią, po czym, istny żartowniś, stawał nagle jak wryty; to niespodzianie przytykał mokry nos do twarzy Tilly Slowboy, siedzącej z dzieckiem na niskim stołku obok komina, zmuszając ją tym do wrzasku; to kręcił się i kręcił w kółko przed kominem, a potem układał się na podłodze, jak gdyby do nocnego spoczynku; to znowu wstawał i wynosił na dwór ten swój śmiechu warty ogarek ogona, jak gdyby śpiesząc na z dawna umówione spotkanie, o którym nagle sobie przypomniał.

– No i proszę! Imbryk stoi już na blasze! – powiedziała Kropka krzątając się tak żwawo, jak dziecko, które bawi się w dom. – A tu mamy ćwiartkę szynki. Tu masło, tu pięknie wypieczony chleb, i tak dalej. Wezmę teraz kosz od bielizny i przyniosę paczki, jeśli je w ogóle przywiozłeś... gdzie ty się podział, John? Tilly, nie upuść no mi tylko mojej pieszczotki do komina!

Musimy tu wyraźnie powiedzieć, że choć panna Slowboy obruszyła się żywo na przestrogę swej pani, to przecie posiadała rzadki i zdumiewający talent wciągania niemowlęcia w najrozmaitsze tarapaty; kilka zaś razy wystawiła na niebezpieczeństwo jego krótki żywot, czyniąc to w nader spokojny i sobie tylko właściwy sposób. Młoda ta dama miała postać tak chudą i patykowatą, że odzienie jej groziło bezustannie zsunięciem się z dwóch kołków kancianych, czyli ramion, na których wisiało jak na wieszadle. Strój jej godny był uwagi, albowiem odślaniał chwilami pewien spodni przyodziewek flanelowy osobliwej struktury; a także z tej racji, że w rejonie pleców pozwalał niekiedy dostrzec sznurówkę zgniłozielonej barwy. Ponieważ panna Slowboy trwała zazwyczaj w stanie zdumionego podziwu dla wszystkiego, co ją otaczało, a ponadto zatopiona była w wiecznej kontemplacji cnót doskonałych swojej pani i niemowlęcia, śmiało rzec można, iż małe pomyłki przez nią popełniane przynosiły chlubę zarówno jej głowie, jak sercu; a choć mniejszą przynosiły chlubę głowie niemowlęcia, jako że dzięki nim stykała się ona od czasu do czasu z sosnowymi drzwiami, szafami, poręczami schodów, oparciami łóżek oraz innymi ciałami obcymi, przecie pomyłki te wynikały jedynie z bezustannego zdziwienia, jakim napawało Tilly Slowboy dobrotliwe traktowanie i dostatek otaczający ją w tym domu. Albowiem zarówno linia męska, jak i żeńska rodu Slowboyów nie znana była światu i Tilly wychowywała się na koszt dobroczynności publicznej – ot, zwykła znajдка. A słowo to różni się od słowa „pieszczoszka” nie tylko swym brzmieniem, lecz także treścią, i znaczy coś zgoła innego.

Widok małej pani Peerybingle, która wróciła z mężem ciągnąc kosz i choć natężyła wszystkie siły, nic nie robiła (gdyż on dźwigał ciężar), tak by was chyba rozśmieszył, jak rozśmieszał jego. Kto wie, czy nie ubawiłby także świerszcza; tak czy inaczej, świerszcz znowu zaczął świerkotać, bardzo głośno świerkotać.

– Ho-ho! Dzisiaj nasz świerszcz weselszy jest chyba niż zwykle – ozwał się John wymawiając słowa w właściwy sobie, powolny sposób.

– I na pewno przyniesie nam szczęście. Zawsze tak jest, John. Świerszcz za kominem to najszcześniejsza wróżba na świecie.

John spojrział na żonę w taki sposób, jak gdyby mu prawie przyszło do głowy, że jest ona

jego najważniejszym świerszczem, i w duchu przyznał jej rację. Ale było to snadź jedno z jego szczęśliwych ocalań, gdyż nic nie powiedział.

– Pierwszy raz usłyszałam jego wesoły głosik tego wieczora, kiedyś mnie tu przyprowadził, John – kiedyś mnie wprowadził do mojego nowego domu jako jego malutką panią. Bliższy rok temu. Pamiętasz, John?

O, tak. John pamiętał. No chyba!

– Świerszcz tak mnie wtedy serdecznie przywitał! Zdawało mi się, że słyszę w jego świerkocie obietnicę i zachętę, całkiem jakby mi chciał powiedzieć, że będziesz dla mnie dobry i wyrozumiały, że nie będziesz żądał (czego naprawdę się wtenczas obawiałam), aby twoja młoda, głupiutka żona miała starą i mądrą głowę na karku.

John pogłaskał w zamyśleniu ów kark, a potem głowę, jak gdyby chciał rzec: „Nie, nie, nigdy czegoś takiego nie żądałem; zawsze byłem rad, że głowa i kark są takie, jakie są”. I co mu się dziwić. Były nadzwyczajnie kształtne.

– Świerszcz mówił prawdę, John, kiedy mi tak świerkotał. Bo jesteś, wiem o tym, najlepszym, najtroskliwszym, najczulszym mężem. Znalazłam szczęście w tym domu, John. I za to kocham świerszcza.

– W takim razie ja też go kocham, Kropko – powiedział woźnica.

– Kocham go za to, że go tak często słyszałam, i za te wszystkie myśli, na które naprowadził mnie jego cichutki świerkot. Bywało, że o zmroku, kiedy czułam się trochę samotna i trochę przygnębiona... zanim maleństwo przyszło na świat i samą swoją obecnością rozweseliło cały dom... kiedy myślałam sobie, drogi, jaki byłbyś osamotniony, gdybym umarła, i jak ja bym była nieszczęśliwa, gdybym wiedzieć mogła, żeś mnie stracił... wtedy wesołe świrt, świrt, świrt za kominem przypominało mi o innym cichutkim głosie. I na samą myśl, że może usłyszę wkrótce ten głosik, mój smutek rozwiewał się jak dym. A gdy ogarniał mnie lęk (leżałam się tego kiedyś, byłam taka młoda), że będziemy niedobranym małżeństwem, bo taki jeszcze ze mnie dzieciuch, a ty jesteś bardziej moim opiekunem niż mężem, i że choćbyś się nie wiem jak starał, nie zdołasz mnie pokochać, jak tego pragnęłam, jak to sobie wyobrażałam – wtedy świerkot świerszcza rozweselał mnie, dodawał mi otuchy, wiary w siebie. O tych sprawach myślałam, kochany, kiedyś dziś wieczór czekała na ciebie. I za to wszystko kocham świerszcza.

– Ja go też kocham – powtórzył woźnica. – Ale, Kropko! Ja miałbym pragnąć, miałbym wyobrażać sobie, że cię zdołam pokochać? Co też ty mówisz! Pokochałam cię Kropko, na długo przedtem, zanim cię tu przyprowadziłam, ażebyś została maleńką panią świerszcza.

Na króciutką chwilę położyła dłoń na jego ramieniu i podniosła ku niemu wzruszoną twarzyczkę, jak gdyby chciała mu coś powiedzieć. Już w następnym momencie klęczała na podłodze obok kosza, przemawiając z żywością i całkiem, zda się, zaprzątnięta paczkami.

– Niewiele ich dzisiaj przywiozłeś, John, ale widziałam dopiero co jakieś duże przesyłki przymocowane z tyłu do wozu. A choć więcej może z nimi kłopotu, zysk przynoszą nie mniejszy. Nie mamy tedy powodu narzekać. Zresztą rozwoziłeś pewnie paczki po drodze, prawda?

– A jakże, i to nawet sporo – odparł John.

– Och, a cóż to za okrągłe pudło? Mój Boże, John, przecież to jest tort weselny!

– Już tam kobieta zawsze taką rzecz odgadnie! – zawołał John z podziwem. – Mężczyzna nigdy by na to nie wpadł. Głowę dam, że choćby kto zapakował tort weselny w skrzynkę po herbacie, w składane łóżko, w baryłkę po solonym łososiu albo coś takiego, kobieta natychmiast wszystkiego by się domyśliła. Zgadłaś, Kropko. Jeździłam po ten tort do cukiernika.

– Ojej, a waży chyba z cetnar! – zawołała Kropka próbując z wielkim niby to wysiłkiem podnieść pudło. – Czyje to? Komu masz oddać?

– Przeczytaj adres po drugiej stronie – rzekł woźnica.

– Niemożliwe. John! Mój Boże!

– Tak, Kropko. Kto by to pomyślał!

– Nie chcesz chyba powiedzieć – nie dawała za wygraną Kropka, siadając na podłodze i potrząsając głową – że tort jest dla Gruffa i Tackletona, fabrykanta zabawek?

John kiwnął głową.

Pani Peerybingle również kiwnęła głową, i to najmniej z pięćdziesiąt razy – nie na znak zgody, lecz w niemym, pełnym współczucia zdumieniu; zaciskając jednocześnie wargi z całej ich maleńkiej siły (nie zostały one stworzone do zaciskania, tego jestem najzupełniej pewien) i w osłupieniu wpatrując się i wpatrując w zacnego woźnicę. Tymczasem panna Slowboy, która posiadała zdolność mechanicznego powtarzania dla rozrywki niemowlęcia strzepów prowadzonej właśnie rozmowy – ogałając ją przy tym z wszelkiego sensu i zmieniając w rzeczownikach liczbę pojedynczą na mnogą – zapytywała młodą tę istotkę: Czy torty naprawdę należą do Gruffów i Tackletonów, fabrykantów zabawek? Czy niemowlę jeździłoby do cukierników po torty weselne i czyjego matki zawsze poznają pudła, które ojcowie przywożą do domów? I tak dalej.

– A więc stało się – powiedziała Kropka. – Ach, John, chodziłyśmy razem do szkoły.

Może myślał o niej lub prawie że myślał, jak też wyglądała w tym szkolnym okresie. Przypatrywał jej się bowiem w pełnym zadumy ukontentowaniu, ale nie odpowiadał.

– I on taki jest stary! Taki dla niej nieodpowiedni! Słuchaj, John, o ile lat starszy jest od ciebie Gruff i Tackleton?

– O tyle, o ile ja wypiję dziś więcej filiżanek herbaty na jednym posiedzeniu, niż Gruff i Tackleton zdołaliby wypić w cztery wieczory – odparł dobrodusznie woźnica przysuwając krzesło do okrągłego stołu i sięgając po szynkę.

– Jeśli idzie o jedzenie, jem doprawdy niewiele. Ale tę odrobinę, moja Kropko, zjadam ze smakiem.

Nawet to przekonanie, któremu dawał zwykle wyraz w porze posiłków, owo nieszkodliwe złudzenie, któremu ulegał (gdyż krnąbrny jego apetyt kłamał powyższym słowom), nie wywołało tym razem uśmiechu na twarzy maleńkiej Kropki. Stała pośród paczek odsuwając powoli nogą pudło z tortem weselnym, a choć oczy miała spuszczone, ani razu nie spojrzała na swój maluchny bucik, o który tak się zazwyczaj troszczyła. Zatopiona w myślach stała więc, niepomna ani na herbatę, ani na Johna (choć ów przywoływał żonę, a nawet zastukał nożem w stół, aby ją wyrwać z zadumy); dopiero gdy wstał i dotknął jej ramienia, spojrzała na niego, potem zaś wróciła śpiesznie na swoje miejsce za stołem, śmiejąc się z własnej opie-szałości. Ale nie tak, jak śmiała się przedtem. Rodzaj i brzmienie tego śmiechu zgoła były inne.

Świerszcz także przestał świerkotać. Pokój wydawał się teraz mniej wesoły niżli przed chwilą. Ach, bez żadnego porównania!

– Czy to już wszystkie paczki, John? – spytała Kropka przerywając długie milczenie, które zacy woźnica wykorzystał, aby dowieść pierwszej części swego ulubionego twierdzenia, a mianowicie jadł ze smakiem – acz nie dałoby się powiedzieć, że jadł niewiele. – Czy to już wszystkie paczki, John?

– Wszystkie – odparł John – Ojej... nie... przecież.... – jęknął odkładając nóż i widelec i wciągając w piersi potężny haust powietrza. – Słowo daję, na śmierć zapomniałem o starym jegomościu!

– O jakim starym jegomościu?

– O tym na wozie – odparł John. – Kiedym go ostatni raz widział, spał zagrzebany w słomę. Prawie że sobie o nim przypomniałem już dwa razy, odkąd wróciliśmy do domu, ale potem znowu wypadł mi z pamięci. Hej! Hop tam! Obudź się, człowieku! Mój złociutki!

Te ostatnie słowa John wykrzykiwał na podwórzu, gdzie wybiegł ze świecą w rękę.

Gdy panna Slowboy zasłyszała tajemniczą jakąś wzmiankę o starym jegomościu, który to zwrot wywołał w jej obalamuconej wyobraźni pewne skojarzenia natury religijnej, tak się

przestraszyła, że powstawszy śpiesznie z niskiego krzesła przy kominie, aby szukać opieki w bliskości swej pani, i natknąwszy się w drzwiach na nieznanego starca, instynktownie zaatakowała go, czy też raczej ubodła jedynym orężem, jaki miała w ręku. A ponieważ zdarzyło się, iż orężem tym był młodziuchny Peerybingle, wynikł stąd wielki gwałt i zamieszanie, które dzięki pojętności Boksera zaczęły szybko przybierać na sile.

Otóż wierny ten pies, przezorniejszy niżli jego własny pan, strzegł, jak się zdaje, pogrążonego we śnie starego jegomościa, a to z obawy, że ów oddali się unosząc kilka młodych topoli przywiązanych z tyłu do wozu; teraz zaś nadal bacznie staruszka pilnował, znęcając się nad jego getrami i przypuszczając zacięty szturm do guzików.

– Taki z ciebie, panie, śpioch – rzekł John, gdy przywrócono jaki taki spokój (przez cały ten czas niezajomy stał z odkrytą głową na środku pokoju, zupełnie nieruchomo) – żem już chciał spytać, gdzie podziałeś pozostałych sześciu Braci Śpiących. Tylko że byłby to dowcip, więc na pewno wszystko bym pokręcił. Ale niewiele brakowało – zaśmiał się cicho woźnica – bardzo niewiele!

Niezajomy, który miał długie siwe włosy, rysy twarzy piękne i jak na starego człowieka osobliwie zuchowate i wyraziste oraz czarne, przenikliwe, bystre oczy, rozejrzał się po izbie i poważnym skinieniem głowy przywitał żonę woźnicy.

Strój jego był dziwaczny i staroświecki, zgoła przedpotopowy, całe zaś odzienie miało barwę brązową. Stary jegomość trzymał w ręce gruby brązowy kij czy też laskę. Gdy stuknął nią w podłogę, laska otworzyła się i zmieniła w krzesło, na którym to krzesle staruszek usiadł zachowując niezmałony spokój.

– No i proszę! – zwrócił się woźnica do żony. – Tak go znalazłem, siedział przy drodze. Sztywny niczym kamień milowy. I prawie tak głuchy.

– Jak to, John? Siedział pod gołym niebem?

– Pod gołym niebem – odparł woźnica. – Akurat się zmierzchało. Powiedział: „Opłata za przejazd” i dał mi osiemnaście pensów. Potem wsiadł na wóz. No i tym sposobem tu trafił. – Och, zabiera się chyba do wyjścia – rzekł Kropka.

Gdzie tam. Zabierał się, ale do mówienia.

– Mam zaczekać, jeśli łaska, póki się po mnie nie zgłoszą – powiedział łagodnie staruszek. – Proszę, nie krępujcie się mną.

Co oznajmiwszy, wyciągnął okulary z jednej, książkę zaś z drugiej ogromnej kieszeni surduta i bez pośpiechu wziął się do czytania. Przy czym tyle sobie robił z Boksera, co z oswojonego jagnięcia.

Woźnica i jego żona, mocno zakłopotani, wymienili spojrzenia. Niezajomy podniósł głowę i przenosząc wzrok z Kropki na Johna spytał:

– Czy to twoja córka, zacny człowieku?

– Żona – odparł John.

– Powiedziałaś siostrzenica? – spytał niezajomy.

– Żo-o-ona! – wrzasnął John.

– Doprawdy? – mruknął staruszek. – Nie mylisz się? Bardzo młoda!

Po czym wrócił spokojnie do swej książki, lecz nim zdążył przeczytać dwie linijki, znów sobie przerwał przemawiając tymi słowy:

– Dziecko też twoje?

John odparł mu gwałtownym skinieniem głowy, które posiadało moc odpowiedzi twierdzącej wygłoszonej przez morską tubę.

– Dziewczynka?

– Chło-o-opiec! – ryknął John.

– Też pewnie bardzo młody, co?

Tu pani Peerybingle natychmiast się wtrąciła:

– Dwa miesiące i trzy dni. Szczepiony okrągłe sześć tygodni temu. Doskonale to zniósł,

robaczek. Doktor powiada, że jest wyjątkowo udanym dzieckiem. Pod względem rozwoju dorównuje dzieciom w piątym miesiącu życia. Aż człowieka zdumiewa, jak wszystko rozumie. Pewnie się to panu wyda niemożliwe, ale już próbuje się podnosić.

W tym miejscu zadyszana młodziutka matka, która wykrzykiwała te krótkie zdania staremu jegomościowi prosto do ucha, aż jej śliczna twarzyczka całkiem spaşowiała, podsunęła mu dziecko pod nos jako dowód niezbity i triumfujący. Tymczasem Tilly Slowboy, która coś tam pod nosem wyśpiewywała – niby jakieś cudaczne życzenia pomyślności, jeła płaşać z iście cielecym wdziękami wokół nieświadomego tej sceny niemowlęcia.

– Słyszycie? Przyszli po niego! – zawołał John. – Ktoś stoi na progu. Tilly, otwórz drzwi!

Ale zanim Tilly zdołała wykonać polecenie, drzwi otworzyły się od zewnątrz. Były to bowiem drzwi prymitywne, zamykane na zasuwę, którą odsunąć mógł każdy, kto miał na to ochotę. Ochotę zaś miewało wielu, jako że najrozmaitsi sąsiedzi radzi byli zawsze uciąć sobie miłą pogawędkę z woźnicą, choć on sam nie należał do ludzi rozmownych. A więc drzwi otworzyły się i do izby wszedł mały, chudy, czerniawy na twarzy człowieczek, którego płaszcz zrobiony był snadź z worka chroniącego niegdyś jakowąś skrzynię; bo gdy człowieczek ów obrócił się, aby zamknąć drzwi, ponieważ zimnem wiało ze dworu, na jego plecach każdy ujrzeć mógł wielkie czarne inicjały „G i T”. A ponadto słowo SZKŁO wypisane wyraźnym pismem.

– Dobry wieczór, John! – ozwał się nowo przybyły. – Dobry wieczór, matuchno! Dobry wieczór, Tilly! Dobry wieczór, nieznajomy panie! Jak tam niemowlę, matuchno? A Bokser w dobrym zdrowiu?

– Wszyscy miewamy się wyśmienicie – odparła Kropka. – Zresztą wystarczy ci chyba, Kalebie, spojrzeć na kochane maleństwo.

– I wystarczy mi też chyba, matuchno, spojrzeć na ciebie – rzekł Kaleb.

Ale niech się wam nie wydaje, że na nią patrzył. Miał zamyślane, wędrujące spojrzenie, które w zupełnej niezależności od jego słów zdawało się wybiegać zawsze w inny czas i inne miejsce; to samo można było rzec o jego głosie.

– Albo na Johna – dodał. – Albo nawet na Tilly. I z pewnością na Boksera.

– Co słyhać, Kaleb? Dużo masz roboty ostatnimi czasy? – spytał woźnica.

– Oj, sporo, sporo – odparł zapytany, przy czym na twarzy jego malowało się roztargnienie człowieka, który zaprzątnięty jest co najmniej poszukiwaniem kamienia filozoficznego. – Nie można powiedzieć, sporo. Wielkie mamy teraz zapotrzebowanie na arki Noego. Rad byłbym staranniej wykonywać postacie, ale przy tych zarobkach żadną miarą nie jest to możliwe. Większe miałbym ukontentowanie z pracy, gdybym wyraźniej mógł zaznaczać, którzy są Chamowie, którzy Semowie, a które żony. No i widzisz, jak zacząć od słoni, to przy tych wymiarach muchy nie mają żadnych widoków. Ale mniejsza o to. Czy masz może dla mnie jakąś paczuszkę, John?

Woźnica wsunął rękę do kieszeni kurty, którą zdjął po przyjściu, i dobył stamtąd maluchną doniczkę, starannie owiniętą w mech i papier.

– Oto ona – rzekł, z wielką dbałością poprawiając opakowanie. – Nie złamał się ani jeden listek. Obsypana pączkami.

Mętne oczy Kaleba rozjaśniły się, gdy dziękując woźnicy odbierał doniczkę z jego rąk.

– Droga to roślinka, mój Kalebie – ozwał się woźnica. – Bardzo droga o tej porze roku.

– Co mi tam! Dla mnie jest tania, ile bądź kosztuje! Masz jeszcze coś, John?

– Tę tam małą skrzyneczkę – odparł woźnica. – Weź ją, proszę.

– „Do Kaleba Plummera” – powiedział mały człowieczek, sylabizując adres. – „Uwaga, kruszec!” Kruszec, John? To chyba nie dla mnie.

– „Uwaga, krusze!” – poprawił go woźnica, spojrzawszy mu przez ramię. – Gdzieś ty zobaczył „kruszec”?

– Och, naturalnie! – zawołał Kaleb. – W porządku. Kruche. Tak, tak. To dla mnie. Swoją drogą mógłby to być kruszec, gdyby żył mój drogi chłopaczek w złotodajnej Południowej Ameryce. Kochałeś go jak własnego syna, John, prawda? Nie musisz odpowiadać. Wiem, że tak było. „Kaleb Plummer. Uwaga, kruche!” Tak, tak, zgadza się. To są oczy dla lalek, które robi moja córka. – Ach, John, chciałbym, żeby to mógł być wzrok dla niej samej przysłany w pudełku.

– Ja też bym chciał, żeby tak było albo mogło być! – zawołał woźnica.

– Dziękuję ci, John – westchnął mały człowieczek. – Powiedziałeś to prosto z serca. Pomyśleć, że Berta nie widzi tych lalek, a one przez cały dzień wpatrują się w nią tak bezwstydnie. To najbardziej boli. Ile jestem ci winien, John?

– Oj, spytaj jeszcze raz, a sam sobie będziesz winien, jak ci się coś ode mnie oberwie. Kropko! Niewiele brakowało, co?

– Hm, John, jakie to do ciebie podobne! – rzekł mały człowieczek. – Dobroć przez ciebie przemawia. Ale niech się teraz zastanowię. To już chyba wszystko?

– A ja myślę, że nie – odparł woźnica. – Zgaduj.

– Pewnie przywiozłeś coś dla naszego pryncypała – oznajmił Kaleb po krótkim namyśle. – No, naturalnie! Przecież po to tu przyszedłem. Ale głowę mam taką nabitą tymi wszystkimi arkami, że na śmierć zapomniałem. A może on był już tutaj?

– Skądże! – odparł woźnica. – Zbyttno go zaprzatają zaloty.

– Mimo to chce wstąpić do was – rzekł Kaleb – bo mi powiedział, że jak w drodze powrotnej będę szedł skrajem gościńca, to bardzo możliwe, że mnie podwiezie do domu. No, trzeba mi już ruszać. Aha, czy nie pozwoliłabyś mi, matuchno, uszczypnąć Boksera w ogon?

– Bójże się Boga, Kaleb! Co za pytanie?

– Mniejsza o to, matuchno – powiedział mały człowieczek. – Może by mu to zrobiło przykrość. Ale widzisz, przysłali właśnie do fabryki niewielkie zamówienie na szczekające psy, a ja chciałbym tak wiernie naśladować naturę, jak to jest za sześć pensów możliwe. Nic innego nie miałem na myśli. Ale mniejsza o to, matuchno.

Szczęśliwym trafem Bokser, choć nie otrzymał owej projektowanej przez Kaleba podniety, jął szczekać z wielką zajadłością. Ale ponieważ znaczyło to, iż zbliża się jakiś nowy gość, Kaleb, odłożywszy studia z natury do sposobniejszej nieco chwili, zarzucił pudło na plecy i śpiesznie skierował się do drzwi. Mógł był jednak zaoszczędzić sobie tego trudu, gdyż na progu spotkał się z nowo przybyłym.

– Ach, jeszcze tu? Poczekaj chwilę. Podwożę cię do domu. Sługa unizony, Johnie Peery-bingle. I jeszcze unizeńszy sługa twej ślicznej żonki. Co dzień piękniejsza! I co dzień lepsza, jeśli to możliwe. No i co dzień młodsza – dodał nowo przybyły cichszym nieco głosem. – W tym sęk!

– Zdziwiłyby mnie chyba, panie Tackleton, te komplementy – rzekła Kropka, nie siląc się bynajmniej na uprzejmość – gdyby nie pewne nowe okoliczności w pańskim życiu.

– Zatem wiesz już pani o wszystkim?

– Ano usiłuję jakoś w to uwierzyć.

– Co przyszło ci z wielkim trudem?

– Z wielkim.

Tackleton, fabrykant zabawek (znany częściej jako Gruff i Tackleton, gdyż tak brzmiała nazwa firmy, choć Gruff dawno już sprzedał swój udział, pozostawiwszy przedsiębiorstwu jeno swe nazwisko wraz – jak niektórzy utrzymywali – z jego słownikową treścią<sup>2</sup>), był człowiekiem, którego powołania odgadnąć nie zdołali ani rodzice, ani opiekunowie. Gdyby uczynili zeń lichwiarza albo przebiegłego adwokata, albo pomocnika szeryfa, albo wreszcie maklera giełdowego, może wyszumiałoby się to młode, acz zgorzkniałe piwko, może w niecnym

---

<sup>2</sup> Gruff (ang.) – szorstki, opryskliwy, kwaśny.



postępkach wyładowałyby swe popędy, może w końcu stałby się Tackleton człowiekiem o gołęmbim sercu – już choćby dla samej odmiany i nowości. Lecz dusząc się i jątrząc w niewinnym rzemiośle fabrykanta zabawek, stał się niczym strzyga straszliwa, całe życie żerująca na dzieciach, których był nieubłaganym wrogiem. Nienawidził zabawek i za nic w świecie żadnej by sobie nie kupił; tak był przewrotny, że ze szczególnym upodobaniem nadawał odpychający wyraz twarzom farmerów, co prowadzili świnie na targ, twarzom heroldów, co biciem w dzwon oznajmiali o poszukiwaniu dusz, które adwokaci diabłu zaprzędali, twarzom kiwających się staruszek, co naprawiały pończochy lub krajały ciasto; oraz twarzom innych okazów swej wytwórczości. Ohydne maski; obmierzłe, włochate, krwistookie pajace wyskakujące z pudełek; latawce podobne wampirom; wstańki, które żadną miarą nie chciały stać i wciąż się pochylały, strasznym wzrokiem budząc w dzieciach przerażenie – wszystko to było niczym miód dla jego duszy; było jego jedyną pociechą, jego klapą bezpieczeństwa. W takiej to wynalazczości wznosił się na wyżyny. Wszystko, co przywodziło na myśl konia-upiora, napawało go zachwytem. Stracił nawet sporo pieniędzy (a zabawka ta była szczególnie droga jego sercu) produkując przerażające płytki szklane do latarni magicznej, na których moce piekielne przedstawione były pod postacią fantastycznych skorupiaków o ludzkich twarzach. Utopił też niemały kapitał w malarstwie portretowym mającym za temat rozmaite monstra, a choć sam nie był artystą, dla pouczenia malarzy umiał za pomocą kredki nadać obliczom owych potworów pewien ukradkowy a złośliwy wyraz, który, tak pewne, jak amen w pacierzu, niszczył pokój ducha młodych dżentelmenów w wieku od lat sześciu do jedenastu na przeciąg całych gwiazdkowych lub letnich wakacji.

Czym był w odniesieniu do zabawek, tym był (tak to zwykle bywa z ludźmi) również w innych sprawach. Możecie więc sobie wyobrazić, co to za niezwykła postać tkwiła we wnętrzu obszernej, szczelnie zapiętej, zielonej peleryny, sięgającej do połowy łydek; jakaż to była zacna dusza i jaki miły kompan, najmilszy jaki kiedykolwiek nosił szerokonose buty o cholewkach w kolorze mahoni.

Mimo to Tackleton, fabrykant zabawek, miał stanąć na ślubnym kobiercu. Mimo wszystko i wbrew wszystkiemu Tackleton miał stanąć na ślubnym kobiercu. U boku młodej dziewczyny, pięknej, młodej dziewczyny.

Nie wyglądał na szczęśliwego oblubieńca, gdy tak tkwił pośrodku kuchni państwa Peerybingle. Oschłą twarz wykrzywił mu grymas; postać miał pochyloną, kapelusz naciągnięty nisko na oczy; ręce trzymał głęboko w kieszeniach, a z kącika jednego małego oka wyzierała cała jego zgryźliwa, złośliwa natura, niczym sama treść najistotniejsza złowieszczej natury kruka. A mimo to zamierzał stanąć na ślubnym kobiercu.

– Za trzy dni. W najbliższy czwartek. W ostatni dzień pierwszego miesiąca w roku. Tego dnia biore ślub! – powiedział Tackleton.

Czy wspominałem wam, że jedno oko miał Tackleton zawsze szeroko otwarte, drugie zaś prawie zupełnie zamknięte? I że właśnie to prawie zupełnie zamknięte oko było okiem wyrażającym jego uczucia? Zdaje się, że wam o tym nie mówiłem.

– Tego dnia biore ślub! – powtórzył Tackleton pobrzękując pieniędzmi trzymanymi w kieszeni.

– Toż i my braliśmy tego dnia ślub! – zakrzyknął woźnica.

– Cha! Cha! – zaśmiał się Tackleton. – Ciekawe! Przecież z was druga taka sama para. Dokładnie taka sama.

Nikt nie zdołałby opisać oburzenia Kropki, gdy usłyszała to zuchwałe twierdzenie. Co mu jeszcze przyjdzie do głowy? Gotów sobie może wyobrazić drugie takie samo niemowlę. Ten człowiek oszalał.

– Słuchaj no, John. Chciałbym zamienić z tobą słówko – szepnął Tackleton trącając woźnicę łokciem i odciągając go na bok. – Przyjdziecie na mój ślub? Znaleźliśmy się obaj, rozumiesz, na tym samym wózku.

– Jak to na tym samym wózku? – zapytał woźnica.

– Mam na myśli tę... hm... maleńką różnicę wieku – odparł Tackleton powtórnie trącając Johna łokciem. – A może tak przedtem jeszcze odwiedzilibyście mnie któregoś wieczora?

– Po co? – spytał John, zdumiony tą natrętną gościnnością.

– Po co? – powtórzył Tackleton. – A to mi śliczny sposób przyjmowania zaprosin! Jak to po co? Żeby się trochę rozerwać, zabawić w towarzystwie, rozumiesz, i tak dalej.

– Zdawało mi się, żeś pan nie lgnął nigdy zbyt do towarzystwa – rzekł John ze zwykłą sobie szczerością.

– Masz ci los! Widzę, że tobie wykladać trzeba wszystko jak na łopacie – westchnął Tackleton. – No więc idzie mi o to, że wy oboje, to jest twoja żona i ty, wyglądacie... hm... wyglądacie na małżeństwo, jak to ludzie ckliwi powiadają, szczęśliwe. My wiemy, rozumie się, co o tym myśleć, ale...

– Co znaczy: wiemy, co o tym myśleć – przerwał John. – O czym ty, człowieku, mówisz?

– No więc zgoda. No więc nie – mruknął Tackleton. – Powiedzmy, że nie. Jak sobie życzysz. Mniejsza o to. Chciałem tylko powiedzieć, że ponieważ wyglądacie tak, jak wyglądacie, wasze towarzystwo wywrze korzystny wpływ na przyszłą panią Tackleton. A choć wydaje mi się, że twoja żona nie ustosunkowała się do mojego małżeństwa przychylnie, to przecie chcąc nie chcąc stanie się moim sprzymierzeńcem, bo jest w niej jakaś stateczność i jakieś ukontentowanie, które nawet wbrew jej woli mieć będzie swoją wymowę. Więc przyrzekniesz, że przyjdziecie?

– Jeśli idzie o naszą rocznicę – odparł John – to chcielibyśmy spędzić ten dzień w domu. Przyrzekliśmy to sobie najmniej przed pół rokiem. Widzisz pan, my uważamy, że dom...

– Phi! A czymże jest dom? – zawołał Tackleton. – Cztery ściany i sufit. Dlaczego nie zabijesz tego świerszcza? Ja bym go zabił. Zawsze to robię. Nie mogę ścierpieć tego ich skrzeku. Ja też mam u siebie cztery ściany i sufit. Przyjdziecie?

– Zabijasz pan świerszcze, które ci świerkotają w domu? – spytał John. – Prawdę mówisz?

– Zwyczajnie je depczę – odrzekł Tackleton stuknąwszy mocno obcasem w podłogę. – No więc jak, przyjdziecie? Zyskasz na tym nie mniej ode mnie, jeżeli nasze kobiety wzmówią w siebie wzajem, że znalazły spokój i ukontentowanie, że w ogóle nie mogłoby im się dziać lepiej. Znam ja ich zwyczaje. Niech tylko jedna coś powie, zaraz druga będzie za nią z uporem powtarzać to samo. Zawsze. A taki już jest między nimi duch współzawodnictwa, że jak twoja żona powie do mojej: „Jestem najszczęśliwszą kobietą na świecie i mam najlepszego męża na świecie, po prostu za nim przepadam”, moja żona rzeknie to samo do twojej albo nawet doda jeszcze coś od siebie i prawie że w to uwierzy.

– Czy chcesz pan powiedzieć, że tak nie jest?

– Że tak nie jest! – zawołał Tackleton wybuchając krótkim, zgrzytliwym śmiechem. – Że co tak nie jest?

Woźnica już miał ochotę powiedzieć: „Że ona za tobą nie przepada” – lecz spotkawszy przypadkiem spojrzenie w półprzymkniętego oka, gdy łyskało nań znad podniesionego kołnierza peleryny, który to kołnierz lada chwila mógł je wyłupić, John doszedł do wniosku, iż jest rzeczą tak mało prawdopodobną, aby oko to stanowić mogło nieodłączną cząstkę czegokolwiek, za czym ktokolwiek mógłby przepadać, że zastąpił powyższe słowa innymi: – Że ona w to nie wierzy?

– Ach, ty obwiesiu! Żarty sobie stroisz! – zaśmiał się Tackleton.

Ale woźnica, choć nie zdołał jeszcze uchwycić pełnego sensu słów Tackletona, spoglądał nań z taką powagą, że ów poczuł, iż musi udzielić mu pewnych wyjaśnień.

– Przyszła mi chętka... – rzekł tedy Tackleton; tu podniósł lewą dłoń i jął uderzać w jej palec wskazujący, jakby chciał powiedzieć: „Otom jest ja, Tackleton, we własnej osobie”. – Przyszła mi więc chętka pojąć za żonę kobietę młodą, kobietę ładną. Tu jął uderzać w mały palec lewej dłoni, który to palec miał wyobrażać pannę młodą; przy czym bynajmniej jej nie

oszczędzał, lecz przeciwnie, bił mocno, z poczuciem własnej siły. – Mogę zaspokoić tę chętkę i zaspokoje ją. Ot... taki mój kaprys. Ale spójrz no tylko!

Wskazał na Kropkę, siedzącą obok komina, pogrążoną w zadumie; oparłszy brodę na dłoni wpatrywała się w jasne płomienie. Woźnica spojrzął na nią, potem na Tackletona, potem znów na nią i znów na Tackletona.

– Nie wątpię, że cię poważa i okazuje ci posłuszeństwo – rzekł Tackleton. – A ponieważ nie należę do ludzi sentymentalnych, w zupełności mi to wystarczy. Ale czy myślisz, że jest w tym coś więcej?

– Myślę – odparł woźnica – że wyrzucę przez okno każdego, kto powie, że nic więcej w tym nie ma.

– Bardzo słusznie – przyznał fabrykant zabawek z ustępliwością zgoła u niego niezwykłą. – Oczywiście! Wcale w to nie wątpię. Naturalnie! Pewien tego jestem. Dobrej nocy! Przyjemnych snów!

Woźnica zmieszał się, nie wiedząc czemu poczuł się nagle nieswój i onieśmielony. Wiodoczne to było w jego zachowaniu.

– Dobrej nocy, drogi mój przyjacielu – powtórzył Tackleton współczującym głosem. – Idę już. Tak naprawdę, to jesteśmy kubek w kubek do siebie podobni. A więc nie chcecie spędzić z nami jutrzejszego wieczoru? No cóż! Pojutrze wybieracie się z wizytą, wiem o tym. Przyjdę tam, przyprowadzę moją przysłą żonę. Dobrze jej to zrobi. Zgoda? Dziękuję! A cóż to znowu?

Z piersi żony woźnicy wydarł się okrzyk: głośny, ostry, niespodziewany okrzyk, od którego pokój cały zadzwieczał niczym szklane naczynie. Kropka podniosła się z miejsca i stała obezwładniona przestachem i zdumieniem. Nieznajomy, snadź chcąc się zagrzać, podszedł do komina i stał teraz o krok od jej krzesła. Lecz stał nieruchomo.

– Kropko! – zawołał woźnica. – Mary! Kochanie moje! Co się stało?

W sekundę wszyscy byli przy niej. Kaleb, który drzemał przysiadłszy na skrzyneczce z tortem weselnym, niezupełnie jeszcze powróciwszy do przytomności chwycił pannę Slowboy za włosy, ale natychmiast ją przeprosił.

– Mary! – wołał woźnica podtrzymując żonę ramieniem. – Czyś chora? Co się stało? Powiedz, droga!

Nie odpowiedziała, lecz tylko jęła bić w dłonie, zanosząc się niepohamowanym śmiechem. Potem wysunęła się z objęć Johna, przysiadła na ziemi, zakryła twarz fartuchem i zapłakała gorzko. Potem znów się roześmiała, znowu zapłakała, wreszcie rzekła, że jej zimno, pozwoliła mężowi podprowadzić się do komina i usiadła na dawnym miejscu. Stary jegomość stał bez ruchu.

– Już mi lepiej, John – powiedziała. – Czuję się już dobrze. Ja...

„John!” Lecz John znajdował się po drugiej stronie jej krzesła. Czemu więc zwróciła twarz ku nieznanemu, jak gdyby do niego pragnęła przemówić? Czy majaczy w gorączce?

– Przywidziało mi się coś, John, drogi mój... coś się ze mną stało... coś mi stanęło nagle przed oczami... sama nie wiem co. Ale już zniknęło, zupełnie zniknęło.

– Rad jestem, że zniknęło – mruknął Tackleton tocząc po pokoju swoim wymownym okiem. – Ciekawym, dokąd poszło i co to było. Tfe! Kaleb, chodź no tu! Kto to jest, ten z siwymi włosami?

– Nie wiem, proszę pana – odparł szeptem Kaleb. – Nigdy go na oczy nie widziałem. Ale pyszny byłby z niego dziadek do orzechów. Całkiem nowy model. Gdyby się tak otwierał w dół, aż do kamizelki, byłby naprawdę śliczny.

– Nie dość szpetny – mruknął Tackleton.

– Albo można by z niego zrobić pudełko na zapaliki – ciągnął Kaleb przyglądając się nieznanemu z najpilniejszą uwagą. – Co za model! Po odkręceniu głowy wkładałoby mu się do środka zapaliki, a przy zapaleniu trzeba byłoby go odwrócić do góry nogami. Ach, tak jak teraz stoi, znakomicie by wyglądał na półce nad kominkiem w pokoju dżentelmena.

– Nie dość szpetny – powtórzył Tackleton. – Zupełnie nijaki. No, rusz się, Kaleb! Weź pudło. Lepiej już, mam nadzieję – zwrócił się do Kropki.

– Przeszło mi, całkiem przeszło – odparła mała kobietka, rada pozbyć się go jak najprędzej. – Dobranoc!

– Dobranoc – odparł Tackleton. – Dobranoc, Johnie Peerybingle. Radzę ci ostrożnie nieść pudło, Kaleb! Jeżeli je upuścisz, zabiję cię. Ciemno choć oko wykol i pogoda jeszcze chyba ohydniejsza. Dobrej nocy!

To powiedziawszy, po raz ostatni obrzucił bystrym spojrzeniem pokój i skierował się do drzwi. Za nim szedł Kaleb, niosąc tort weselny na głowie.

Woźnica był tak oszołomiony dziwnym zachowaniem się Kropki i z takim przejęciem uspokajał ją i pocieszał, że zapomniawszy nieomal zupełnie o nieznanym, o jego obecności przypomniał sobie dopiero teraz, gdy tamci odeszli, a on został w izbie jako jedyny ich gość.

– No i widać, że to wcale nie oni mieli się po niego zgłosić – rzekł John. – Muszę mu dać jakoś do zrozumienia, żeby sobie poszedł.

– Przykro mi, mój przyjacielu – ozwał się stary jegomość podchodząc do Johna. – Tym bardziej mi przykro, że jak widzę, twoja żona zaniemogła. Ale ponieważ mój opiekun, którego pomoc z uwagi na mą ułomność – tu dotknął rękami uszu i potrząsnął głową – jest mi nieodzowna, dotąd nie przybył, obawiam się, iż zaszło jakieś nieporozumienie. A tymczasem niepogoda, która sprawiła, że tak wdzięcznie przyjął gościnę na twym wygodnym wozie (abym nigdy nie jeździł gorszym!), nadal daje się we znaki. Czy zechcesz mi łaskawie wynająć na noc łóżko w swym domu?

– Tak, tak! – zawołała Kropka. – Ależ tak! Bardzo chętnie!

– Hm – mruknął woźnica, zdziwiony pośpiechem, z jakim Kropka wyraziła zgodę. – Właściwie to nie mam nic przeciwko temu. Ale swoją drogą nie jestem pewien, czy...

– Pst! – przerwała mu. – Jak możesz, drogi Johnie!

– Przecież jest głuchy niczym pień – bronił się woźnica.

– Wiem, że jest głuchy, ale... Tak, proszę pana. Bardzo chętnie. Ba-a-ardzo chę-ę-tnie! Pójdę teraz, Johnie, i przygotuję mu łóżko.

Oddaliła się śpiesznie, a jej wzburzenie i podniecenie tak były niezwykajne, że woźnica stał patrząc za nią osłupiały.

– No, no, czy to jego mamusie poszły przygotować mu łóżka? – zwróciła się panna Slowboy do niemowlęcia. – I czy mu wyrosły na głowach włosy brązowe i kręcone, kiedy zdjął czepeczki? I przstraszyły moje złote maleństwa, siedząc przy kominach?

Jak to często bywa w stanie niepewności i konfuzji, kiedy myśli nasze – z przyczyn zgoła niepojętych – lgną ku drobiazgom, woźnica przechadzając się tam i sam po izbie jął powtarzać w duchu owe absurdalne słowa. Powtarzał je tyle razy, że w końcu wykuł się ich na pamięć i przepowiadał je sobie niczym wyuczoną lekcję wtedy jeszcze, kiedy Tilly Slowboy, zaaplikowawszy małej tysej główce taką dozę nacierania, jaka jej zdaniem i zgodnie z praktyką piastunek była dla niemowlęcia wskazana, wsunęła mu z powrotem czepeczek na głowę.

„I przstraszyły moje złote maleństwa siedząc przy kominach. Ciekawym, co przstraszyło Kropkę” – rozmyślał woźnica, przemierzając krokami izbę.

Choć wyrzucił precz z myśli insynuacje Tackletona, to jednak pozostał mu po nich jakiś niejasny, nieuchwytny niepokój. Albowiem Tackleton był bystry i przebiegły, jego zaś, Johna, nurtowało zawsze przykre uczucie, że jest człowiekiem niedomyślnym, i dlatego wszelkie niejasne napomknienia o szczególną przyprawiały go rozterkę. Nie był bynajmniej skłonny dopatrywać się związku między tym, co Tackleton powiedział, a osobliwym zachowaniem się żony, lecz obie te rzeczy wymagały zastanowienia, on zaś myśląc o nich żadną miarą nie mógł ich rozdzielić.

Niebawem łóżko zostało posłane i stary jegomość, poprzestawszy na filiżance herbaty, udał się na spoczynek. Wtedy Kropka, która czuła się na powrót wyśmienicie (naprawdę wy-

śmienicie, tak powiedziała), przysunęła mężowi wielki fotel do wnęki obok komina; nabiła mu tytoniem i podała fajkę; i sama jak co dzień usiadła obok niego na małym stołeczku.

Żeby tam nie wiem co, zawsze siadała na tym stołeczku. Myślę, że musiała sobie uroić, iż stołeczek ten obdarzony jest szczególną jakąś mocą przypochebiania się i przymilania.

Kropka z całą pewnością należała do najznakomitszych napelniczy fajek na całej, ośmielę się rzec, kuli ziemskiej. Ach, cóż to był za widok kapitalny, kiedy wkładała swój maleńki paluszek w lulkę i przedmuchiwała fajkę, a potem udając, że niby to naprawdę coś tkwi w cybuchu, przedmuchiwała fajkę jeszcze z kilkanaście razy i podnosiła ją do okna niczym teleskop, krzywiąc w przezabawny sposób swą prześliczną twarzyczkę. Jeśli idzie o ubijanie tytoniu, była istną mistrzynią; gdy zaś zapalała fajkę od zwitka papieru, kiedy woźnica trzymał ją w ustach – przy czym podsuwała płomień tuż pod jego nos, a jednak nigdy go nie osmaliła – ach, jaki kunszt krył się w tym, jaki niezrównany kunszt!

Oceniły to świerszcz i imbryk, dając znać o sobie ponownym śpiewem. Ocenił jaskrawy ogień na kominie, wybuchając jaskrawszym jeszcze płomieniem. Ocenił maleńki kosiarz na szczycie holenderskiego zegara – ocenił swą pracą, na którą nikt nie zważał. Zwłaszcza zaś ocenił woźnica, rozpogodziwszy czoło i wygładziwszy rysy twarzy.

A gdy tak spokojnie i w zamyśleniu John pykał ze swej starej fajki, gdy holenderski zegar cykał, gdy czerwony płomień migotał, gdy świerszcz świerkotał, w izbie zjawił się nagle duch domowego ogniska (nim to bowiem był świerszcz) w bajkowej postaci i wyczarował przed oczami woźnicy wiele obrazów tego, co zwiemy domem. Kropki w najrozmaitszym wieku i najrozmaitszej tuszy zaludniły pokój. Kropki, które były wesolutkimi dziewczynkami biegającymi po łąkach i zbierającymi kwiaty; Kropki wylęknione, na poły wzdragające się i na poły ulegające błaganiom zamglonego wizerunku jego własnej postaci; nowo zaślubione Kropki, zajeżdżające przed drzwi domu i biorące w posiadanie pęk gospodarskich kluczy; macierzyńskie małe Kropki, niosące w otoczeniu fantastycznych Slowboyów niemowlęta do chrztu; Kropki-matrony, wciąż młode i powabne, przyglądające się Kropkom-córciom tańczącym na wiejskich zabawach; otyłe Kropki, osaczone przez gromady wnuków o różnych buziach; Kropki pomarszczone, wsparte na kiju i kuśtykające z trudem. Ukazali się też Johnowi starzy woźnice ze starymi, ślepyimi Bokserami u ich nóg; i nowe wozy z młodymi woźnicami („Bracia Peerybingle” na budzie); i starzy chorzy woźnice, pielęgnowani z najczulszą troskliwością; i na cmentarzu pokryte zieloną darnią groby zmarłych woźniców. A gdy świerszcz pokazywał mu kolejno wszystkie te obrazy – John widział je wyraźnie, choć oczy jego wpatrzone były w ogień – spłynęła nań spokojność i bezbrzeżne szczęście; całym sercem podziękował swoim bogom domowym i tyle sobie robił z Gruffa i Tackletona, ile wy sobie z niego robicie.

Ale kim jest ów młody mężczyzna, którego świerszcz czarodziejski umieścił tuż obok jej stołeczka, gdzie stoi teraz obcy i samotny? I czemu mężczyzna ów nie odchodzi, tylko stoi wciąż blisko niej, z ręką opartą o półkę nad kominem, powtarzając raz po raz te same słowa: – Poślubiona! Ale nie mnie!

O Kropko! Kropko, kobieto zabłąkana! W widziadłach twego męża nie ma miejsca dla tej obcej postaci! Czemu więc cień jej padł na próg jego domu?

## Świerkot drugi

Kaleb Plummer i jego niewidoma córka mieszkali całkiem sami we dwoje, jak powiadają bajki – a moje dla bajek Bóg zapłać (mam nadzieję, że i ty dołączysz swoje), że w ogóle chcą powiadać cokolwiek na tym spowszedniałym świecie... Kaleb Plummer więc i jego niewidoma córka mieszkali całkiem sami we dwoje, w małej drewnianej chałupince-lupince, która, prawdę powiedziawszy, uznana być mogła co najwyżej za pryszcz na wydatnym ceglany nosie Gruffa i Tackletona. Zabudowania fabryki górowały nad całym sąsiedztwem, ale mieszkanie Kaleba dałoby się zwalić za pomocą kilku młotków, a szczątki jego wywieźć na jednym wózku.

Gdyby po takiej wrogiej napaści znalazł się ktoś, kto wyświadczyłby domkowi Kaleba Plummera ten zaszczyt, iż zauważyłby jego zniknięcie, to bez wątpienia pochwaliby fakt zburzenia tej rudery. Przylepiony był ów domek do fabryki niczym małża do kadłuba statku, niczym ślimak do drzwi, niczym hubka do pnia drzewa. Był jednak załączkiem, kiełkiem, z którego wyrosło i rozwinęło się do pełnej swej wielkości cielsko Gruffa i Tackletona; a pod jego krzywym dachem przedostatni z Gruffów robił zabawki dla całego pokolenia wiekowych już dzisiaj dziewcząt i chłopców, którzy bawili się nimi, przykrzyli je sobie, psuli je i szli spać.

Powiedziałem, że Kaleb i jego biedna niewidoma córka mieszkali tutaj. Należało rzec raczej, iż Kaleb mieszkał tutaj, jego zaś biedna ociemniała córka mieszkała gdzie indziej – w zaczarowanym domu stworzonym przez Kaleba, gdzie nie gościło ubóstwo i troska nie miała dostępu. Kaleb nie był czarodziejem, a tylko w owej jednej jedynej sztuce czarodziejskiej, jaką jeszcze uprawiać możemy, w magii wiernej, bezgranicznej miłości, natura stała mu się mistrzynią; dzięki jej naukom mógł ziścić się ów cud.

Niewidoma dziewczyna nie wiedziała, że sufity są wyblakłe, ściany całe w plamach, tynk tu i tam wykruszony, że głębokie szczeliny poszerzają się z dnia na dzień, że belki w dachu butwieją i chylą się ku ziemi. Niewidoma dziewczyna nie wiedziała, że żelazo rdzewieje, drzewo gnije, tapety obłazą; że kształty, wymiary, prawdziwe proporcje ich domu zmieniają się ze starości. Niewidoma dziewczyna nie wiedziała, że na stole stoją brzydkie naczynia z lichej porcelany; że w domu ich mieszka smutek i przygnębienie; że rzadkie włosy Kaleba stają się coraz bielsze i bielsze. Dziewczyna nie wiedziała, że pracodawca ich jest człowiekiem zimnym, wymagającym, obojętnym na cierpienie – słowem, nie wiedziała, że Tackleton jest Tackletonem; żyła natomiast w przeświadczeniu, iż jest on ekscentrycznym żartownisiem, który lubi sobie z nimi podworować, a choć jest ich Aniołem Stróżem, wzbrania się przecie przyjąć od nich jedno jedyne słowo podziękii.

Wszystkiego tego dokonał jej ojciec; wszystkiego dokonał jej nieuczony ojciec. Lecz on także miał swojego świerszcza za kominem; a kiedy osierocona przez matkę, ociemniała dziewczyna była jeszcze bardzo małeńka i pogrążony w smutku Kaleb przysłuchiwał się świerszczowym świerkotom, ów duch domowego ogniska podsunął mu myśl zbawienną, że za pomocą tego tak prostego środka straszne kalectwo stać się może nieomal dobrodziejstwem, które zapewni dziewczynie szczęśliwość. Albowiem plemię świerszczów jest plemieniem duchów obdarzonych czarodziejską mocą, nawet jeśli ludzie z nimi obcuający nic o tym nie wiedzą (co w istocie często się zdarza). W całym zaś świecie niewidzialnym nie ma głosów łagodniejszych i bardziej szczerych, głosów, na których z taką ufnością można polegać i które tak prosto z serca płynącej udzielają rady, jak głosy duchów domowego ogniska, gdy przemawiają do rodzaju ludzkiego.

Kaleb i jego córka siedzieli w swej pracowni, która służyć im musiała także jako pokój mieszkalny; trzeba rzec, iż osobliwe było to pomieszczenie. Stały tam wykończone i nie wykończone domki dla lalek z najróżniejszych sfer. A więc podmiejskie jednorodzinne domki dla lalek średniozamożnych; po jednym pokoju z kuchnią dla lalek z warstw niższych; wspaniałe rezydencje miejskie dla lalek bogatych. Niektóre z tych budowli były już umeblowane wedle kosztorysu, zgodnie z wymaganiami lalek o skromnych dochodach; inne mogły być na żądanie wyposażone w sprzęty wedle najdroższego cennika, gdyż na półkach piętrzyły się stosy krzesel i stołów, kanap, łóżek i foteli. Arystokracja i szlachta i w ogóle szary tłum – wszystko to leżało tu i tam w koszach, spoglądając szeroko rozwartymi oczami w sufit. Ale przy określaniu ich stanowiska w społeczeństwie i zamykaniu w granicach własnej klasy (co, jak doświadczenie wykazuje, w życiu prawdziwym okropnie jest trudne) twórcy zabawek poprawili naturę, która częstokroć bywa przewrotna i krnąbrna; albowiem nie poprzestawszy na tak dowolnych znamionach, jak atłasy, perkale i strzępki gałganów, obdarzyli lalki cechami fizycznymi, które wykluczały wszelkie pomyłki. Tak więc lalka-dama wytworna miała członki z masy woskowej, nadzwyczajnie kształtne; ale tylko ona i osoby jej stanu. Niższa warstwa społeczna wykonana była ze skóry, jeszcze niższa – z grubego płótna. Jeśli zaś idzie o pospólstwo, miało ono ręce i nogi zrobione ze zwykłych zapalek. No i proszę – wyznaczono im miejsce w hierarchii społecznej, poza które żadną miarą nie mogły się wydostać!

Prócz lalek znajdowały się tam, w pokoju Kaleba Plummera, inne jeszcze wytwory jego rąk. A więc arki Noego, na których ptaki i zwierzęta w sposób – zapewniam was – prawdziwy dorównywały sobie wzrostem; chociaż z drugiej strony, można je było wszystkie stłoczyć na pokładzie i wepchnąć do środka, gdzie naprawdę niewielką zajmowały przestrzeń. Dzięki zastosowaniu śmiałej licencji poetyckiej większość tych arek miała kołatki u drzwi. Zbędne i zgoła nie na miejscu urządzenie, powiecie, jako że przywodzące na myśl gości i listonosza; jakże jednak bardzo zdobiło ono te budowle od zewnątrz! Były też w pracowni Kaleba dziesiątki małych melancholijnych wózeczków, których koła wydawały z siebie najżałośniejsze na świecie dźwięki. Były małe skrzypki, bębny i tym podobne narzędzia tortur; i bez liku armat, tarcz, mieczy, włóczy, strzelb. Były maluchne pajace w czerwonych majteczkach, wspinające się niezmordowanie na wysokie przeszkody z czerwonej tasiemki i spadające głową w dół na drugą stronę; i mnóstwo staruszków o szacownym, jeśli nie zgoła czcigodnym wyglądzie, którzy, istni szaleńcy, przewracali się o poziome belki wbite specjalnie w tym celu u drzwi własnych ich domów. Były też zwierzęta najrozmaitszych gatunków; zwłaszcza konie przeróżnych ras, od nakrapianego kucyka na czterech kółkach zamiast nóg, z śmiechu wartym koinierzykiem w miejsce grzywy, do pełnokrwistego ogiera na biegunach. Podobnie jak trudno byłoby zliczyć wszystkie spośród dziesiątków postaci, które za naciśnięciem sprężyny gotowe były w każdej chwili zachować się w sposób najbardziej nedorzeczny, tak że niełatwo byłoby wymienić jakoweś ludzkie szaleństwo, wadę lub słabość, która nie znalazłaby odpowiednika, bliższego lub dalszego, w pokoju Kaleba Plummera. I nie myślcie, że w formie przejaskrawionej, albowiem niekiedy za bardzo lekkim naciśnięciem sprężyny mężczyźni i kobiety gotowi są robić rzeczy dziwniejsze, niżli jakakolwiek zabawka robiła z racji swego przeznaczenia.

Pośród rozmaitych tych przedmiotów Kaleb i jego córka siedzieli przy pracy. Niewidoma dziewczyna szyła sukienki dla lalek; Kaleb malował i lakierował ośmiookienny fronton sympatycznego domu rodzinnego.

Troska widoczna w jego rysach, a także zatracenie się w pracy i rozmarzenie, które byłyby na miejscu u jakiego alchemika lub badacza wiedzy tajemnej, na pierwsze wejrzenie w dziwnej stały sprzeczności z pracą przez Kaleba wykonywaną i otaczającymi go błahostkami. Lecz rzeczy mało ważne, wymyślone i wytwarzane dla chleba nabierają ogromnej wagi; a zresztą jeśli o mnie idzie, wcale nie jestem pewien, czy gdyby Kaleb był lordem kanclerzem albo członkiem parlamentu, albo adwokatem, albo wielkim graczem na giełdzie – czy wtenczas z mniejszym przejęciem zajmowałby się błahostkami; z drugiej strony, ośmielam się wątpić, czy byłyby one równie nieszkodliwe.

– Więc wczoraj wieczór, ojczulku – rzekła córka Kaleba – byłeś na deszczu w swoim pięknym nowym płaszczu?

– Tak, byłem w moim nowym pięknym płaszczu – odparł Kaleb spoglądając na sznur od bielizny rozpięty w pokoju, na którym pieczołowicie rozwieszony suszył się opisany powyżej strój uszyty z worka.

– Jakże się cieszę, ojczulku, żeś go kupił!

– I to jeszcze u takiego krawca! – zakrzyknął Kaleb. – Bardzo wzięty krawiec. Płaszcz jest dla mnie o wiele za dobry.

Niewidoma dziewczyna odłożyła robotę i roześmiała się z ukontentowaniem. – Za dobry dla ciebie, ojczulku! Czy cokolwiek na świecie może być dla ciebie za dobre?

– Bo widzisz, trochę się wstydzę go nosić – rzekł Kaleb obserwując, jak pod wpływem jego słów rozpromienia się twarzyczka dziewczyny. – Dalibóg, kiedy słyszę, jak urwisy i w ogóle przechodnie pokrzykują za mną; „Ho-ho! A to ci dandys”, nie wiem, co ze sobą robić. A jak wczoraj wieczór żebrak ani rusz nie chciał odejść ode mnie i kiedy mu powiedziałem, że jestem bardzo sobie zwyczajnym człowiekiem, rzekł mi: „Nie, wielmożny panie. Niechże wielmożny pan tak nie mówi”, naprawdę zrobiło mi się wstyd. Pomyślałem, że nie mam prawa nosić takiego płaszcza.

Szczęśliwa niewidoma dziewczyna! Jakże rozbawiona była w swym radosnym uniesieniu!

– Widzę cię, ojczulku – zawołała klaszcząc w dłonie – tak wyraźnie, jak gdybym miała wzrok, którego mi nie potrzeba, kiedy ty jesteś ze mną. Błękitny płaszcz...

– Jasnoblękitny – poprawił Kaleb.

– Tak, naturalnie. Jasnoblękitny! – zawołała dziewczyna zwracając ku górze swą promienną twarz. – Koloru nieba, które przecież troszkę jeszcze pamiętam. Mówiłeś mi, ojczulku, że płaszcz jest błękitny. Jasnoblękitny płaszcz.

– Układający się w luźne fałdy – podsunął Kaleb.

– Układający się w luźne fałdy – ciągnęła dziewczyna śmiejąc się radośnie. – A w tym płaszczu ty, drogi ojczulku, z wesołym spojrzeniem, uśmiechniętą twarzą, ciemnymi włosami, stąpający lekkim krokiem. Taki młody i taki urodziwy!

– Hola, dziewczyno! – przerwał jej Kaleb. – Jeszcze chwila, a stanę się niemożliwie zarozumiały.

– Myślę, że już jesteś zarozumiały – zaśmiała się Berta, w rozbawieniu swym wskazując na niego palcem. – Znam cię ojczulku! Cha! cha! cha! Na wskroś cię przejrzałam.

Jakże niepodobny był Kaleb, gdy tak siedział przyglądając się córce, do owego wizerunku, który ona sobie w duchu stworzyła. Wspomniała o jego lekkim chodzie. I słusznie. Od wielu, wielu lat Kaleb ani razu nie przekroczył progu domu stąpając zwykłym swym ociężałym krokiem, lecz stawiał kroki lekkie, dla jej przeznaczone ucha; nigdy też, nawet gdy najcięższe przytłaczały go troski, nie zapomniał o tym chodzie niefrasobliwym, dzięki któremu ona iść mogła przez życie z taką odwagą i pogodą ducha.

Bóg jeden wie, jak to było naprawdę. Ale wydaje mi się, iż bezustanne oszołomienie Kaleba mogło w połowie stąd się wywodzić, że z miłości dla córki pogmatwał umyślnie swoje pojęcia o sobie samym i o wszystkim, co go otaczało. Jakże mały ów człowieczek miał nie być oszołomiony, skoro od tylu lat starał się zniszczyć własną swą osobowość oraz tożsamość wszystkich przedmiotów, które miały z nim jakkolwiek związek!

– No i proszę – rzekł Kaleb cofając się o kilka kroków, aby lepszy sobie wyrobić sąd o swym dziele – ten dom tak jest podobny do prawdziwego domu, jak dwanaście monet półpensowych do jednej sześciopensówki. Co za szkoda, że cały dom otwiera się za jednym zamachem. Gdyby tak mogła w nim być klatka schodowa i prawdziwe drzwi do pokojów. Ale najgorsze w mojej pracy jest to, że wciąż sam siebie obalamucam, wciąż się oszukuję.

– Mówisz tak cicho, ojczulku. Czy jesteś zmęczony?

– Zmęczony? – powtórzył Kaleb z niezwykłym ożywieniem. – A czymże to, Berto, miałbym być zmęczony? Co to w ogóle znaczy, być zmęczonym?



Aby słowa jego wydawały się bardziej przekonujące, Kaleb poniechał mimowolnego naśladownictwa dwóch przeciągających się i ziewających figurek na półce nad kominkiem, które będąc tylko biustami ilustrowały od pasa w górę stan najwyższego znużenia; i zanucił pieśń. Była to pieśń bachiczna – coś tam o pniącym się pucharze wina. Kaleb śpiewał tonem beztróskim, przez co twarz wydawała się tysiąc razy smutniejsza i bardziej wynędzniała.

– Ach, tak! Śpiewasz, he? – rzekł Tackleton wsuwając głowę przez drzwi. – Słyszane rzeczy! Ja nie mogę śpiewać!

Nikt by go o to nie posądzał. Nie miał, wcale a wcale nie miał tego, co ludzie zwą „rozśpiewaną naturą”.

– Ja tam na śpiewanie nie mogę sobie pozwolić – ciągnął Tackleton. – Rad jestem, że ty przynajmniej możesz. Mam nadzieję, że stać cię także na pracę. Choć pewnie na jedno i drugie nie wystarcza ci czasu.

– Ach, gdybyś ty tylko widzieć mogła, jak on do mnie mruga! – wyszeptał Kaleb. – W żartach nie ma sobie równego. Gdybyś go nie znała, gotowa byłabyś pomyśleć, że mówi poważnie. Prawda, Berto?

Niewidoma dziewczyna uśmiechnęła się i skinęła głową.

– Powiadają, że jak ptak umie śpiewać, a nie chce, to go trzeba do śpiewania zmusić – ciągnął Tackleton gniewliwym głosem. – Ale co w takim razie zrobić z puszczykiem, który nie potrafi śpiewać, nie powinien śpiewać, a mimo to śpiewa? Czy nie należałoby go przypadkiem do czegoś zmusić?

– Żebyś ty widziała, jak on teraz mruga! – wyszeptał znów Kaleb do córki. – Och, ratujcie mnie!

– W rozmowach z nami zawsze taki wesoły, taki dowcipny! – zawołała Berta, wciąż się uśmiechając.

– Ach, jesteś tu? Biedna idiotka!

Naprawdę uważał ją za nienormalną; sąd zaś swój opierał – nie wiem, czy świadomie, czy też nieświadomie – na fakcie, że go lubiła.

– Hm, skoro tu już jesteś, to... jak się masz? – spytał Tackleton niechętnie.

– Och dobrze, doskonale. I tak jestem szczęśliwa, jak tylko pan tego dla mnie pragnie. Tak szczęśliwa, jak szczęśliwym pan chciałby uczynić cały świat, gdyby to było w pańskiej mocy.

– Biedna idiotka – mruknął Tackleton. – Ani krztyny nie ma to rozumu w głowie. Ani krztyny.

Niewidoma dziewczyna ujęła jego rękę i pocałowała ją, potem przytrzymała chwilę w swoich dłoniach, a zanim ją puściła, z wielką tkliwością przycisnęła do niej policzek. Był to akt miłości tak bezbrzeżnej i wdzięczności tak żarliwej, że Tackleton, nawet Tackleton, poczuł, że musi odezwać się łagodniejszym nieco tonem:

– Cóż to znowu?

– Kiedy szłam spać, postawiłam drzewko tuż obok łóżka i w snach o nim pamiętałam. A jak zrobił się dzień i wspaniałe purpurowe słońce... Purpurowe słońce, ojczulku?

– Purpurowe rankiem i wieczorem, Berto – odparł nieszczęsny Kaleb spoglądając na swego chlebobawcę z rozpaczą.

– Więc kiedy zrobił się dzień i jasne promienie, o które chodząc nieomal boję się przewrócić, zajrzały do pokoju, obróciłam ku nim małe drzewko i błogosławiłam niebiosa, że tworzą rzeczy tak drogie sercu, i błogosławiłam pana, że mi je dla mego rozweselenia przysyłasz.

– Dom wariatów, słowo daję! – mruknął pod nosem Tackleton. – Nie będziemy długo czekali na kaftan bezpieczeństwa i knebel. Robimy postępy!

Podczas gdy córka jego mówiła, Kaleb stał splótszy luźno dłonie i spoglądał przed siebie wzrokiem pustym, jak gdyby naprawdę nie był pewien (a sądzą, że nie był), czy Tackleton zasłużył sobie czymś na jej wdzięczność, czy też nie zasłużył. Gdyby mógł być teraz panem swojej woli i gdyby zażądano od niego pod groźbą śmierci, aby zależnie od zasług fabrykanta

zabawek kopnął go lub rzucił mu się do nóg, myślę, że jednakże istniałyby szanse tak na jedno, jak na drugie. A przecież Kaleb wiedział, że sam, własnoręcznie, przyniósł Bercie różane drzewko do domu i sam zmyślił niewinne kłamstwo, dzięki któremu zataić mógł przed nią, jak wiele, jak bardzo wiele jej ojciec co dzień musi sobie odmawiać, aby ją uczynić szczęśliwą.

– Berta! – rzekł fabrykant siląc się na ton nieco serdeczniejszy. – Chodź no tu!

– Och, trafię do pana. Nie potrzebuje mnie pan prowadzić za rękę – zawołała.

– Czy mam ci Berto, powiedzieć sekret?

– Jeśli pan tylko łaskaw! – odparła skwapliwie. Jak rozpromieniła się rumieńcem jej twarzyczka! Jaki blask bił od niej, gdy tak cała zamieniła się w słuch.

– Dziś przypada dzień, kiedy ta... jak jej tam... ta mała grymaśnica, żona Peerybingle’a składa ci wizyty i urządza tu u ciebie swoje zwariowane pikniki. Czy tak? – spytał Tackleton podkreślając wyraźnie swój pogardliwy stosunek do całej sprawy.

– A jakże – przytaknęła Berta. – Dziś przypada ten dzień.

– Tak mi się zdawało – mruknął Tackleton. – No więc chciałbym uczestniczyć w tej zabawie.

– Czy ty słyszysz, ojczulku? – zawołała z uniesieniem ociemniała dziewczyna.

– Uhm, słyszę – mruknął Kaleb, którego twarz pozbawiona była wyrazu, jak twarz lunatyka. – Słyszę, ale nie wierzę. Głowę dam, że to jedno z moich kłamstw. Głowę dam.

– Widzisz... hm... – ciągnął Tackleton – chciałbym, żeby May Fielding zaczęła bywać trochę częściej w towarzystwie Peerybingle’ów. Mam zamiar ożenić się z May.

– Ożenić się! – wykrzyknęła niewidoma dziewczyna odsuwając się od niego.

– Ach, cóż to za idiotka – mruknął Tackleton. – Wiedziałem, że mnie nie zrozumie. Słuchaj no, Berta! Mam zamiar się ożenić. Ślub, kościół, pastor, urzędnik, zakrystian, ślubna karoca, dzwony, uczta weselna, tort, podarki, muzykanci uliczni i cała reszta tego przekłętogo błazeństwa. Zrozumże: ślub. Ślub. Czy ty nie wiesz, co to jest ślub?

– Wiem – odparła łagodnie niewidoma dziewczyna. – Rozumiem.

– Czyżby? – mruknął Tackleton. – Hm, przyznaję, że wcale się tego nie spodziewałem. No więc z tej przyczyny chcę wziąć udział w tej waszej zabawie i przyprowadzę May wraz z matką. Jeszcze przed południem przyślę coś niecoś do jedzenia. Udziec barani na zimno czy coś w tym rodzaju. Będziesz pamiętała, że przyjdę?

– Tak – odparła.

Zwiesiła głowę i odwróciła się od niego; stała tak, z rękami splecionymi, zadumana.

– Śmiesz wątpić – wymamrotał Tackleton spoglądając na nią – boś pewnie już o wszystkim do szczętu zapomniała. Kaleb!

„Mogę się chyba przyznać, że tu jestem” – pomyślał Kaleb. – Słucham!

– Przypilnuj, żeby nie zapomniała o tym, co jej mówiłem.

– Ona nigdy nie zapomina – odparł Kaleb. – To jest ta jedna z niewielu rzeczy, których nie potrafi.

– Każda liszka swój ogonek chwali – zauważył Tackleton wzruszając ramionami.

Wygłosiwszy powyższą uwagę z bezgraniczną wprost pogardą, stary Gruff i Tackleton wyszedł.

Berta stała tam, gdzie ją był zostawił, z głową zwieszoną, pogrążona w myślach. Wesołość zniknęła z jej pochylonej nisko twarzy, a w miejsce wesołości pojawił się wielki smutek. Kilka razy potrząsnęła głową, jak gdyby oplakując jakieś wspomnienie czy stratę; lecz melancholijnych swych refleksji nie przyoblekła w słowa.

I dopiero po dłuższej chwili, gdy Kaleb zaprzęgał właśnie konie do wozu, dokonując tego metodą uproszczoną, to jest przybijając im uprząż do żywego ciała, dziewczyna zbliżyła się do niego i usiadłszy obok rzekła:

– Ojczulku, tak mi jakoś smutno w ciemnościach. Zateśkniłam za moimi oczami, za moimi ciepłymi, dobrymi oczami.

– Oto one – odparł Kaleb. – Zawsze gotowe ci służyć. Bardziej twoje, Berto, niżli moje, w każdej godzinie dnia czy nocy. Czego żadasz od swoich oczu, dziecino?

– Rozejrzyj się po pokoju, ojczulku.

– Chętnie – rzekł Kaleb. – Wypełniam rozkaz bez chwili zwłoki.

– Opowiedz mi o nim.

– Nic się tu nie zmieniło, córeczko. Pokój skromny, ale przytulny. Na ścianach wesołe tapety... barwne kwiaty na talerzach i półmiskach... od wypolerowanego obelkowania aż bije blask... cały nasz domek wesoły jest i schludny.

Wesołe i schludne było jeno to, przy czym zakrzętnąć się mogła niewidoma dziewczyna. Ale nigdzie indziej nie było ani wesoło, ani schludnie w tej starej ruderze, którą imaginacja Kaleba przeobrażała w tak czarodziejski sposób.

– Masz na sobie, ojczulku, roboczą bluzę i nie jesteś pewnie tak wytworny, jak kiedy nosisz swój piękny nowy płaszcz? – spytała dziewczyna dotykając go.

– Może nie tak wytworny – odparł Kaleb – ale w każdym razie bardzo przywoicie odziany.

– Ojczulku – rzekła ociemniała dziewczyna przysuwając się do niego i oplatając mu ramieniem szyję. – Opowiedz mi teraz o May. Bardzo jest ładna?

– Nadzwyczajnie ładna – przyznał Kaleb. I rzeczywiście była nadzwyczajnie ładna. Rzadko zdarzała się Kalebowi tak szczęśliwa okazja, by nie musiał kłamać.

– Włosy ma ciemne – ciągnęła Berta w zadumie. – Ciemniejsze niż moje. A głos miły i melodyjny, wiem o tym, bom mu się nieraz przysłuchiwała z wielkim ukontentowaniem. Postać ma:

– W całym pokoju nie znajdziesz lalki, która by miała tak kształtną postać! – zawołał Kaleb. – A jej oczy...

Umilkł raptownie, albowiem Berta mocniej przywarła do niego, a ramię, którym oplatała mu szyję, zacisnęło się ostrzegawczo. Kaleb nazbyt dobrze rozumiał wymowę tego znaku.

Kaszał przez chwilę, przez chwilę zastanawiał się gorączkowo, co rzec; potem zanucił swą pieśń o piniącym się pucharze wina. Był to jego niezawodny ratunek we wszelkich tego rodzaju trudnościach.

– Nasz przyjaciel, ojczulku, nasz dobroczyńca... Nigdy mi się nie przykrzy, jak o nim mówisz. Nigdy.

– Prawda, ojczulku, że nigdy? – dodała prędko.

– Prawda, córko – przyznał Kaleb. – I słuszne masz po temu racje.

– Ach, jak bardzo słuszne! – zawołała Berta. W głosie jej było tyle żaru, że Kaleb, choć działał ze szlachetnych pobudek, nie miał odwagi spojrzeć jej w twarz; i spuścił oczy, jak gdyby dziewczyna mogła z ich wyrazu odgadnąć jego niewinne kłamstwo.

– Więc mów mi o nim, ojczulku – prosiła Berta. – Mów mi wciąż i wciąż od nowa. Twarz ma dobrotliwą, ładną, tkliwą. A ponadto szczerą i otwartą, tego jestem pewna. Męskość natury, która pod osłoną szorstkości i niechęci stara się ukryć wszystkie piękne uczynki, maluje się w każdym rysie jego oblicza, w każdym spojrzeniu.

– I czyni je szlachetnym – dodał Kaleb z rozpaczą w sercu.

– I czyni je szlachetnym – zawtórowała mu dziewczyna. – Starszy jest od May, ojczulku.

– T-tak – przyznał niechętnie Kaleb. – Troszkę jest od niej starszy. Ale to nic nie znaczy.

– Och, znaczy bardzo wiele, ojczulku. May będzie mu cierpliwą towarzyszką w niedołężnej starości, troskliwą opiekunką w chorobie, wierną przyjaciółką w smutkach i cierpieniu; będzie go strzegła i pielęgnowała, będzie siedziała u jego wezgłowia, przemawiając doń w godzinach czuwania i modląc się za niego, gdy znużony zapadnie w sen. O, jakże wielki to przywilej! Ile sposobności przekonania go, że wierna mu jest i oddana! Czy May zrobi to, ojczulku?

– Na pewno – odparł Kaleb.

– Kocham ją, ojczulku. Gotowam ją kochać z całego serca – rzekła niewidoma dziewczyna i przytuliwszy swą biedną twarzyczkę do ramienia ojca, tak płakała, tak płakała, iż ów ją żałować, że stał się sprawcą radości obficie zaprawionej łzami.

Tymczasem u Peerybingle'ów panował wielki zamęt, gdyż naturalnie mała pani Peerybingle za nic nie wyprawilaby się z domu bez niemowlęcia, przysposobienie zaś rzeczzonego niemowlęcia do drogi trwać musiało długo. Nie znaczy to bynajmniej, iż było ono bagażem kłopotliwym przez wzgląd na swą wagę czy rozmiary, należało jednak wykonać przy nim mnóstwo najrozmaitszych czynności, i to wykonać je stopniowo. Więc na przykład, gdy w ten czy inny sposób doprowadzono niemowlę do pewnego zaawansowanego stadium ubierania i można się było słusznie spodziewać, że kilka drobnych zabiegów dokończy dzieła i uczyni zeń niemowlę doskonałe, mogące stawić czoło światu, nagle i niespodziewanie unicestwiono je za pomocą flanelowej okrywki i położono do łóżka, gdzie bez mała godzinę malec piekł się (aby tak rzec) między dwiema kołdrami. Po czym z tego stanu bezczynności wezwano niemowlę, nadzwyczajnie ożywione i wrzeszczące wniebogłosey – na co właściwie? Jeśli pozwolicie posługiwać się ogólnikami, powiem, że na lekki posiłek. Po którym to posiłku malec znów zapadł w sen. Pani Peerybingle, korzystając z tej przerwy, tak się wyelegantowała na swój skromny sposób, że chyba nigdy w życiu nie widzieliście wytworniejszej osoby; gdy zaś trwał jeszcze tenże sam krótkotrwały rozejm, panna Slowboy wcisnęła się w zaskakująco i pomyslowo uszyty spencerek, który zdawał się nie mieć żadnych związków z nią samą ani też z niczym innym w całym wszechświecie, a był jeno zbiegłym w praniu, zmiętym, samoistnym faktem, prowadzącym swój samotny żywot w zupełnym oderwaniu od otoczenia. Tymczasem niemowlę znów się ożywiło, więc pani Peerybingle i panna Slowboy wspólnym wysiłkiem przyodziały jego postać w płaszczyk kremowej barwy, na głowie zaś osadziły mu coś w rodzaju batystowego ptysia. Po czym cała trójka wyszła przed dom, gdzie sędziwe konisko, bijąc niecierpliwie kopytami i dziurawiąc drogę, zdążyło już narazić zarząd myt na straty przewyższające całodzienną wartość opłacanego za siebie kopytkowego, i skąd w oddali dostrzec było można Boksera, który stał oglądając się na konia i usiłując nakłonić go do wyruszenia w drogę bez rozkazu pana.

Co do krzesła czy czegoś takiego, po czym pani Peerybingle mogłaby się wspiąć na wóz – jakże mało znacie Johna, skoro sądzicie, że to było potrzebne! Zanim zdążylibyście w ogóle spostrzec, że ją podnosi z ziemi, Kropka już siedziała na swoim miejscu, świeża i zaróżowiona, wołając: – John! Jak mogłeś. Co sobie Tilly pomyśli!

Gdyby wolno mi było pod jakim bądź pozorem wspomnieć o panińskich nogach, rzekłbym o nogach panny Slowboy, iż ciężące na nich jakieś przekleństwo czyniło je szczególnie podatnymi na wszelkiego rodzaju zadrapania oraz że nie zdarzyło się nigdy, aby wchodząc gdzieś lub skądś schodząc pana Slowboy nie zarejestrowała na nich tego faktu za pomocą nacięć podobnych do karbów, którymi Robinson Cruzoe znaczył dnie na swym drewnianym kalendarzu. Że jednak takie napomykanie o nogach mogłoby być uznane za dowód złego wychowania – wstrzymam się jeszcze z tą uwagą.

– John! Czy wzięłeś koszyk z pierogiem i różnościami, i butelkami piwa? – spytała Kropka. – Jeżeli nie, musisz natychmiast zawrócić.

– Co za utrapienie z tobą, moja Kropko – uśmiechnął się woźnica. – Nie dość, że przez ciebie wyjechał z piętnastominutowym opóźnieniem, to jeszcze teraz każesz mi zawracać.

– Przykro mi, John – rzekła Kropka, ogromnie poruszona – ale za nic na świecie nie pojechałabym do Berty... za nic na świecie, John... bez pieroga z szynką i cielęcina, i bez różności, i butelek piwa. Prrr!

To wołanie skierowane było do konia, który nic, ale to nic sobie z niego nie robił.

– Och, każ mu stanąć! John! – jęknęła pani Peerybingle. – Proszę cię, John!

– Będzie na to czas – odparł woźnica – kiedy zacznę gubić rzeczy albo o nich zapominać. Bądź spokojna, kosz jest na wozie.

– Co za bezlitosny potwór z ciebie, drogi Johnie, żeś od razu tego nie powiedział, przez co oszczędziłbyś mi wielkiej przykrości. Oznajmiam ci, że za nic na świecie nie pojedę do Berty bez pieroga z szynką i cielęcina, bez różności i butelek piwa. Odkąd jesteśmy małżeństwem,

co dwa tygodnie urządzamy u niej nasze pikniki. Gdybyśmy kiedykolwiek mieli tego zaniedbać, gotowa byłabym pomyśleć, że już nigdy nie będziemy szczęśliwi.

– Trzeba przyznać, że już sama ta myśl nadzwyczajnie była pocziwa – rzekł woźnica. – Toteż szanuję cię za nią, młoda niewiasto.

– Proszę cię, John – odparła Kropka oblewając się rumieńcem – nie mów takich śmiesznych rzeczy. Szanować mnie za to, mój Boże!

– Przyszło mi właśnie do głowy... – zaczął woźnica. – Ten stary jegomość...

Znowu zakłopotanie, tak wyraźnie malujące się na jej twarzy!

– Dziwna z niego sztuka – ciągnął John patrząc prosto przed siebie, na drogę. – Ani rusz nie mogę go rozgryźć. Nie myślę, żeby miał jakieś złe zamiary.

– Ależ nie! Jestem... jestem pewna, że nie ma złych zamiarów.

– Tak, tak – rzekł woźnica przenosząc na nią wzrok, gdyż zaskoczyła go żarliwość i powaga brzmiące w jej głosie. – Rad jestem, Kropko, żeś taka tego pewna, bo utwierdzasz mnie w moim mniemaniu. Swoją drogą ciekawe, że się staruszkowi ubrdało prosić nas, abyśmy mu przedłużyli gościnę. Ciekawe, prawda? Jakie to dziwne rzeczy wydarzają się na świecie.

– Bardzo dziwne – rzekła Kropka głosem cichym, prawie niedosłyszalnym.

– Trzeba przyznać, że miły z niego staruszek – ciągnął John. – Płaci jak dżentelmen i myślę, że można na jego słowie polegać jak na słowie dżentelmena. Mieliśmy dziś rano długą pogawędkę. Rzekł mi, że mnie słyszy coraz lepiej, w miarę jak się przyzwyczajają do mojego głosu. Opowiedział mi dużo o sobie, a ja mu znów o sobie i zadał mi wiele rozmaitych pytań. Wspomniałem mu, że robię wozem dwa kursy. Jednego dnia w prawo od domu i z powrotem. Drugiego – w lewo i z powrotem (jest tu obcy i nie zna nazw miejscowości w naszych stronach). Jak to usłyszał, bardzo się ucieszył i tak powiada: „Z tego wynika, że będę dziś wieczór wracał do domu tą samą co ty drogą. A myślałem, że się wyprawisz w całkiem odwrotnym kierunku. Wspaniale! Kto wie, czy nie poproszę cię znowu, byś mnie podwiózł. Ale obiecuję, że nie usnę tak mocno jak wtedy”. Mocno spał, nie można powiedzieć! Kropko! O czym ty myślisz?

– O czym myślę, John? Przecież ja... ja słucham.

– To dobrze – rzekł pocziwy woźnica. – Taką miałaś minę, że się już zląkł, że moje długie gadanie całkiem cię znudziło i zaczęłaś myśleć o czymś innym. Niewiele brakowało, słowo daję!

Kropka nie odpowiadała, więc jakiś czas jechali w milczeniu. Ale niełatwa była to rzecz długo milczeć na wozie Johna Peerybingle'a, gdyż każdy, kogo spotkali na drodze, miał coś do powiedzenia. A jeżeli nawet było to zwykłe: „Dzień dobry”, na czym też często poprzestawano, to przecież odwzajemnienie tego powitania z należytą serdecznością wymagało nie tylko uśmiechu i skinienia głową, lecz ponadto wysiłku płuc tak wielkiego, jak przydługa mowa w parlamencie. Niekiedy podróżujący pieszo lub podróżujący konno towarzyszyli jakiś czas wozowi w tym umyślnie celu, aby uciąć z Peerybingle'ami małą pogawędkę; i wtedy obie strony dużo miały sobie do powiedzenia.

Zresztą Bokser więcej dawał sposobności do obustronnych przyjaznych powitań, niżli dać by mogło, powiedzmy, sześć dusz chrześcijańskich. Znali go wszyscy przy drodze – zwłaszcza zaś drób i nierogacizna, które to stworzenia widząc, jak zbliża się ku nim cały przechyłony na bok, strzygąc badawczo uszami i wymachując, ile mu sił starcza, tym swoim kusym ogonkiem, nie czekały bynajmniej na zaszczyt zawarcia z nim bliższej znajomości, tylko natychmiast dawały nura do jak najdalszych pomieszczeń na tyłach zagród. Wszędzie też miał Bokser jakieś swoje sprawy do załatwienia; skręcał we wszystkie boczne ścieżki, zaglądał na dno wszystkich studzien, zapędzał się do wszystkich wiejskich domów, wpadał pomiędzy dzieci wszystkich wiejskich szkółek, płoszył wszystkie gołębie, tak straszył wszystkie koty, aż jeżyły sierść, i wstępował do wszystkich karczem po drodze, niczym stały bywalec. A do kądkolwiek pobiegł, tam rozlegał się czyjś głos: „Hej! Przecież to Bokser!” i wraz ten ktoś wychodził przed dom, w towarzystwie kilku innych „ktosiów”, aby powitać Johna Peerybingle'a i jego śliczną żonę przyjaznym: „Dzień dobry”.

Wielka była liczba paczek i przesyłek, które John rozwoził na swym wozie; wiele też było postojów, podczas których John brał na wóz przesyłki albo je doręczał, co nie należało bynajmniej do przykrych momentów podróży. Niektórzy ludzie tak wiele spodziewali się po swoich paczkach, inni ludzie tak bardzo byli ciekawi swoich paczek, jeszcze inni takie mnóstwo musieli udzielić wskazówek co do swoich paczek. John zaś tak żywe okazywał zainteresowanie dla każdej paczki, że wszyscy świetną mieli przy tym zabawę. Co więcej, trafiały się przesyłki, nad których przewozem należało pomyśleć i dobrze się zastanowić, a których umieszczenie na wozie i sposób doręczenia wymagały specjalnej narady pomiędzy woźnicą z jednej i wysyłającymi z drugiej strony. Przy owych naradach Bokser przeważnie asystował, to przez krótką chwilę śledząc ich przebieg z największą pilnością, to znów przez chwilę znacznie dłuższą uganiając się wokół obradujących mędrców i szcękając, aż głos wiązał mu w gardle. Drobnym tym zdarzeniom przyglądała się Kropka ze swej ławeczki na wozie obserwując rzecz każdą z rozbawieniem i uwagą; gdy zaś tak siedziała – śliczny obrazek w zachwycającym obramowaniu płóciennej budy wozu – ile wśród młodych mężczyzn było trącania się łokciami, a ile spojrzeń na nią rzucanych, ile szeptów, ile zazdrosnych westchnień. Wszystko to ogromnie radowało Johna; dumny był, że ludzie zachwycają się jego małą żoną, wiedział zaś, że zachwyt ten nie jest Kropce przykry, że – kto wie – może nawet sprawia jej pewną przyjemność.

Trochę tam, rzecz jasna, w ów styczniowy dzień było mgły po drodze; w ów dzień ostry i zimny. Ale kto by się przejmował takimi drobiazgami! Na pewno nie Kropka. Na pewno nie Tilly Slowboy, gdyż jazdę na wozie w każdych warunkach uważała za najwyższą z ludzkich rozkoszy, za spełnienie wszelkich ziemskich marzeń. Z pewnością nie niemowlę, na to gotów jestem przysiąc; albowiem żadne niemowlę na świecie nie byłoby zdolne rozgrzać się lepiej ani spać mocniej (choć możliwości niemowląt tak w jednym, jak w drugim wydają się nieograniczone), niżli to czynił kochany mały Peerybingle przez calutką drogę.

Naturalnie pośród tej mgły dojrzeć mogłeś tylko te kształty, co znajdowały się w niewielkiej odległości; ale mimo to jak dużo widzieć mogłeś! Aż dziw bierze, ile dostrzec zdoła człowiek w mgle gęstszej nawet niżli ta, jeśli tylko zada sobie trud patrzenia. Jak miłym było zajęciem już choćby samo wypatrywanie wśród łąk zieleńszych nieco kęp trawy, po których ponoć wróżki tańczą, albo plam szronu utrzymującego się w cieniu żywopłotów i drzew; aby nie wspominać już o zdumiewających kształtach drzew, które wyłaniały się nagle spośród mgły i w mgle nikły. Żywopłoty, splątane i nagie, powiewały na wietrze obumarłymi gałęziami niczym tysiącem bezlistnych girland; ale widok ten bynajmniej nie przygnębiał. Miło było go rozpamiętywać, gdyż dzięki niemu ogień na kominie już teraz wydawał się cieplejszy, lato zaś – zieleńsze w wyobraźni. Od rzeki wiało chłodem; lecz nurt był wartki, a to już wiele znaczyło. Woda w kanale była nieruchoma i płynęła ospale; temu nie można zaprzeczyć. Mniejsza o to. Rychlej zamarznie, kiedy mróz na dobre się ustali, a wtedy będzie ślizgawka i sanna; i stare, ciężkie barki, skute w lodach gdzieś niedaleko przystani, całe dnie będą wypuszczać kłęby dymu z zardzewiałych kominów i rozkoszować się miłym lenistwem.

W jednym miejscu palono wielki stos zielska czy gałęzi; nasi podróżni przyglądali się ognisku, tak nikłemu w świetle dnia i tylko z rzadka migocącemu poprzez mgłę czerwonym językiem płomienia, aż wreszcie panna Slowboy, nadmieniwszy, iż dym „wszedł jej do nosa”, zakrztusiła się (zawsze gotowa była zrobić coś takiego, przy lada okazji) i zbudziła niemowlę, które ani rusz nie chciało na powrót zasnąć. Lecz Bokser, wyprzedziwszy wóz o jakie ćwierć mili, minął już rogatki miasta i dotarł do rogu ulicy, przy której mieszkał Kaleb ze swą niewidomą córką; przeto na długo, nim podróżni zajechali przed dom, Bokser i Berta oczekiwali ich na chodniku.

Otóż do Berty Bokser odnosił się inaczej niż do reszty ludzi, zaznaczając pewne różnice w nader subtelny, a sobie tylko właściwy sposób, co przekonało mnie dowodnie, że wiedział o kalectwie dziewczyny. Nie starał się nigdy wzrokiem zwrócić na siebie jej uwagi, jak to

zwykł był czynić z innymi osobami, lecz tylko szturchał ją nosem. Nie wiem doprawdy, jakie doświadczenia mógł mieć z niewidomymi ludźmi lub niewidomymi psami. Nie służył nigdy u ociemniałego pana ani on sam, ani też pan Bokser senior czy pani Bokserowa, podobnie jak żaden w ogóle członek tej czcigodnej rodziny, tak po mieczu jak po kądzieli. Może więc Bokser sam zdobył ową wiedzę; w każdym razie jakoś ją zdobył i dlatego nauczył się chwycić dziewczynę zębami za spódnicę; tak też teraz ją chwycił i nie puścił, dopóki pani Peerybingle, niemowlę, panna Slowboy oraz kosz z prowiantami – dopóki wszystko i wszyscy nie znaleźli się bezpiecznie w mieszkaniu Kaleba.

May Fielding była już tam wraz ze swą matką – małą i swarliwą, chudą jak szczapa staruszką o zagniewanej twarzy, która zachowawszy kibić cienką niczym najcieńsza noga od łóżka, zyskała sobie sławę osoby wyższego stanu; oraz która – na skutek tego, iż niegdyś była zamożniejsza lub też miała wrażenie, że mogła być zamożniejsza, gdyby zdarzyło się coś, co się nigdy nie zdarzyło i najprawdopodobniej nigdy nie mogło być się zdarzyć (ale to wychodzi na jedno) – maniery miała niezwykle wykwintne i bliźnich swych traktowała z góry. Także Gruffi Tackleton był już w mieszkaniu Kaleba i starał się wszystkim przypodobać, przy czym czuł się – każdy to widział – tak swobodnie i tak bardzo był w swoim żywiole, jak młody a pełen wigoru łosoś na szczycie piramidy Cheopsa.

– May! Kochana, droga May! – zawołała Kropka podbiegając do przyjaciółki. – Co za radość widzieć cię znowu!

May Fiedling nie mniej ucieszyła się tym spotkaniem i nie mniejszą okazała serdeczność, a powiem wam, jeśli tylko zechcecie mi uwierzyć na słowo, że gdy się objęły, widok ten radował oko. Tackleton miał doskonały gust, trzeba mu to przyznać. May bardzo była ładna.

Bywa czasem, że gdy zobaczymy śliczną twarz, do której widoku z dawna przywykliśmy, obok innej ślicznej twarzy, ta dobrze znana nam twarz wyda się zgoła brzydka i bezbarwna, niegodna naszego pochlebnego o niej mniemania. Otóż z May i Kropką rzecz miała się inaczej; albowiem piękność Kropki i piękność May wzajemnie się uwydatniały, i to w sposób tak naturalny i tak zgodny, iż wszedłszy do izby John Peerybingle o mało co nie powiedział, że May i Kropka powinny się były urodzić siostrami – co uznać należało za jedyną chyba poprawkę, jaką w odniesieniu do nich człowiek miałby chęć zaproponować.

Tackleton przyniósł przyobiecany udziec barani i ponadto – miło mi oznajmić – tort. Cóż, kiedy w grę wchodzi nasza narzeczona, gotowi jesteśmy zdobyć się na pewną rozrzutność – ostatecznie nie żenimy się co dzień. Prócz owych przysmaków wymienić jeszcze wypada pieróg z szynką i cieleciną oraz różności, czyli przeważnie orzechy, pomarańcze, ciasteczka i tym podobne drobiażdżki. Gdy wszystkie te przysmaki znalazły się obok siebie na stole, wzmocnione na flanku przez dymiącą drewnianą misę ziemniaków, która stanowiła udział Kaleba w uczcie (na mocy solennego układu wzbroniono mu przygotowywać jaką bądź inną strawę), Tackleton podał ramię swej przyszłej teściowej i powiódł ją ku miejscu honorowemu u stołu. Aby zaś tym lepiej uczcić to miejsce szczytne podczas wspaniałej biesiady, majestatyczna staruszka przystroiła głowę w czepek, którego celem było natchnąć bezmyślnych uczuciem czci i grozy. A także miała na rękach rękawiczki. Ach, umrzeć raczej, niżli wyrzec się pańskich tradycji!

Kaleb siadł przy córce; Kropka i jej droga przyjaciółka zajęły miejsca obok siebie; zacny woźnica usadowił się na końcu stołu. Natomiast panna Slowboy została chwilowo odizolowana od wszelkich sprzętów, aby nie miała o co – prócz jednego krzesła, na którym ją posadzono – obijać głowy niemowlęcia.

A podczas gdy Tilly rozglądała się po izbie i przypatrywała zabawkom i lalkom, one z kolei przypatrywały się jej i towarzystwu zebranemu u stołu. Czcigodni starzy jegomościowie w drzwiach domów (wprawieni przez Kaleba w ruch) szczególnie żywe okazywali dla wszystkiego zainteresowanie; przystawali niekiedy przed nowym skokiem, niby to pragnąc posłuchać rozmowy, potem zaś rzucali się, istni szaleńcy, głową w dół i okręcali dokoła osi wielką

ilość razy, nie zaczerpnąwszy nawet tchu – jak gdyby chcieli dowieść w ów wariacki sposób, że zachwyca ich wszystko, co się dzieje w izbie.

Cóż, jeśli starzy ci jegomościowie skłonni byli odczuwać szatańską radość na widok niepowodzeń Tackletona, niemało mieli teraz okazji do zadowolenia. Tackletonowi źle się wiodło; a im weselszą stawała się w towarzystwie Kropki jego przyszła żona, tym niechętniej on na to spoglądał, choć przecie po to właśnie urządził dzisiejsze spotkanie. Ale bo też prawdziwy był z tego Tackletona psuja cudzej przyjemności. Ilekroć zaś one śmiały się, gdy on nie widział żadnego powodu do śmiechu, zaraz sobie wyobrażał, że śmieją się z niego.

– Ach, May! – rzekła Kropka. – Ile zmian! Jak tylko człowiek zacznie wspominać te wesołe lata szkolne, zaraz mu się zdaje, że jest młodszy.

– Hm, tak w ogóle to chyba też nie jest pani bardzo stara? – mruknął Tackleton.

– Spójrz pan tylko na mojego poważnego, nieruchawego małżonka – odcięła się Kropka. – Postarza mnie najmniej o dwadzieścia lat. Prawda, John?

– O czterdzieści – odparł woźnica.

– Nawet sobie wyobrazić nie potrafię, ile to lat pan przyda May – ciągnęła Kropka ze śmiechem. – Ale na następne urodziny będzie miała chyba coś około setki.

– Cha! Cha! Cha! – zaśmiał się Tackleton. Trzeba przyznać, że śmiech jego brzmiał głuchym dudnieniem bębna. A minę miał przy tym Tackleton taką, jakby gotów był Kropce głowę ukreślić. I to z przyjemnością.

– Ach, May, May – ciągnęła Kropka. – Wspomnieć tylko, jak za lat szkolnych gwarzyliśmy nieraz o przyszłych naszych mężach. Jaki to mój miał być młody, jaki urodziwy, wesoły, dowcipny! A jeśli idzie o ciebie... Kiedy pomyślę, jakie z nas były gąski, nie wiem, doprawdy, co robić. – Rumieńce wypłynęły jej na policzki, a w oczach stanęły łzy. – A czasem w tych rozmowach wybierałyśmy już nawet młodzieńców, żywych, prawdziwych młodzieńców – ciągnęła Kropka. – Nie przypuszczałyśmy, że tak inaczej nam się życie ułoży. Ja przecież nigdy nie upatrywałam sobie Johna na męża. Nawet ani razu o nim nie pomyślałam. A gdybym ci wtedy, May, powiedziała, że wyjdiesz kiedyś za pana Tackletona, dałabyś mi chyba klapsa. Prawda, May?

Chociaż May nie powiedziała „tak”, to jednak nie powiedziała „nie” ani też nie zaprzeczyła słowom Kropki żadnym najmniejszym choćby gestem.

Tackleton roześmiał się, a właściwie ryknął – tak głośny był jego śmiech. John Peerybingle także się roześmiał, jak to on zwykle, w sposób szczerzy i przyjazny. Lecz w porównaniu ze śmiechem Tackletona był to co najwyżej cichy szmer śmiechu.

– Ale mimo wszystko nie dałyście sobie bez nas rady! Żadną miarą nie mogłyście się nam oprzeć! – zahuczał Tackleton. – No i my jesteśmy górą! A gdzież to się podzieli wasi młodzi zalotnicy?

– Niektórzy pomarli – odparła Kropka – a inni całkiem przez nas zostali zapomniani. Niektórzy z nich, gdyby tak stanąć mogli teraz pośród nas, nie uwierzyliby, że jesteśmy tymi samymi co ongiś istotami. Nie uwierzyliby, że to, co widzą tu i słyszą, nie jest przywidzeniem, że mogłyśmy ich tak ze szczerem zapomnieć. Nigdy, nigdy by w to nie uwierzyli!

– Kropko! – zawołał woźnica. – Kochanie! Mówiła z takim przejęciem i taką zarliwością, iż bez wątpienia dobrze się stało, że przywołano ją do przytomności. John uczynił to bardzo łagodnie, pragnąc jeno osłonić (bo taka była jego intencja) Tackletona; lecz cel został osiągnięty, gdyż Kropka nie odezwała się już słowem. A jednak nawet w jej milczeniu odczuć się dawało wzruszenie tak ogromne, że czujny na wszystko Tackleton, który wpatrywał się w nią swym na pół przymkniętym okiem, zauważył to i dobrze sobie zapamiętał.

May nie wyrzekła ani jednego słowa, dobrego czy złego, a tylko siedziała z oczyma spuszczoneymi, jak gdyby nie interesowało jej to, co przed chwilą zaszło. Teraz zabrała głos zacna dama, jej matka. A więc najpierw wypowiedziała uwagę, że dziewczęta zawsze będą dziewczętami, że co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr, i wreszcie, że dopóki młode osoby będą



młode i bezmyślne, dopóty będą prawdopodobnie zachowywały się jak młode i bezmyślne osoby; oraz dorzuciła garść opinii równie słusznych i niezbitych. Po czym uderzywszy z kolei w ton pobożny oznajmiła, iż dziękuje niebiosom, że jej córka May była zawsze dzieckiem posłusznym i dobrym; czego zasługi nie przypisuje bynajmniej sobie, acz ma wszelkie podstawy do przypuszczeń, iż dzięki niej się tak stało. Co się tyczy pana Tackletona, rzekła, że z punktu widzenia duchowego jest on niezaprzeczoną indywidualnością; z małżeńskiego zaś punktu widzenia jest on zięciem, jakiego każda matka życzyć sobie powinna, w co nikt przy zdrowych zmysłach wątpić nie może. (Na te ostatnie słowa położyła szczególny nacisk). Jeśli zaś idzie o rodzinę, do której niebawem, acz nie bez starań z jego strony, pan Tackleton miał być przyjęty, czcigodna dama wyraziła przekonanie, iż wie on, że acz zubożała, rodzina ta posiada jednak tradycje szlacheckie; gdyby zaś pewne sprawy nie tak zupełnie nie związane (gotowa jest przyznać) z handlem indygo, lecz o których to sprawach nie wolno jej wypowiadać się bardziej szczegółowo, potoczyły się nieco innym torem, rodzina May prócz tradycji szlacheckich posiadałaby także majątek. Z kolei czcigodna dama oznajmiła, że nie zamierza nawiązywać do przeszłości, więc też nie wspomni o tym, iż jej córka przez dłuższy czas odrzucała oświadczenia pana Tackletona; oznajmiła też, że nie wspomni o wielu innych sprawach, o których przecie wspomniała, rozwodząc się nad nimi długo i szeroko. W końcu czcigodna dama wygłosiła opinię będącą ogólnym wnioskiem i wynikiem własnych jej obserwacji i doświadczeń, a mianowicie, że najszcześniejsze są te małżeństwa, w których najmniej jest owych uczuć w sposób romantyczny i bzdurny zwanych miłością; oraz że spodziewa się, iż zawarte w dniu jutrzejszym małżeństwo przyniesie oblubieńcom największą, jaka jest możliwa do osiągnięcia, szczęśliwość – nie tę pełną porywów i uniesień, lecz szczęśliwość rzetelną i solidną. Na zakończenie powiadomiła zebranych, że dzień jutrzejszy jest dniem, na który czekała całe życie. Specjalnie. Więc gdy dzień ów dobiegnie końca, nie będzie pragnęła niczego więcej, jak tylko tego, aby ją zamknięto w trumnie i złożono na jakim bądź wykwiętym miejscu wiecznego spoczynku.

Ponieważ uwagi te nie wymagały odpowiedzi, co jest szczęśliwą właściwością wszystkich uwag na ten temat, rozmowa potoczyła się dzięki nim zgoła innym torem. Zainteresowanie zebranych skierowało się ku pierogowi z szynką i cielęcina, ku udźcowi baraniemu, ziemniakom i słodyczom. Aby zaś butelki piwa nie pozostawały nazbyt długo w cieniu, John Peerybingle wznosił toast za dzień jutrzejszy, czyli dzień ślubu, i wezwał biesiadników do wychylenia pełnych szklanicy, zanim w dalszą puści się drogę.

Otóż trzeba wam wiedzieć, że John zatrzymywał się w domu Kaleba na krótko, tylko aby odpocząć i dać obrok wiekowemu koniowi, gdyż miał jeszcze do przebycia kilka mil. Gdy zaś wracał wieczorem, wstępował po Kropkę i znów odpoczywał, zanim razem wyruszyli w powrotną drogę. Taki był porządek rzeczy we wszystkie dni piknikowe, od pierwszej chwili ich ustanowienia.

Dwie spośród osób obecnych – prócz jutrzejszej pary oblubieńców – nie przyczyniły się zgoła do uświetnienia tego toastu. Jedną z nich była Kropka, nazbyt wzruszona i skonfundowana, aby zwrócić uwagę na jakiegokolwiek drobne zdarzenie. Drugą była Berta, która wstała śpiesznie i pierwsza odeszła od stołu.

– Bywajcie! – zawołał dziarski woźnica wdziewając płaszcz z grubej wełny. – Wrócę o tej samej co zwykle porze. Bywajcie!

– Bywaj, John – odparł Kaleb.

Wypowiedział te słowa jakby bezwiednie i w podobnie bezwiedny sposób zamachał ręką; przyglądał się bowiem cały czas Bercie z pełnym niepokojem zdumieniem, przy czym twarz jego ani na chwilę nie zmieniła wyrazu.

– Bywaj, smyku – rzekł jowialny woźnica schylając się i całując niemowlę, które Tilly Slowboy, pilnie teraz zajęta nożem i widelcem, złożyła uśpione (i o dziwo, ani trochę nie uszkodzone) na małym posłaniu przygotowanym przez Bertę. – Bywaj, smyku! Przyjdzie

czas, kiedy ty, mały mój przyjacielu, będziesz w takie zimno wyprawiał się w drogę, aby twój stary ojciec mógł nacieszyć się fajką i grzać zmęczone kości w kącie obok komina. Co, smyku? A gdzie Kropka?

– Tu jestem, Johnie – rzekła, osobiście spłoszona.

– No, no! – zawołał woźnica klasnąwszy głośno w potężne dłonie. – Gdzie moja fajka?

– Całkiem zapomniałam o fajce, John.

Zapomniała o fajce! Słyszane to rzeczy? Ona! Zapomniała o fajce!

– Zaraz... zaraz ją napelnę. To jedna chwila. Hm, nie była to jedna chwila. Fajka leżała tam gdzie zawsze, w kieszeni płaszcza woźnicy, wraz z kapciuchem roboty Kropki, z którego zwykle ją napelniała. Ale ręka tak jej się trzęsła, że na chwilę utkwiała w kapciuchu (choć dłoń miała Kropka tak maluchną, że bez trudu mogła ją była wyciągnąć). Napelnianie fajki i zapalenie jej, te drobne usługi, w których, o czym wam wspominałem, Kropka tak chwalebnie okazywała dbałość, tym razem wykonane zostały wręcz haniebnie. A przez cały czas Tackleton przyglądał się jej złośliwie swoim półprzymkniętym okiem; które to oko, ilekroć napotkało spojrzenie Kropki – a raczej ilekroć je podchwyciło, bo trudno o nim doprawdy powiedzieć, iż napotykało kiedykolwiek czyjekolwiek spojrzenie, a rzecz raczej należy, że było pułapką dla cudzych spojrzeń – ilekroć więc oko to napotkało spojrzenie Kropki, tylekroć w sposób widoczny wzrastała jej kontuzja.

– Ach, co za niezgrabiasz dzisiaj z tej mojej Kropki – rzekł John. – Głowę daję, że sam bym to lepiej zrobił.

Wypowiedziawszy dobrotliwym tonem powyższe słowa John opuścił izbę, niebawem zaś słyszeć się dało rażne skrzywienie kół i stuk kopyt wiekowego konia, kiedy John wraz z Bokserem ruszał w drogę. Przez cały ten czas roztargniony Kaleb stał jak w ziemię wrosnięty i z wciąż tym samym wyrazem twarzy przyglądał się niewidomej córce.

– Berto – rzekł cicho Kaleb. – Co się stało? Jak bardzo się, córeczko, zmieniła od dzisiejszego ranka, w ciągu tych kilku zaledwie godzin! Milcząca i smutna cały dzień! Co się stało? Powiedz, Berto!

– Och, ojczulku, mój ojczulku – jęknęła niewidoma dziewczyna zalewając się łzami. – Och, doło moja, ciężka doło!

Zanim Kaleb zdobył się na odpowiedź, przeciągnął dłonią po oczach.

– Ale pomyśl, córeczko, jaka szczęśliwa i jaka wesoła byłaś dotąd. Jak gorąco, jak serdecznie kochana przez wszystkich.

– Bo też to mnie, drogi ojczulku, najbardziej boli! To, że zawsze taki jesteś o mnie dbały. Taki dla mnie dobry...

Kaleb żadną miarą nie mógł jej zrozumieć.

– Ślepotą... ślepotą, drogie moje biedactwo – rzekł niepewnie – strasznym jest nieszczęściem, ale...

– Nigdy jej nie odczuwałam! – zawołała niewidoma dziewczyna. – Nigdy nie rozumiałam, czym naprawdę jest ślepotą! Nigdy! Niekiedy pragnęłam móc zobaczyć ciebie albo móc zobaczyć jego – choć raz, ojczulku, choć na krótką chwilę, abym wiedzieć mogła, czym są te skarby bezcenne – przy tych słowach położyła dłoń na piersi – które tu przechowuję. Abym zyskać mogła pewność, że słuszne jest moje o nich wyobrażenie. A czasem, kiedy byłam dzieckiem, podczas modlitwy wieczornej płakałam na myśl, że może twoje wizerunki, które ślę prosto z serca do nieba, nie są wcale do ciebie podobne. Ale uczucia takie nie nawiedzały mnie na długo. Mijały, a ja z powrotem byłam pogodna i spokojna.

– I tym razem miną, córeczko – rzekł Kaleb.

– Och, ojczulku! Mój dobry, cierpliwy ojczulku! Jeśli myśli moje są grzeszne, okaż mi wyrozumienie. To nie ślepotą stała się przyczyną mej bolesti.

Kaleb nie mógł dłużej powstrzymać łez, które obficie jęły spływać mu po twarzy – taki żar i taki patos biły ze słów dziewczyny. Lecz nadal jej nie rozumiał.

– Przyrowadź ją do mnie – powiedziała Berta. – Nie mogę skrywać tego dłużej w sercu. Przyrowadź ją do mnie.

Czując, że się waha, dodała: – May, ojczulku. Przyrowadź do mnie May.

May usłyszała swe imię, podeszła więc cicho do Berty i dotknęła jej ramienia. Niewidoma dziewczyna natychmiast się obróciła i ujęła obie dłonie przyjaciółki.

– Spójrz na mnie, miła May, droga May – rzekła.

– Zwróć piękne swe oczy na moją twarz i powiedz, czy wypisana jest na niej szczerłość.

– Ależ tak, kochana Berto – odparła zapytana.

Wtedy niewidoma dziewczyna, wzniosłszy ku górze biedną swą twarzyczkę, odezwała się w te słowa:

– W sercu moim nie ma jednej myśli, jednego pragnienia, które tobie, śliczna May, nie byłoby przychylnie. Nie ma w moim sercu wspomnień silniejszych nad niezatartą pamięć tych licznych, licznych chwil, kiedy choć piękna i nie upośledzona ślepotą, okazywałaś życzliwość niewidomej Bercie – nawet wtedy, gdy obie byłyśmy jeszcze dziećmi albo gdy kalectwo Berty czyniło ją podobną bezradnemu dziecięciu! Niech wszelka pomyślność ci sprzyja! Niech szczęście opromieni drogę twego życia! Tym bardziej ci tego życzę, droga May – i tu Berta bliżej się do niej przysunęła, mocniej przygarniając jej dłonie – tym bardziej że kiedyś się dziś dowiedziała, że masz zostać jego żoną, serce o mało nie pękło mi z żalu. Ojczy, May, Mary! Przebaczcie mi – przebaczcie przez wzgląd na to, co on dla mnie uczynił, aby rozproszyc smutek mego kalectwa. Przebacz mi, May, przez ufność w prawdę moich słów, kiedy niebem się świadczę, że nie mogłabym pragnąć dla niego żony, która godniejsza byłaby jego kochania niżli ty.

Wypowiadając te słowa Berta puściła dłonie May i uczepiła się jej sukien gestem błagalnym i zarazem pełnym miłości. A schylając się coraz niżej i niżej, gdy z ust jej płynęło owo zdumiewające wyznanie, Berta osunęła się w końcu na ziemię, do stóp przyjaciółki i ukryła swą biedną twarzyczkę w fałdach jej spódnicy.

– Mój Boże! – jęknął Kaleb, którego owa nagle objawiona prawda raziła niczym grom z nieba. – Czym po to tylko zwodził ją od kołyski, by w końcu złamać jej serce?

Szczęście to dla nich prawdziwe, że Kropka, ta promienna, zawsze pomocna, zapobiegliwa Kropka – gdyż taka w istocie była, jakkolwiek liczne mogła mieć wady i jakkolwiek serdecznie będziecie ją może kiedyś nienawidzić – szczęście więc to dla nich, powiadam, prawdziwe, że Kropka znajdowała się tuż. Inaczej nie wiem, czym by się to wszystko skończyło. Lecz Kropka, ochłonawszy prędko ze zdumienia, wzięła się do dzieła, zanim May zdążyła odpowiedzieć lub Kaleb – wyrzec jedno więcej słowo.

– Wstań, wstań, Berto. Odprowadzę cię, moja droga. Podaj jej ramię, May. Spójrzcie tylko, jaka znów jest spokojna. I jak to ładnie z jej strony, że nas tak zaraz posłuchała – rzekła mała, dzielna kobietka całując niewidomą dziewczynę w czoło. – Chodźmy, chodźmy, droga Berto. I naturalnie kochany ojculek też z nami pójdzie. Prawda, Kaleb? Naturalnie!

Ach, w sprawach tego rodzaju była Kropka niedościgłą mistrzynią i tylko jakaś szczególnie zatwardziała natura oparłaby się jej dobremu wpływowi. Wyprowadziwszy z izby biednego Kaleba i jego Bertę, aby mogli pocieszyć się wzajem i dodać sobie otuchy (wiedziała, że nikt inny pomóc jej nie zdoła), wróciła zaraz świeża, jak się to mówi, niczym poranek; świeższa, moim zdaniem. Wróciła więc i zaciągnęła straż nad naburmuszonym uosobieniem godności w czepku i rękawiczkach, aby zacna staruszka nie dowiedziała się o tym, o czym wiedzieć nie powinna.

– Tilly, przynieś mi teraz najśłodsze maleństwo – rzekła przysuwając krzesło do komina – to potrzynam je na kolanach, a tymczasem pani Fielding powie mi wszystko o wychowaniu niemowląt i pouczy mnie, jak winnam postępować w dwudziestu co najmniej wypadkach, w których z pewnością robię same głupstwa. Czy kochana pani zechce to uczynić?

Nawet olbrzym walijski, który – jak powiadają – tak był tępy, iż dokonał na sobie zgubnej operacji, usiłując dorównać sztuczce kuglarskiej dokazanej podczas śniadania przez jego ar-

cywroga – nawet on nie dał się tak łatwo wciągnąć w zastawioną nań pułapkę, jak stara dama dała się złowić w podstępne sidła. Już to samo, że Tackleton wyszedł, a co więcej, że kilka osób rozmawiało na osobności przez dwie minuty, pozostawiając ją własnemu losowi – już to samo wystarczyło, aby jątrzyła w sobie poczucie obrazy i oplakiwała tajemniczą katastrofę w handlu indygo przez godzin dwadzieścia cztery. Lecz szacunek, jaki młoda matka okazała dla jej wiedzy, tak ją rozbroił, iż poniechawszy fałszywej skromności jęła udzielać Kropce nauk w sposób nader życzliwy; siedząc zaś wyprostowana niczym drąg naprzeciwko przewrotnej Kropki, podała jej w przeciągu pół godziny tyle niezawodnych recept i przepisów, że połowa ich zdołałaby młodego Peerybingle’a unicestwić zupełnie i doszczętnie zniszczyć, nawet gdyby był Samsonem w niemowlęcej postaci.

Aby zmienić przedmiot rozmowy, Kropka wzięła do rąk robotę na drutach – mieściła w kieszeni zawartość całego koszyczka do robót, choć nie mam doprawdy pojęcia, jak to było możliwe. Potem przez czas jakiś zajmowała się niemowlęciem, potem znów robotą na drutach, potem, gdy stara dama zapadła w drzemkę, wdała się z May w krótką, szeptem prowadzoną rozmowę. I gdy tak krzątała się chwilę przy tym, to znów przy owym, jak to zwykle ona, szybko minęło jej popołudnie. A ponieważ jeden z uroczystych paragrafów piknikowego kodeksu postanawiał, że w dniu tym Kropka winna wykonać za Bertę wszystkie domowe czynności, gdy zapadł zmrok, poprawiła ogień, zmiotła podłogę przed kominem, nakryła do herbaty, zasłoniła okno i zapaliła świecę. Potem zagrała kilka melodii na harfie, którą własnym przemysłem Kaleb sporządził dla Berty; trzeba zaś przyznać, że zagrała je pięknie, gdyż natura uczyniła małe jej uszko tak wybrednym, jeśli idzie o muzykę, jak byłoby wybrednym, gdyby szło o klejnoty. Ale cóż, Kropka nie posiadała takowych.

Tymczasem nadeszła pora podwieczorku i zjawił się Tackleton, aby wypić z nimi herbatę i spędzić w ich towarzystwie resztę wieczoru.

Kaleb i Berta już jakiś czas przedtem wrócili do izby i Kaleb zasiadł do roboty. Ale praca szła mu jakoś niesporo, tak wielki trapił go niepokój o córkę i tak bolesne czynił sobie wyrzuty. Serce wprost bolało patrzeć, kiedy tak siedział beczynnym na stołku i przyglądał się Bercie z bezbrzeżnym smutkiem. Jednocześnie oczy jego zdawały się mówić: „Czym po to tylko zwodził ją od kołyski, by w końcu złamać jej serce?”

A gdy zapadł wieczór i było już po podwieczorku, i Kropka pozmywała wszystkie filiżanki i spodki... Słowem – albowiem muszę o tym wspomnieć, daremnie bym odwlekał tę chwilę – gdy zbliżała się pora powrotu, w Kropce nowa nastąpiła zmiana: policzki jej to blade, to czerwieniały, każdym gestem zdradzała niepokój. Lecz nie był to ów serdeczny niepokój, z jakim dobra żona nadśluchuje powrotu męża. Nie, nie, po stokroć nie. Coś zgoła innego oznaczała ta konfuzja.

Słychać skrzyp kół. Stuk kopyt końskich. Szczekanie psa. Dźwięki te coraz są bliższe. Bokser drapie do drzwi!

– Czyje to kroki? – zawołała Berta zrywając się z krzesła.

– Czyje kroki? – rzekł od progu woźnica. Jego śniada twarz, zaczerwieniona na wieczornym chłodzie, przybrała barwę jagody ostrokrzewu. – Zwyczajnie, moje.

– Pytam o te drugie – odparła Berta. – O kroki mężczyzny, co siedł za tobą.

– Naszej Berty nikt nie oszuka! – zawołał woźnica ze śmiechem. – Wejdz, proszę, panie. Zapewniam cię, że będziesz tu mile widziany.

Słowa te John wypowiedział głosem donośnym; gdy zaś skończył mówić, do izby wszedł głuchy stary jegomość.

– Znasz go już, Kaleb, boście się u mnie widzieli. Dasz mu gościnę?

– Z całego serca, John. Prawdziwy to dla mnie zaszczyt.

– Można przy nim śmiało mówić wszystkie sekrety – zaśmiał się John. – Mam niczego sobie płuca, ale powiadam ci, że mam je sobie mocno nadwreżył. Niechże pan siądzie. Sami tu przyjaciele, wszyscy panu radzi.

Gdy tak zapewnił staruszka o powszechnej dlań życzliwości, czyniąc to głosem, który w dobitny sposób potwierdzał poprzednią jego opinię o własnych płucach, dodał zwykłym już tonem: – Niczego więcej nie żąda, jak tylko tego, aby mu pozwolono spocząć obok komina, siedzieć w milczeniu i rozglądać się dokoła z przyjazną miną. Nietrudno go zadowolić.

Berta bacznie przysłuchiwała się tej rozmowie. A kiedy Kaleb podał staremu jegomościowi krzesło, przywołała ojca do siebie i poprosiła szeptem, aby jej opisał gościa. Gdy Kaleb to uczynił (tym razem wiernie, z wprost skrupulatną dokładnością), Berta po raz pierwszy od przybycia nieznanego poruszyła się, westchnęła i najwyraźniej przestała się nim interesować.

Woźnica, zacne chłopisko, był w wyśmienitym humorze i chyba bardziej jeszcze niż dotąd zakochany w swej małej żonce.

– Co za niezgrabiasz był dziś po południu z tej mojej Kropki – rzekł opasując ją krzepkim ramieniem, gdy stali na uboczu, oddaleni nieco od tamtych. – Mimo to dość ją nawet lubię. Spójrz, Kropko!

Wskazał na starego jegomością. Kropka zwróciła w jego kierunku wzrok i zdaje mi się, że wstrząsnęło nią drżenie.

– Wyobraź sobie... cha, cha, cha... wyobraź sobie, że on jest tobą zachwycony – rzekł woźnica. – Przez całą drogę tylko o tobie mówił. Miły z niego staruszek. Polubiłem go za to.

– Wolałabym, żeby sobie wymyślił lepszy temat do rozmowy – powiedziała Kropka rozglądając się niespokojnie dokoła i zatrzymując spojrzenie na Tackletonie.

– Lepszy temat do rozmowy! – zawołał John, jowialne chłopisko. – Lepszego nie znalazłby na całym świecie. No, a teraz precz z tym ciężkim płaszczem, precz z grubym szalem i ciepłymi okrywkami – należy mi się chyba półgodzinny odpoczynek przy kominie! Kłaniam się pokornie jejmości. A może by tak partyjkę belotki? Bardzo to zacnie z pani strony. Kropko, poprosimy o karty i tablicę. I szklankę piwa, jeżeli wam coś niecoś zostało.

Zaproszenie swe John skierował do starej damy, że zaś ona przyjęła je z nader uprzejmą życzliwością, niezabawem rozpoczęli grę. Początkowo woźnica to rozglądał się po izbie z uśmiechem, to przywoływał Kropkę, aby zerknęła w jego karty i udzieliła mu rady w jakimś szczególnie trudnym momencie. Ale ponieważ jego przeciwniczka z jednej strony ściśle przestrzegała reguł gry, z drugiej zaś ulegała niekiedy chwilowej słabości, to jest skłonna była oznaczać na tablicy więcej punktów, niżli miała do tego prawo, John grać musiał bacznie, że na wszystko inne pozostawał ślepy i głuchy. I tak oto z wolna cała jego uwaga skupiła się na kartach; o nich też tylko myślał, gdy nagle poczuł na ramieniu dotyk czyjejś dłoni, co przypomniało mu, że Tackleton istnieje na świecie.

– Wolałabym nie przeszkadzać, ale muszę zamienić z tobą słówko. Bez chwili zwłoki.

– Kiedy rozdaję właśnie karty – odparł woźnica. – Moment jest krytyczny.

– Słusznie, słusznie, mój Johnie – rzekł Tackleton. – Chodź ze mną, proszę.

Na pobladłej twarzy fabrykanta zabawek malował się wyraz tak szczególny, że woźnica wstał śpiesznie i spytał z niepokojem, co mu się stało.

– Pst, John! – rzekł tamten. – Przykro mi, chłopie. Szczerze mi przykro. Obawiałem się tego. Od samego początku wydawało mi się to podejrzane.

– O czym pan mówisz? – spytał woźnica, nie na żarty już teraz przestraszony.

– Pst! Chodź, to ci pokażę.

Woźnica poszedł za nim bez słowa. Minęli dziedziniec, gdzie w górze nad nimi świeciły gwiazdy, weszli w małe drzwiczki i znaleźli się w kantorze Tackletona, skąd przez szybę w ścianie widać było skład, nieczynny już o tej porze. Ciemność zalegała kantorek, lecz w długim, wąskim składzie świeciły się lampy, przeto od okna bił jasny blask.

– Chwileczkę – rzekł Tackleton. – Myślisz, że starczy ci sił, by spojrzeć przez to okno?

– A czemu miałyby mi sił nie starczyć? – spytał woźnica.

– I jeszcze jedno, John. Nie waż się na jakiś czyn gwałtowny. Na nic się to nie zda, a byłoby niebezpieczne. Silny z ciebie mężczyzna, więc zanim się opamiętasz, gotowys popełnić morderstwo.

Woznica spojrział mu w twarz i cofnął się o krok, jakby przed nagłym ciosem. A potem dopadł okna, spojrział i zobaczył...

O cieniu, coś padł na próg jego domu! O świerszczu wierny! O przewrotna żono!

Zobaczył ją u boku starego jegomościa... nie, nie był to już człowiek stary, lecz młodzieniec prosty jak trzcina, młodzieniec urodziwy. W ręku trzymał siwą perukę, za pomocą której wkradł się podstępnie do ich nieszczęsnego, zrujnowanego domu. John widział, jak Kropka przysłuchuje mu się uważnie, gdy pochyliwszy ku niej głowę młodzieniec szepce jej coś do ucha; widział, jak pozwala mu objąć swą kibić, gdy wolnym krokiem poczuli oddalać się w głąb długiej i mrocznej drewnianej galerii, ku drzwiom, przez które weszli. Widział, jak przystanąli, jak Kropka obróciła się – och, że też musiał ujrzeć tak wyraźnie tę twarz umiłowaną!... Widział, jak własnymi rękoma nałożyła mu oszukańczą perukę na głowę, śmiejąc się przy tym – śmiejąc się na urągowisko swemu nic nie podejrzewającemu mężowi!

W pierwszej chwili John zacisnął prawą dłoń w pięść tak potężną, że byłby nią chyba zdolny powalić lwa. Lecz wraz rozluźniwszy palce rozpostarł je przed oczami Tackletona (bo nawet wtedy pragnął Kropkę ochronić), a gdy tamci zniknęli za drzwiami, padł na krzesło słaby niczym dziecko.

John, owinięty szalem aż po brodę, krzątał się przy koniu i układał paczki na wozie, kiedy Kropka, gotowa do drogi, pojawiła się w izbie.

– Jestem już, Johnie! Do widzenia, May! Do widzenia, Berto!

Czy to możliwe, że je ucałuje? Czy to możliwe, że przy pożegnaniu zachowa spokój i pogodę? Czy to możliwe, że spojrzy im w oczy i nie spłonie rumieńcem? Tak, snadź wszystko to było możliwe. Przekonał się o tym Tackleton, który cały czas pilnie ją obserwował.

Tilly, zajęta usypianiem niemowlęcia, przechadzała się obok Tackletona, mamrocząc sennym głosem:

– A kiedy się dowiedziały, że mają zostać ich żonami, serca o mało co im nie pękły. I czy ojcowie po to je zwodzili od kołysek, żeby im w końcu złamać serca?

– Tilly, podaj mi niemowlę. Dobranoc, panie Tackleton. Na miłość boską, gdzie się ten John podziewa?

– Będzie szedł pieszo i prowadził konia – odparł Tackleton pomagając jej wsiąść na wóz.

– Johnie drogi! Chcesz iść pieszo? W taką noc?

Owinięta szalem postać jej męża skinęła w milczeniu głową; a że fałszywy stary jegomość i młodzieńca nianka siedzieli już na wozie, wiekowy koń ruszył w drogę. Bokser, nie domyślający się niczego Bokser, to wybiegał naprzód, to zawracał, to znów zataczał kręgi wokół wozu i szczekał, szczekał tak triumfalnie i wesoło, jak każdego innego dnia.

Gdy po chwili Tackleton również pożegnał się i poszedł odprowadzić do domu May i jej matkę, biedny Kaleb siadł obok córki, w pobliżu komina. W głębi duszy wciąż odczuwał niepokój i wciąż czynił sobie wyrzuty; a spoglądając na nią melancholijnym wzrokiem powtarzał wciąż w myślach: „Czym tylko po to zwodził ją od kołyki, by w końcu złamać jej serce?”

Zabawki, puszczone w ruch dla uciechy niemowlęcia, dawno już zatrzymały się wszystkie. W półmroku i ciszy lalki znieruchomiały, rozpędzone konie na biegunach o rozszerzonych oczach i nozdrzach, starzy jegomościowie na progach domów zgięci we dwoje i słaniający się na osłabłych nogach, dziadkowie od orzechów o szkaradnych twarzach, same nawet zwierzęta w drodze do arki, idące parami niczym uczennice na przechadzce – wszystkie te postacie ludzkie i zwierzęta zastygły, zda się, w bezbrzeżnym zdumieniu, że Kropka mogła być niewierna, Tackleton zaś – kochany przez kogo bądź na świecie.

## Świerkot trzeci

Holenderski zegar wybił godzinę dziesiątą, kiedy woźnica zasiadł w swym fotelu obok komina. Tak był stroskany, tak posepny, że snadź przestraszył kukułkę, która wykukawszy swoich dziesięć melodyjnych „ku-ku” najprędzej, jak to było możliwe, wróciła do mauretańskiego pałacu i zatrzasnęła za sobą drzwi, jakby w swej wrażliwości znieść nie mogła tego smutnego widoku. Gdyby maleńki kosiarz uzbrojony był w kosę ostrą niczym brzytwa i gdyby każdym ruchem godził prosto w serce woźnicy, nie zdołałby go zranić tak boleśnie, jak zraniła Kropka.

Było to serce tak przepelnione miłością do niej; tak oplecione, tak przesnute niezliczonymi niemi lubych wspomnień, które dzień po dniu przedło szczęście jej będące zasługą. Było to serce, które ona wypełniła po brzegi swoją słodką obecnością; serce tak szczere i żarliwe w swej wierności, tak wytrwałe w czynieniu dobra, tak nieudolne w czynieniu zła, że początkowo nie potrafiło żywić ani pragnienia zemsty, ani nienawiści, a tylko przechowywać umiało zniszczony wizerunek swojego bożyszcza.

Ale powoli, powoli, gdy pogrążony w posepnej zadumie woźnica siedział obok wystygłego komina, inne i sroższe myśli jeły powstawać w jego duszy, podobne gwałtownym wichrom zrywającym się pośród nocy. Nieznajomy przebywał wciąż pod dachem ich zhańbionego domu. John w trzech susach dopaść zdołał drzwi pokoju. Jednym uderzeniem wywalił drzwi. Tackleton powiedział: „Zanim się obejrzysz, gotowyś popełnić morderstwo”. Jakie tam morderstwo, jeżeli pozwoli łotrowi zebrać się do walki! Jest przecież młodszy.

Nie w porę przysłała ta myśl, myśl niebezpieczna w tak posepnym nastroju ducha. Była to myśl zła, podżegająca do czynu mściwego, co zmieniłby ten wesoły dom w miejsce nawiedzane, które samotni podróżni nocą omijałoby z daleka; gdzie przez okna bojaźliwi widzieliby w mglistym świetle księżycy cienie szamoczących się postaci, a podczas burzy słyszeliby upiorne wrzaski.

Jest od niego młodszy. Tak, tak. Jakiś zalotnik, co zdobył serce, którego on nigdy nie posiadał. Jakiś zalotnik z dawnych lat, o którym myślała i śniła, za którym tęskniła, podczas gdy on łudził się, że taka jest szczęśliwa u jego boku. O męko tej myśli!

Była na górze z niemowlęciem, układała je do snu. A gdy on dumiał posepnie przy kominie, podeszła blisko, choć o tym nie wiedział – wsłuchany w jęk serca zrozpaczonego głuchy był na wszystkie inne dźwięki – i postawiła mały swój stołeczek u jego stóp. Spozstrzegł ją wtedy dopiero, gdy poczuł jej dłoń na swojej i zobaczył, że spogląda na niego.

Ze zdziwieniem? Nie. Tak mu się w pierwszej chwili zdawało, nie mógł się więc powstrzymać, aby drugi raz na nią nie spojrzeć. Nie, nie ze zdziwieniem. Z jakimś skwapliwym, badawczym wyrazem w oczach, ale nie ze zdziwieniem. Potem twarz jej przybrała wyraz niepokoju i powagi; potem pojawił się na niej jakiś osobliwy, dziki, straszny uśmiech, który zdradził mu, że odczytała jego myśli. A potem nie było już nic – tylko dłonie, za którymi zniknęła twarz, i głowa pochylona, i opadające w dół włosy.

Chociażby w chwili tej udzielona mu była władza wszechmocna, nie użyłby przeciwko Kropce ani jej cząsteczki, albowiem nazbyt dużo posiadał w sercu miłosierdzia, owego bardziej boskiego niż wszechmoc przymiotu. Lecz widok jej – kiedy siedziała tak, skulona na małym stołeczku, gdzie niewinną i wesołą tylekroć ją widywał i gdzie tylekroć spoglądał na nią z pełną dumy miłością – był nazbyt bolesny. Przeto gdy wstała i odeszła szlochając, zrobiło mu się lżej na duszy, gdyż wolał mieć obok siebie raczej owo miejsce opustoszałe niżli jej z dawna umiłowaną obecność. Ale już to samo było męką straszną ponad wszystkie inne, nagle bowiem pojął, jak bardzo jest samotny, jak bezpowrotnie zerwana została więź najsilniej łącząca go z życiem.

A im dotkliwsze stawało się uczucie straty, im wyraźniej uprzytamniał sobie, że wolałby widzieć ją zmarłą za młodu, leżącą na marach z dzieciątkiem u piersi, tym gwałtowniejszy i bardziej zaciekle wzmagał się w nim gniew przeciwko zdrajcy. Rozejrzał się po izbie szukając broni.

Na ścianie wisiała strzelba. Zdjął ją i postąpił kilka kroków ku drzwiom pokoju obcego mężczyzny. Wiedział, że strzelba jest nabita. Jakaś myśl mglista, że postąpi słusznie zabijając go niczym dziką bestię, odezwała się w nim nagle i rosła, olbrzymiała, póki nie przybrała kształtów straszliwego demona, który zapanował nad nim i wygnał z jego duszy wszystkie myśli łagodniejsze i wziął ją w niepodzielne władanie.

Źle to powiedziałem. Nie wygnał z jego duszy myśli łagodniejszych, lecz tylko podstępnie je przeobraził. Uczynił z nich bicze, które nagliły go do działania. Zmienił wodę w krew, miłość w nienawiść, łagodność w ślepią wściekłość. Obraz Kropki – pomniejszony, bolesny, lecz nadal z nieprzepartą siłą przemawiający do jego tkliwych uczuć i jego miłosierdzia – ani na chwilę go nie opuszczał; ale trwając wciąż przy nim naglił go do drzwi; kazał mu wziąć strzelbę do rąk; naprowadził jego palce na kurek i wołał: „Zabij go! Zabij we śnie!”

Obrócił strzelbę, chcąc kolbą grzmotnąć w drzwi; wznosił ją już w powietrze. Gdzieś na dnie jego myśli odezwało się instynktowne pragnienie zawołania do nieznanego, aby uciekł – aby na miłość boską uciekł przez okno...!

Wtem ogień ledwie tłący się w głębi paleniska wybuchnął i oświetlił cały komin jasnym płomieniem; i świerszcz za kominem zaczął świerkotać.

Żaden dźwięk na świecie, żaden głos ludzki, nawet jej głos, nie zdołałby go tak przejąć do głębi, tak chwycić za serce. Proste słowa, w jakich mówiła o swej miłości do świerszcza, raz jeszcze zostały wypowiedziane; ujrzał ją znów taką, jaka była wtedy – wzruszoną, pełną żarliwości. Jej miły głos – ach, cóż to był za głos, jak piękną brzmiał muzyką przy ognisku domowym człowieka uczciwego – przeniknąwszy woźnicę na wskroś dotarł do jego lepszej natury i pobudził ją do życia i działania.

Odskoczył od drzwi, jak lunatyk zbudzony ze straszliwego snu. Odłożył strzelbę. A potem zakrywszy twarz dłońmi szukał ukojenia we łzach.

Świerszcz wyszedł zza komina i stanął przed nim w swej baśniowej postaci.

– „Kocham go za to – rzekł głos baśniowy, powtarzając słowa, które woźnica aż nazbyt dobrze pamiętał – zem go tak często słyszała, i za te wszystkie myśli, na które naprowadził mnie jego cichutki świerkot”.

– Powiedziała tak! – zawołał woźnica. – Naprawdę powiedziała!

– „Znalazłam szczęście w tym domu, John, i za to kocham świerszcza”.

– A bo też szczęśliwy był ten nasz dom – powiedział woźnica. – To ona czyniła go szczęśliwym... aż do dzisiaj.

– Taka zawsze pełna wdzięku i taka dobra; taka rozkochana w tym domu, taka radosna, pracowita, dzielna – rzekł głos.

– Inaczej nie mógłbym jej kochać tak gorąco, jak ją kochałem – powiedział woźnica.

Głos poprawił go: – Jak ją kochasz.

Woźnica powtórzył: – Jak ją kochałem. – Ale wyrzekł te słowa niepewnie. Język jakoś mu się zaplątał, ani rusz nie chciał go słuchać i odpowiedział po swojemu, za siebie i za niego.

Baśniowa postać, wzniosłszy w górę rękę, rozpoczęła teraz inwokację tymi słowy:

– U twego ogniska domowego...

– Które ona pokalała – wtrącił woźnica.

– Które ona – ach, jakże często – błogosławiła i rozjaśniała swą obecnością – ciągnął świerszcz. – U twego ogniska domowego, które gdyby nie ona, byłoby jeno kupą kamieni, cegieł i zardzewiałego żelastwa, lecz dzięki niej stało się ołtarzem twego domu; na którym to ołtarzu składałaś co wieczór ofiarę małych uczuć, samolubstwa, drobnych trosk, które czciłaś daniną czystego sumienia, natury ufnej, serca przepelnionego miłością. Tak też dym



ulatujący z tego ubożuchnego komina piękniejszą miał woń niżli najwyszukańsze kadzidła palone przed najbogatszymi kapliczkami w najokazalszych świątyniach tego świata. U twego ogniska domowego... W jego uświęconej bliskości... W łagodnej jego atmosferze... Wysłuchaj mnie! Wysłuchaj jej! Wysłuchaj rzeczy każdej, która przemawia językiem twego domu.

– Przemawia za nią? – spytał woźnica.

– Wszystko, co przemawia językiem twego domu, musi przemawiać za nią! – odparł świerszcz. – Albowiem samą jeno mówi prawdę.

I gdy tak wsparłszy głowę na rękach woźnica siedział zadumany w swym fotelu, baśniowa postać stała przy nim, podsuwając mu kolejno przedmioty rozmyślań i swą baśniową mocą ukazując je jak gdyby odbite w zwierciadle czy przedstawione na obrazie. Lecz świerszcz nie był jedyną baśniową postacią w izbie. Z paleniska i komina, z zegara i fajki, z imbryka i kołyski; z podłogi, ścian, z pułapu i schodów; z wozu, co stał za domem, i z szafy w izbie, ze sprzętów gospodarskich; ze wszystkich przedmiotów i wszystkich miejsc, z którymi zwykła mieć do czynienia i z którymi w pamięci nieszczęśliwego woźnicy łączył się choćby jeden obraz żony – gromadnie wychodziły duszki domowe. Nie stanęły przecie obok jego fotela, jak to uczynił świerszcz, lecz jeły krzątać się i uwijać po izbie. Przyszły, by złożyć Kropce hołd. Ilekroć pojawiał się jej obraz, pociągały woźnicę za poję i pokazywały mu go. Obstępowały ją i ścisnęły, sypały jej kwiaty pod nogi. Usiłowały maluchnymi rączkami ustroić kwieciami jej złote włosy. Przyszły, aby mu dowieść, że ją kochają, że są jej rade; że są tylko one – one, stworzonka wesolutkie i jakże jej przychylnie – a prócz nich nie ma tu ani jednej jedynej istoty szpetnej, niegodziwej, mściwej, która pragnęłaby przeciwko Kropce świadczyć.

Woźnica ani na chwilę nie odrywał myśli od jej obrazu. Obraz ów wciąż był przed nim.

Siedziała przy kominie, szując i śpiewając. Taka radosna, promienna, wierna mała Kropka! Czarodziejskie duszki niby na komendę wszystkie się ku niemu zwróciły spoglądając nań niejako jednym, przedziwnie skupionym spojrzeniem, jak gdyby rzec chciały: – Czyż to jest owa żona płocha, którą oplakujesz?

Przed domem rozległa się wesola wrzawa – dźwięki skocznej muzyki, głośny gwar rozmów i śmiechy. Tłum rozbawionej młodzieży wpadł do izby, między innymi May Fielding i kilka ślicznych dziewcząt. Kropka była śliczniejsza niż one i jak one młoda. Przyszli prosić ją, by się do nich przyłączyła. Wybierali się na tańce. Jeżeli kiedykolwiek istniały na świecie małe nóżki stworzone do tańca – takie z pewnością nóżki miała Kropka. Lecz ona roześmiała się tylko, potrząsnęła głową i z jakąś triumfalną wyższością, która czyniła ją jeszcze wdzięczniejszą, wskazała na garnczki na kominie i stół nakryty do posiłku. I tak oto żartobliwie ich odprawiła, żegnając skinieniem głowy niedoszłych tancerzy, gdy jeden po drugim mijali ją w drzwiach; uczyniła to zaś z komiczną wprost obojętnością, na której widok śmiało mogli pójść i zaraz się utopić, jeśli byli jej wielbicielami. Być zaś musieli w mniejszym czy większym stopniu, bo kto by się jej oparł? A przecież obojętność obca była jej naturze. Najzupełniej! Bo gdy niezadługo zjawił się w drzwiach pewien woźnica – jakież ona mu zgotowała powitanie!

I znowu duszki domowe wszystkie się ku niemu zwróciły, jak gdyby rzec chciały: – Czyż to jest owa żona, która cię porzuciła dla innego?

Cień padł na zwierciadło lub może obraz; nazwijcie to, jak chcecie. Wielki cień nieznanego – w takiej postaci, w jakiej pierwszy raz woźnica ujrzał go pod dachem ich domu. Wypełnił sobą całe pole widzenia, zakrył wszystkie inne widziadła. Lecz zręczne duszki, niczym pszczołki pracowite, w mig oczyściły zwierciadło. I znowu pojawiła się Kropka. Tak samo promienna i tak samo piękna.

Kołysała swoje dzieciątko i nuciła cicho, oparłszy głowę na pewnym ramieniu, mającym swój odpowiednik w ramieniu zadumanej postaci, obok której stał teraz świerszcz.

Noc – mam na myśli prawdziwą noc, nie tę, którą odmierzały baśniowe zegary – miała się ku końcowi; i gdy myśli woźnicy w to nowe wkroczyły stadium, księżyc przedarł się przez

chmury i zaświecił jasno na niebie. Może jakieś ciche, łagodne światło rozblęsnęło także w duszy woźnicy, gdyż mógł teraz spokojniej myśleć o tym, co się wydarzyło.

Chociaż cień nieznajomego padał jeszcze niekiedy na zwierciadło – zawsze wyraźny, ogromny, o ostro obwiedzionych konturach – nie był już przecie tak złowieszczy, jak za pierwszym razem. A gdy tylko się pojawił, duszki wznosiły okrzyk trwogi i nie żałując rąk i nóg z trudną do pojęcia chyżością ścierały go z powierzchni zwierciadła. Ilekroć zaś udało im się pochwycić znów obraz Kropki i pokazać ją, piękną i promienną, woźnicy, wznosiły okrzyk radosny i chwytający za serce.

Zawsze i niezmiennie pokazywały ją piękną i promieniejącą, gdyż były to duszki domowe, dla których fałsz oznacza zagładę; dlatego też Kropka przez nie pokazywana nie mogła być niczym innym, jak tylko ową ruchliwą, radosną, miłą istotką – owym ciepłem i światłem domu woźnicy.

Duszki zdradzały osobliwe ożywienie, gdy pokazywały ją z niemowlęcim na ręku, jak gawędziła z kilkoma przemądrymi matronami, udając, że sama jest strasznie starą matroną; jak opierała się strasznie i z powagą o ramię woźnicy usiłując – ona, taka młoda! – dać wszem i wobec do zrozumienia, że wyrzekła się błahostek tego świata oraz że macierzyństwo to dla niej nie nowina. A przecież w tym samym okamgnieniu duszki pokazały ją, jak śmiała się z woźnicy, jak poprawiała mu kołnierzyk u kurtki, aby wyglądał niczym dandys, i jak ucząc go tańczyć hasała wesoło po izbie!

Duszki obróciły się ku niemu wszystkie i spoglądały nań szczególnie znacząco, gdy ukazały mu ją w towarzystwie niewidomej dziewczyny. Bo chociaż gdziekolwiek szła Kropka, wszędzie niosła ze sobą pogodę i życie, do domu Kaleba Plummera wносиła obu tych przymiotów ilości wprost przeogromne. Miłość i ufność, i wdzięczność, jakie okazywała jej niewidoma dziewczyna, dobrotliwa żywość, z jaką ona opędzała się od podziękowań Berty; zręczne sztuczki, do jakich się uciekała, aby wypełnić każdą chwilę wizyty pracą pożyteczną dla Kalebowego domu; jej praca naprawdę ciężka, choć Kropka udawała, że nic nie robi; jej hojny dar, owe uświęcone zwyczajem pyszności: pieróg z szynką i cielęcina oraz butelki piwa; jej radosna twarzyczka, pojawiająca się we drzwiach w chwili przybycia i znikająca za drzwiami w chwili odjazdu; ów sposób cudowny, w jaki cała jej postać – od drobnych stópek aż do czubka głowy – stawała się częścią tego domu, czymś tu nieodzownym, bez czego dom ów nie mógłby się obejść... Wszystkim tym duszki zachwyciły się i za wszystko kochały ją gorąco. Znowu jak na komendę obejrzały się na woźnicę, niektóre zaś z nich tuliły się do niej i pieściły ją, i błagalnie patrząc na niego zdawały się mówić: – Czyż to jest owa żona, która zawiodła twoje zaufanie?

Nie raz i nie dwa, i nie trzy razy w ciągu tej długiej, przepędzonej na rozmyślaniach nocy duszki pokazywały mu Kropkę siedzącą na ulubionym stołeczku, z głową pochyloną, twarzą ukrytą w dłoniach, z włosami w dół opadającymi. Taką, jaką ją widział po raz ostatni. I wtedy to duszki nie zwracały się ku niemu ani na niego nie patrzyły, a tylko obstępowały Kropkę ze wszystkich stron i całowały, i starały się ją pocieszyć, i przeciskały się jeden przez drugiego, aby okazać jej współczucie i miłość – zgoła o woźnicy zapomniawszy!

Tak minęła noc. Księżyc zaszedł, gwiazdy zbladły, wstał zimny brzask, słońce wypłynęło na niebo. Woźnica nadal siedział zadumany w kącie obok komina. Przesiedział tak, z głową wspartą na dłoniach, całą noc. Całą noc wierny świerszcz świerkotał za kominem. Całą noc woźnica przysłuchiwał się świerszczowej muzyce. Całą noc duszki domowe krzątały się przy nim. Całą noc widział w zwierciadle obraz Kropki wdzięcznej i niewinnej – prócz owych tylko chwil, gdy cień nieznajomego mącił widziadło.

Dopiero gdy na dworze całkiem już było jasno, woźnica wstał z fotela, umył się i ubrał. Nie mógł wprost wziąć się do zwykłych swych wesołych zatrudnień – brak mu było pogody ducha; ale nie potrzebował zaprzętać sobie tym głowy, gdyż i tak z uwagi na ślub Tackletona znalazł sobie na ten dzień zastępcę do rozwożenia paczek. Zamierzali przecież pójść z Kropką

do kościoła. Ach, nigdy już nie będzie układał tego rodzaju planów! Był to również dzień ich ślubu, pierwsza rocznica! Nie przypuszczał, że tak się zakończy taki rok!

Woźnica spodziewał się, że Tackleton przybędzie do niego wczesnym rankiem; i słuszne były jego przewidywania. Za ledwie kilka minut przechadzał się przed drzwiami domu, gdy nagle ujrzał na gościńcu fabrykanta jadącego bryczuszką. Bryczuszka przybliżyła się i wtedy woźnica zobaczył, że Tackleton już jest ubrany jak do ślubu, a także, że przystroił łeb konia kwiatami i wstążkami.

Koń bardziej wyglądał na oblubieńca niżli Gruff i Tackleton, którego półprzymknięte oko złośliwym jeszcze niż zwykle błyskało światłem. Lecz woźnica nie zwrócił na to uwagi. Jego myśli zaprzątnięte były innymi sprawami.

– Witaj, Johnie – ozwał się Tackleton. – Jakże się, przyjacielu, miewasz dzisiaj rana?

– Ot, kiepską miałem noc, przyznaję – odparł woźnica potrząsając głową – gdyż w wielkiej byłem rozterce. Ale to już minęło. Czy mógłbyś pan poświęcić pół godziny na poufną ze mną rozmowę?

– W tym celu tu przyjechałem – odparł Tackleton zeskakując z bryczki. – O konia możemy się nie kłopotać, przywiążę tylko lejce do tego słupka. Będzie stał spokojnie, jeśli zechcesz mu dać garstkę siana.

Woźnica przyniósł wiązkę siana ze stajni i położył ją przed koniem, po czym obaj weszli do domu.

– Jeśli dobrze pamiętam, ślub jest dopiero o dwunastej? – rzekł woźnica.

– Uhm – mruknął Tackleton. – Mamy mnóstwo czasu. Mnóstwo.

Gdy weszli do kuchni, Tilly Slowboy dobijała się właśnie do drzwi pokoju nieznanego, dokąd prowadziło z kuchni za ledwie kilka stopni. Jedno z bardzo czerwonych oczu Tilly (płakała całutką noc, ponieważ jej pani płakała) przytknięte było do dziurki od klucza. Stukała bardzo głośno i najwyraźniej była przestraszona.

– W żaden sposób nie mogę usłyszeć, za pańskim przeproszeniem, czy się ktoś w środku rusza – rzekła obróciwszy się do nich. – Oby tam tylko ktoś nie wziął i nie umarł, za pańskim przeproszeniem.

Temu filantropijnemu życzeniu panny Slowboy towarzyszyło kilka szczególnie mocnych grzmotnięć i kopnięć we drzwi, co jednak żadnego nie dało rezultatu.

– Czy mam zobaczyć? – spytał Tackleton. – To ciekawe.

Woźnica, który odwrócił się plecami do drzwi, dał Tackletonowi ręką znak, by zobaczył, jeśli ma ochotę.

Przeto Tackleton pośpieszył w sukurs Tilly Slowboy. I teraz on walił pięścią i kopał nogą w drzwi, ale i on nie otrzymał odpowiedzi. Nagle przyszła mu do głowy szczęśliwa myśl, żeby nacisnąć klamkę, a ponieważ drzwi nie stawiały oporu, najpierw zerknął do środka, potem zajrzał do środka, wreszcie wszedł do środka – ale już po chwili z powrotem był w kuchni.

– Słuchaj no, John – zasyczał woźnicy prosto do ucha – chyba nie popełniłeś w nocy jakiegoś... jakiegoś czynu nierozważnego?

Woźnica żywo się ku niemu obrócił.

– Bo nie ma go w pokoju – rzekł Tackleton – i okno jest otwarte. Nie widać żadnych... hm... śladów gwałtu, zresztą okno jest prawie na tym samym poziomie, co ogród. Ale bałem się, że może doszło do... do jakiejś bójki. No i co ty na to?

Prawie że zamknął swoje wyraziste oko, tak badawczo się w Johna wpatrywał, wykręcając przy tym w osobliwy sposób twarz, oko i całą postać. Myślałby kto, że jest świdrem i chce przemocą z niego wyświdrować prawdę.

– Może pan być spokojny – odparł woźnica. – Zanim człowiek ów wszedł wczoraj wieczorem do swego pokoju, nie spotkała go ode mnie żadna krzywda, ani w mowie, ani w uczynku.

A od tego czasu nikt tam nie zaglądał. Odszedł z własnej woli. Gdybym mógł zmienić przeszłość w taki sposób, aby on tu nigdy nie przychodził, chętnie bym opuścił ten dom i zebrał na chleb do końca mego życia. Ale cóż – przyszedł i odszedł. A ja nie będę więcej zaprzętał sobie nim głowy.

– Hm... cóż, myślę, że odchodził stąd zadowolony – mruknął Tackleton siadając.

Woźnica nie spostrzegł szyderstwa. Usiadł także i zanim przemówił, ukrył twarz w dłoniach i trwał tak chwil kilka.

– Pokazałeś mi pan wczoraj wieczorem – ozwał się wreszcie – moją żonę. Moją żonę, którą kocham. Potajemnie...

– ...i czule – podsunął Tackleton.

– Potajemnie, wiedząc, że ten człowiek jest w przebraniu, przystała na samotne z nim spotkanie. Myślę, że żaden widok na świecie nie byłby mi boleśniejszy. Myślę, że stokroć bym wolał, aby mi go pokazał ktoś inny, nie pan.

– Przyznaję, że od początku miałem swoje podejrzenia – mruknął Tackleton. – I naturalnie dlatego nie byłem tu mile widziany.

– Ale ponieważ to pan pokazał mi ów widok – ciągnął woźnica nie zwracając uwagi na słowa tamtego – i ponieważ to pan widział ją, moją żonę, moją żonę, którą kocham... – głos Johna, jego oko, ręka nabierały pewności i mocy, w miarę jak powtarzał te słowa, zmiernie do jakiegoś określonego celu. – Ponieważ widział ją pan w tym niepocholebny dla niej momencie, słusznym jest, abyś spojrział na nią moimi oczyma, abyś wejrzał w moje serce, abyś dowiedział się, jaki jest mój pogląd na tę sprawę. Albowiem powziąłem decyzję – dodał woźnica z mocą, wpatrując się w Tackletona – której nic nie zdoła zmienić.

Tackleton przyznał mu słuszość w kilku ogólnikowych słowach, mrużąc coś tam o konieczności dochodzenia takich czy innych praw; lecz zachowanie się Johna Peerybingle'a napawało go zdumieniem, ba, nieomal podziwem. Choć bowiem obejście miał John niewyszukane i pozbawione poluru, cechowała go jednak jakaś godność i dostojeństwo, które swe źródło mieć musiały w duszy szlachetnej i czystej.

– Prosty ze mnie człowiek, nieogładzony – ciągnął woźnica – i niewiele mam zalet, które by za mną przemawiały. Nie jestem wykształcony, sam pan wie o tym najlepiej. Nie jestem także młody. Kochałem moją Kropkę, bo znałem ją od małości i widziałem, jak wzrastała w domu rodziców; bo zrozumiałem, ile jest warta; bo była treścią mego życia od dawna, bardzo dawna. Wielu jest mężczyzn, z którymi nawet równać się nie mogę, a którzy nie potrafiliby kochać mojej małej Kropki, jak ja ją kochałem.

Zamilkł i nim odezwał się znowu, przez kilka chwil cicho postukiwał butem w podłogę.

– Myślałem sobie często, że choć nie jestem jej wart, będę dla niej dobrym mężem i może lepiej niż inni potrafię ją ocenić. I tak po trochu przywykłem do tej myśli, a nawet zacząłem przemyśliwać, że kto wie – może nie jest to tak zgoła niemożliwe, abyśmy zostali małżeństwem. No i w końcu zostaliśmy małżeństwem.

– Ha! – warknął Tackleton, w sposób znaczący potrząsając głową.

– Dobrze zbadałem własne uczucia, znałem się na wskroś, wiedziałem, jak gorąco ją kocham i jak bardzo będę z nią szczęśliwy – ciągnął woźnica. – Ale nie dość... teraz to rozumiem... nie dość się o nią troszczyłem.

– Naturalnie! – wykrzyknął Tackleton. – Płochosć, zmienność, pustota, swawolna chęć podobania się innym! A on nie dość się o nią troszczył! Na wszystko był ślepy! Ha!

– Lepiej pan zrobisz, jak mi nie będziesz przerywał – rzekł woźnica z pewną surowością w głosie – dopóki mnie nie zrozumiesz. A chwilowo daleko panu do tego. Jeśli wczoraj uderzyłbym bez namysłu człowieka, który odważyłby się wyrzec przeciwko niej jedno złe słowo, dzisiaj bym człowieka takiego zabił – choćby był rodzonym moim bratem!

Fabrykant spoglądał na niego osłupiały. Woźnica mówił dalej, łagodniejszym nieco tonem.

– Czy zastanawiałem się nad tym, żem ją zabrał – ją, tak młodą i piękną – spośród mło-

dych przyjaciół, spośród miejsc przeróżnych, których była ozdobą, którym przyświecała niczym najjaśniejsza z gwiazdek, aby zamknąć ją w niewesołym moim domu i skazać na niewesołe swe towarzystwo? Czy zastanawiałem się kiedy, jak nieodpowiednim byłem mężem dla kogoś o tak żywym i wesołym usposobieniu, jak nużącym musiał się wydać taki tępy mężczyzna komuś, kto jak ona jest bystry? Czy zastanawiałem się nad tym, że nie moją to było zasługą, że żadnych z tego tytułu nie mogę sobie rościć praw, iż ją kochałem – skoro kochać ją musi każdy, kto ją zna? Nigdy. Wykorzystując niecnie ufność jej natury i pogodne usposobienie wziąłem ją sobie za żonę. Obym nigdy nie był tego uczynił! Przez wzgląd na nią, nie na siebie.

Fabrykant zabawek wpatrywał się w woźnicę nie mrużąc powiek; nawet jego półprzy-  
mknięte oko było teraz szeroko otwarte.

– Niech Bóg ją wynagrodzi – rzekł woźnica – za ową dzielność i za wytrwałość, z jaką starała się to przede mną ukryć. I niech Bóg mi przebaczy, że w tępotnie swej wcześniej tego nie zauważył. Biedne dziecko! Biedna Kropka! Nie spostrzegłem nic – ja, którym widział, jak oczy jej napęcznieją się łzami, kiedy mówiono w jej obecności o małżeństwie podobnym do naszego! Którego setki razy widziałem na jej wargach tajone drżenie i do wczorajszego dnia nie domyślałem się jego przyczyny! Biedna mała Kropka! Jakże mogłem ludzi się nadzieją, że mnie pokocha! Jak mogłem sobie wyobrazić, że mnie pokochała!

– A bo też strasznie się z tą swoją miłością obnosiła – wtrącił Tackleton. – Prawdę mówiąc, tak się z nią obnosiła, że na ów widok powziął jak najgorsze przecucia.

I tutaj Tackleton nie omieszkął podkreślić z naciskiem wyższości May Fielding, która nawet nie próbowała obnosić się z miłością do niego.

– Starła się ze wszystkich sił – ciągnął biedny woźnica, okazując większe niż dotąd wzruszenie. – Dopiero teraz zaczynam pojmować, jak bardzo starała się być mi posłuszną, oddaną żoną. Jak dobrą żoną była, jak wiele swoją zacnością dokonała! Jak dzielne, jak niezłomne ma serce! Niechże świadczy za nią szczęśliwość, której pod tym dachem zaznałem. Pamięć o tym będzie dla mnie pociechą, kiedy tu sam zostanę.

– Kiedy tu sam zostaniesz? – spytał Tackleton. – A więc mimo wszystko zamierzasz wy-  
ciągnąć z tego jakieś wnioski?

– Zamierzam – odparł woźnica – wyświadczyć jej największą przysługę i wynagrodzić krzywdy najlepiej, jak potrafię. Mogę uwolnić ją od codziennej udręki, jaką być musi dla niej nieszczęśliwe małżeństwo, i od codziennie podejmowanych wysiłków, aby ukryć prawdę przede mną. Będzie wolna – o ile ja mogę ją wolną uczynić.

– Jej wynagrodzić krzywdy! – zawołał Tackleton tarmosząc i miętosząc swe wielkie uszy. – Coś tu nie jest w porządku. Nie to chyba chciałeś powiedzieć.

Woźnica chwycił Tackletona za wyłogi kołnierza i potrząsnął nim, jak wiatr potrząsa trzcina.

– Więc wysłuchaj mnie pan! – rzekł. – I radzę, żebyś słuchał z uwagą. Czy mówię jasno?

– Najzupełniej – odparł fabrykant.

– I z przekonaniem?

– Z głębokim przekonaniem.

– Całą noc przesiedziałem obok komina – zawołał woźnica. – Na tym miejscu, gdzie ona tak często siadywała u mego boku wznosząc ku mnie swą drogą twarzyczkę. Przebiegłem myślami całe jej życie, dzień po dniu. I dalibóg – jest niewinna, jeżeli istnieje ktoś, kto ma prawo sądzić ludzi.

O świerszczu wierny! O zacne duszki domowe!

– Gniew i niewiara ustąpiły z mego serca – ciągnął woźnica – i ostał się w nim jeno wielki smutek. W jakiejś chwili niefortunnej wrócił dawny wielbiciel, odpowiedniejszy dla niej wielkiem i bardziej odpowiadający jej upodobaniom, wielbiciel, którego może wbrew sercu dla mnie porzuciła. W chwili niefortunnej, gdy zaskoczona znienacka nie miała nawet czasu za-

stanowić się, co czyni, przyłożyła ręki do zdrady dokonanej przez obcego mężczyznę. Wczoraj wieczorem spotkała się z nim, a tego spotkania my byliśmy świadkami. Źle postąpiła. Lecz poza tym jest niewinna, jeżeli wierzyć mam w słuszność czegokolwiek na tym świecie!

– Skoro takie jest twoje zdanie... – zaczął Tackleton.

– Niech więc odejdzie – ciągnął woźnica. – Niech odejdzie, ja zaś błogosławić ją będę za te godziny szczęśliwe, które mi dała, i przebaczę jej ból, którego mi przyczyniła. Niech odejdzie i niech spokój ducha, którego sercem całym dla niej pragnę, stanie się jej udziałem. Nie będzie mnie nienawidzić. Może polubi mnie serdeczniej, kiedy przestanę być zawadą na jej drodze, kiedy ujmę ciężaru łańcuchom, w które ją zakuję. Dziś właśnie przypada rocznica owego dnia, gdy wziął ją z domu rodzinnego – w bezmyślności swej nie zastanawiając się nad tym, co potrzebne jest do szczęścia młodej niewieście. Dziś więc powróci do domu rodzinnego, a ja nie będę się jej więcej naprzykrzał. Rodzice Mary przyjadą tu dzisiaj, bo z dawna postanowiliśmy dzień ten spędzić wspólnie. Zabiorą ją więc do domu, mogą jej zaufać, gdziekolwiek będzie przebywać. Odejdzie stąd niewinna i w dalszym ciągu, tego jestem pewien, wieść będzie życie pocziwe. Jeżeli umrę – kto wie, mogę umrzeć, gdy będzie jeszcze młoda, w ciągu tych kilku godzin straciłem wiele z dawnej chęci życia – przekona się, że ją pamiętał i kochał do ostatniego tchnienia. Taki jest koniec tego, co mi pan wczoraj pokazał. Skończyło się wszystko!

– O nie, Johnie, wcale się nie skończyło! Nie mów, że się skończyło! Nie! Słyszałam twoje szlachetne słowa. Nie mogłam przecie wymknąć się stąd ukradkiem i udawać, że nie słyszała słów, które przejęły mnie tak głęboką wdzięcznością. Nie mów, że się wszystko skończyło, póki zegar nie wybije godziny.

Weszła w chwilę po Tackletonie i już pozostała w izbie. Ani razu nie spojrzała na fabrykanta, cały czas wpatrzona była w męża. Ale trzymała się z daleka od niego, zachowując możliwie jak największą między nim a sobą odległość, a choć mówiła z uczuciem i żarliwością, to przecie nawet wtedy się do niego nie przybliżyła. Jakże niepodobna w tym była do dawnej maleńkiej Kropki!

– Żaden zegar nie wybije dla mnie ponownie godzin, które minęły – rzekł woźnica uśmiechając się ze smutkiem. – Ale niech i tak będzie, droga, skoro ty sobie tego życzysz. Zegar wybije niebawem. To, co teraz możemy powiedzieć, niewielkie ma znaczenie. Rad byłbym uczynić zadość twym żądaniom w trudniejszej niżli ta sprawa.

– No tak – mruknął Tackleton. – Muszę już iść, bo jak zegar wybije godzinę, czas mi będzie jechać do kościoła. Do widzenia, Johnie. Żałuję, że mnie pozbawisz przyjemności swego towarzystwa. Przykro mi, że cię w kościele nie będzie. I przykro mi, że taka jest przyczyna twojej nieobecności.

– Czy mówiłem jasno? – spytał woźnica odprowadzając go do drzwi.

– Najzupełniej.

– I nie zapomni pan, com mu rzekł?

– Hm, skoro sam się napraszasz, abym wygłosił tę uwagę – odparł Tackleton, na tyle jednak przezorny, że wpiery wsiadł na bryczkę – powiem ci, że twoje wywody tak były zdumiewające, iż niepodobna ich kiedykolwiek zapomnieć.

– Tym lepiej dla nas obu – rzekł woźnica. – Do widzenia. Życzę wiele radości.

– Chętnie bym ci odwzajemnił to życzenie – odparł Tackleton. – Ale skoro nie mogę, serdecznie dziękuję. Między nami mówiąc, nie wydaje mi się (pewnie pamiętasz, że ci o tym wspominałem), żeby małżeństwo moje było mniej udane, ponieważ May zbytnio mi nie nadskakuje ani też nie obnosi się ze swoją do mnie miłością. Do widzenia. Trzymaj się!

Woźnica stał i spoglądał za nim, aż bryczuszka mniejsza się wydała w oddaleniu niżli kwiaty i wstążki na łbie konia widziane z bliska. Wtedy westchnął ciężko i skierowawszy kroki ku pobliskiej kępie wiązów jał przechadzać się niespokojnie, jak człowiek uginający się pod ciężarem nieszczęścia. Nie chciał wracać do domu, póki zegar nie wybije godziny.

Pozostawszy sama jego maleńka żona rozszlochała się żałością. Ale często ocierała oczy i powstrzymując łkanie mówiła, jaki to John jest dobry, jaki po prostu nadzwyczajny. Kilka zaś razy nawet się roześmiała, tak serdecznie, triumfująco, tak dziwnie (cały czas płacząc), że Tilly Slowboy ogarnęło przerażenie.

– U, u, u, proszę pani, niech pani przestanie! – jęknęła Tilly. – Przecież to może zabić niemowlę na śmierć. Proszę pani!

– Czy przyniesiesz je czasem, Tilly, aby zobaczyło ojca – spytała pani ocierając oczy – kiedy ja nie będę mogła tu mieszkać i wrócę do rodziców?

– U, u, u, proszę pani, niech pani przestanie! – zawołała Tilly odrzucając głowę do tyłu i zanosząc się płaczem; aż dziw brał, jak była w tej chwili podobna do Boksera. U, u, u, niech pani przestanie! U, u, u, co też wszyscy wszystkim wzięli i zrobili, że wszyscy są tacy nie-szczęśliwi! U, u, u!

Zacna Tilly wybuchnęła w tym momencie szlochom tak przeraźliwym – tym gwałtowniej-szym, że długo tłumionym – iż bez wątpienia obudziłaby niemowlę i przestraszywszy je, wpędziła w coś poważnego (zapewne w konwulsje), gdyby wzrok jej nie padł na Kaleba Plummera wprowadzającego właśnie do izby niewidomą córkę. Widok ten przypomniał jej, co przystoi, a czego nie przystoi robić, umilkła więc i stała chwilę z szeroko rozdziawionymi ustami. Potem dopadłszy łóżka, na którym spało niemowlę, wykonała na podłodze przedziw-ny taniec świętego Wita, jednocześnie dźgając głową pościel. Znajdowała widocznie ukojenie w tych niezwykłych zaiste czynnościach.

– Mary, ty w domu? – ozwała się Berta. – Nie na ślubie?

– Mówiłem jej, że nie pójdziesz pewnie do kościoła – wyszeptał Kaleb. – Słyszałem, jak coś tam o tym wspominali wczoraj wieczorem. Ale Boże miły – rzekł mały człowieczek ujmując tkliwie obie ręce Kropki – nie dbam o to, co ludzie gadają. Zwyczajnie im nie wierzę. Jak na mnie spojrzeć, niewiele mnie jest, ale nawet ta odrobina pierwej by szczęła, niżbym uwierzył w jedno złe przeciwko tobie słowo!

Objął ją i przygarnął do siebie, jak dziecko, które tuli jedną ze swych lalek.

– Berta żadną miarą nie mogła dziś rano usiedzieć w domu – wyjaśnił Kaleb. – Bała się, wiem o tym, dźwięku dzwonów weselnych, lękała się być tak blisko nich w dniu ślubu. Więc wyszliśmy wcześniej w drogę i oto jesteśmy. Rozmyślałem dużo o tym – dodał po chwili milczenia – co uczyniłem. Noc całą robiłem sobie wyrzuty... aż w końcu nie wiedziałem, co począć i gdzie szukać ratunku... żem stał się sprawcą jej cierpienia. Wreszcie postanowiłem, że jeśli ty, Mary, zechcesz być przy tym, powiem jej prawdę. Czy zechcesz być przy tym? – pytał drżąc na całym ciele. – Nie wiem, jak przyjmie moje słowa. Nie wiem, co o mnie pomyśli. Nie wiem nawet, czy będzie mogła kochać nadal swego biednego ojca. Ale lepiej dla niej, abym rozwiał jej złudzenia, ja zaś muszę taką ponieść karę, na jaką zasłużyłem.

– Mary! – ozwała się Berta. – Gdzie twoja ręka? Ach, jest tu, jest! – i uśmiechnąwszy się przycisnęła małą dłoń do warg, potem zaś wsunęła ją sobie pod ramię. – Słyszałam wczoraj wieczorem, jak szeptali między sobą, żeś uczyniła coś złego. Nie mieli racji.

Żona woźnicy milczała. Kaleb za nią odpowiedział.

– Nie mieli racji – rzekł.

– Wiedziałam! – zawołała Berta z dumą. – Mówiłam im, że nie mają racji! Nie chciałam słyszeć ani jednego słowa! Kto miałby powód ją ganić! – I tu Berta przycisnęła dłoń Kropki do swego delikatnego policzka. – O, nie! Nie jestem aż tak ślepa!

Kaleb stanął teraz u boku córki, gdy tymczasem Kropka pozostała po drugiej jej stronie; i ujął ją za rękę.

– Znam was wszystkich – powiedziała Berta – lepiej, niżli się wam zdaje. Ale nikogo nie znam tak dobrze jak jej – nie wyłączając nawet ciebie, ojczulku. Jeśli idzie o prostotę i szczerść, ani się z nią mogę równać. Gdybym w tej chwili odzyskała wzrok i gdyby ani jedno słowo nie zostało wypowiedziane, poznałabym ją w tłumie. Moja siostrzyczka!

– Berto, córeczko droga – ozwał się Kaleb. – Chciałbym ci coś powiedzieć, póki sami tu jesteśmy we troje. Wysłuchaj mnie, dziecino. Muszę ci poczynić pewne wyznanie.

– Wyznanie, ojczulku?

– Nie trzymałem się prawdy i zmyliłem drogę – rzekł Kaleb, którego roztargniona twarz przybrała żałościwy wyraz. – Odszedłem od prawdy, bom chciał dla ciebie dobrze. A tymczasem byłem okrutny.

Zwróciła ku niemu zdumioną twarz i powtórzyła: – Okrutny?

– Nazbyt surowe czyni sobie wyrzuty – rzekła Kropka. – Sama wnet się o tym przekonasz. Pierwsza mu to powiesz.

– On miałby być dla mnie okrutny! – zawołała Berta uśmiechając się z niedowierzaniem.

– Nie chciałem, dziecino – powiedział Kaleb. – Ale jednak byłem. Choć do wczoraj wcalem się tego nie domyślał. Moja biedna, ociemniała córuchno, wysłuchaj mnie i przebacz! Świat, na którym żyjesz, nie jest taki, jakim ci go przedstawiałem. Oczy, którym zaufałaś, zawiodły cię.

Berta nadal zwracała ku ojcu swą zdumioną twarzyczkę, ale odsunęła się od niego i przytuliła mocniej do przyjaciółki.

– Droga twojego życia trudna była i wyboista – ciągnął Kaleb – a ja chciałem ją dla ciebie wygładzić. Zmieniałem przedmioty, przeinaczałem ludzkie charaktery, wymyślałem wiele faktów, które nigdy nie istniały... byle ciebie uczynić szczęśliwszą... Różne sprawy trzymałem przed tobą w ukryciu, zwodziłem cię... Boże, bądź mi miłościw!... i otaczałem mamidlami.

– Przecież ludzie żywi to nie mamidła, ojcze – rzekła Berta w popłochu, blednąc gwałtownie i jeszcze dalej się od niego odsuwając. – Nie można przecież zmienić ludzi żywych!

– Ja to robiłem. Berto – rzekł z rozpaczą Kaleb. – Jest jeden człowiek, którego znasz, mój gołąbku...

– Och, ojcze! Dlaczego mówisz, że znam? – zawołała z wyrzutem. – Kogo ja znam? Co ja znam? Ja, która nie mam w życiu przewodnika! Ja, tak przerażająco ślepa!

W ręce serdecznej wyciągnęła przed siebie dłonie, jak gdyby po omacku szukając drogi, a potem gestem pełnym smutku i rozpaczki podniosła je do twarzy.

– Ten, który wstępuje dzisiaj w związek małżeński – ciągnął Kaleb – jest człowiekiem złym, chciwym, wymagającym. Od wielu lat chlebodawcą względem ciebie i mnie okrutnym. Człowiekiem o szpetnym wyglądzie i szpetnej duszy; zawsze zimnym, obojętnym na ludzkie cierpienie. Pod każdym względem różny jest od owego wizerunku, jaki ci przedstawiłem. Pod każdym względem.

– Och, czemu, ojcze – zawołała niewidoma dziewczyna popadając w najstraszliwszą udrękę – czemuś to uczynił? Czy po to przepelniałeś ponad miarę moje serce, aby potem przyjść niczym śmierć i zabrać to, com kochała? O Panie, jakże jestem ślepa! Jak bezbronna i samotna!

Nieszczęsny Kaleb zwiesił głowę i milczał; jedyną jego odpowiedzią była skrucha i smutek.

Ale niedługo trwała Berta w tej bezbrzeżnej żałości, gdyż nagle rozległ się głos świerszcza za kominem, przez nią tylko słyszany. Nie był to świerkot wesoły, lecz cichutki, słaby, zawożdżący. Tak wielka brzmiała w nim boleść, że łyzy jąły toczyć się po policzkach dziewczyny; a gdy postać baśniowa, która noc całą nie opuszczała woźnicy, stanęła za nią i wskazała na ojca, łyzy jak groch trysnęły jej z oczu.

Niebawem usłyszała wyraźniejszy głos świerszcza, a choć była ślepa, wiedziała, że postać baśniowa krąży w pobliżu jej ojca.

– Mary! – odezwała się niewidoma dziewczyna. – Powiedz mi, jaki jest mój dom. – Jaki jest naprawdę.

– Ubogie jest wasze pomieszkowanie – odparła Kropka. – Ubogie i liche. Jeszcze jedna zima, a dach i ściany nie ostoją się deszczom i wichrowi. Tak źle mieszkanie wasze jest chronione od niepogody – dodała Kropka głosem cichym, lecz wyraźnym – jak twój biedny ojciec w swoim płaszczu uszytym z worka.



Niewidoma dziewczyna, bardzo poruszona, odciągnęła na bok maleńką żonę woźnicy.

– Te podarki, które tak sobie ceniłam... które zjawiały się nieomal na każde moje żądanie i tak miłe były memu sercu... – spytała drżąc na całym ciele. – Od kogo one były? Tyś je przysłała?

– Nie.

– Więc kto?

Rozumiejąc, że Berta domyśliła się prawdy, Kropka milczała. Niewidoma dziewczyna ponownie zakryła twarz dłońmi. Lecz jakże inny był to teraz gest!

– Mary droga, jeszcze jedno. Odsuńmy się trochę. O, stańmy tu. I mów cichutko. Będziesz mówiła prawdę, wiem. Nie oszukasz mnie. Mary?

– Nie, Berto, nie oszukam cię.

– Pewna jestem tego. Zbyt wiele masz dla mnie w sercu litości. Mary, spójrz w tamten kąt izby, gdzie byliśmy przed chwilą, gdzie jest teraz mój ojciec... mój ojczulek, który tak mnie kocha, tak mi współczuje... i powiedz, Mary, co widzisz.

– Widzę – odparła Kropka, w lot ją zrozumiałwszy – starego człowieka, który smutnie pochylony siedzi na krześle, ręką podparłszy głowę. Myślę, Berto, że jego dziecko nie powinno odmówić mu pociechy.

– Tak, tak. Zaraz do niego pójde. Mów dalej.

– Jest to człowiek stary, sterany pracą i troskami. Człowiek wychudły, znękany, smutny, posiwiasty. Widzę go, jak przybity i zniechęcony poddał się pustce, co go otacza. Ale widywałam go, Berto, wiele, wiele razy, jak nie szczędząc wysiłków dzielnie walczył o jedną wielką, świętą dla niego sprawę. Więc szanuję i błogosławię tę jego głowę siwą!

Niewidoma dziewczyna puściła dłoń Kropki, podbiegłszy do ojca rzuciła się przed nim na kolana i przytuliła jego siwą głowę do piersi.

– Odzyskałam wzrok! Odzyskałam! – wykrzyknęła. – Byłam ślepa, ale teraz widzę! Dotąd cię nie znałam, ojcze! Pomyśleć tylko, że mogła być umrzeć, nigdy nie zobaczywszy naprawdę mojego ojczulka, który tak wielką obdarzył mnie miłością!

Żadne słowa opisać by nie zdołały wzruszenia Kaleba.

– Nie znajdzie się na tym świecie człowiek choćby najwspanialszy – zawołała niewidoma dziewczyna, wciąż trzymając ojca w objęciach – którego mogłabym kochać tak gorąco, jak ciebie, i któremu mogłabym poświęcić wszystkie uczucia! Im bielsze są twoje włosy, ojczulku, im bardziej znużona twarz, tym mi jesteś droższy! Niech nikt teraz nie powie, że jestem ślepa! Nie ma jednej zmarszczki na twojej twarzy, jednego włosa na głowie, o którym nie wspomniałabym w moich modłach do Boga!

Kaleb zdołał wykrztusić dwa tylko słowa: – Berto droga!

– A ja w swej ślepotcie wierzyłam ci, ojcze – ciągnęła dziewczyna pieszcząc go i roniąc łzy najczystszej miłości – żeś taki jest inny! Choć byłeś przy mnie bezustannie, dzień po dniu, zawsze troskliwy i dbały, nie domyślałam się niczego!

– Dziarski, pięknie odziany ojciec w błękitnym płaszczu, Berto! – rzekł biedny Kaleb. – Ot, przepadł bez śladu!

– Nic nie przepadło – odparła. – Nic, najdroższy ojczulku. Wszystko zostało – w tobie. Ojciec, którego zawsze kochałam gorąco. Ojciec, którego nigdy dość nie kochałam i nigdy naprawdę nie znałam. Mój dobroczyńca, com go od maleńkości nauczyła się czcić i miłować, bo zawsze okazywał mi tak wielkie współczucie. Wszystko to zostało – w tobie. Nic dla mnie nie umarło. Sama treść tego, co zawsze najdroższe było memu sercu, jest tutaj, w tobie, choć twarz masz znużoną i siwe włosy. A ja nie jestem ślepa, ojczulku, już nie jestem!

Podczas tej rozmowy cała uwaga Kropki skupiła się na ojcu i córce; ale gdy spojrzawszy w pewnej chwili na małego kosiarza, który kosił mauretańską łąkę, zobaczyła, że za kilka minut zegar wybije godzinę, popadła w osobliwą nerwowość i podniecenie.

– Ojczulku! – rzekła Berta. – Mary!

– Słucham cię, córeczko. Mary stoi tuż przy tobie.  
– Ona nie jest chyba inna? Nie mówiłaś mi o niej niczego, co by nie było prawdą?  
– Obawiam się, Berto, że zrobiłbym to – odparł Kaleb – gdybym mógł uczynić ją lepszą. Ale zmieniałbym Mary na gorsze, gdybym ją choć trochę przeinaczył. Na nic by się zdało, Berto, poprawiać doskonałość.

Choć zadając owo pytanie niewidoma dziewczyna nie żywiła żadnych wątpliwości, to przecie zachwycający był to widok, gdy usłyszawszy odpowiedź, z dumą i radością objęła Kropkę.

– Nadejść mogą inne jeszcze zmiany – ozwała się Kropka. – Naturalnie zmiany na lepsze. Zmiany, które niektórym spośród nas przyniosą wielkie wesele. Pamiętaj, Berto, że gdyby się coś niezwykłego zdarzyło, nie powinnaś ulegać zbyt gwałtownym wzruszeniom. Czy to sły-chać skrzyp kół na drodze? Masz dobry słuch, Berto. Czy to skrzyp kół?

– Ktoś jedzie bardzo szybko.

– Wiem, że... że... że masz dobry słuch – rzekła Kropka przyciskając rękę do serca, jak gdyby chciała szybkimi słowami zagłuszyć jego gwałtowne bicie – bom nieraz miała okazję przekonać się o tym i bo wczoraj tak bez chwili wahania poznałaś te obce kroki... Choć nie pojmuję, doprawdy, czemu spytałaś... a pamiętam dobrze twoje pytanie... „Czyje to kroki?” i czemu one właśnie zwróciły twoją uwagę. Choć, jakem to dopiero co mówiła, na świecie zachodzą niekiedy wielkie zmiany. Wielkie. A ludzie powinni być przygotowani, że na każdym kroku może ich spotkać niespodzianka.

Kaleb zastanawiał się, co też słowa Kropki mogą znaczyć, spostrzegł bowiem, że zwraca się nie tylko do Bertę, lecz także do niego. Zdumiony patrzył, jak w rozterce i pomieszaniu z trudem łapie oddech, jak czepia się krzesła, aby nie upaść.

– Tak, to stukot kół na drodze! – rzekła dysząc ciężko. – Są coraz bliżej, bliżej! Są tuż. O, zatrzymały się przed furtką ogrodu. Teraz słycać kroki pod drzwiami... te same kroki, prawda, Berto? A teraz...

Z piersi Kropki wydarł się dziki okrzyk niepohamowanej radości. Podbiegła do Kaleba i zakryła mu rękami oczy, a w tej samej chwili wpadł do izby młody mężczyzna i cisnąwszy precz kapelusz podbiegł do nich.

– Czy już po wszystkim? – spytała.

– Tak.

– Udało się?

– Tak.

– Poznajesz ten głos, drogi Kalebie? Czy słyszałeś go już kiedyś? – spytała Kropka.

– Gdyby mój synek ze złotodajnej Południowej Ameryki żył jeszcze... – wyjąkał Kaleb drżąc cały.

– Żyje! Żyje! – wykrzyknęła Kropka i oderwawszy dłonie od oczu Kaleba jęła klaskać w porywie radości. – Spójrz na niego! Spójrz, stoi przed tobą, silny i zdrowy! Twój syn ukochany, Kalebie! Twój brat kochany i kochający, Berto!

Chwała małej Kropce za jej radość niepomiarną! Chwała za jej śmiech i łzy, gdy tamci troje złączyli się w uścisku! Chwała za serdeczność, z jaką zwróciła się ku młodemu żeglarzowi o spalonej słońcem twarzy i ciemnych falujących włosach i ani razu nie uchyliwszy mu różowych usteczek, pozwałała się całować, ile chciał, i tulić do serca ponad miarę przepelnionego szczęściem.

I chwała kukulce (a czemu by nie?) za to, że wypadła zza drzwi mauretańskiego pałacu niczym włamywacz i wystrzeliła swoich dwanaście „ku-ku” na zebranych, całkiem jakby była pijana radością.

Woźnica wszedł do izby i stanął zdumiony. Ale nie dziwota – znaleźć się nagle w tak dobranym towarzystwie!

– Spójrz, Johnie – zawołał Kaleb głosem nabrzmiałym radością. – Spójrz tylko! Mój syne-

czek ze złotodajnej Południowej Ameryki! Mój syneczek, któregoś sam zaopatrzył na drogę i wyprawił w świat! Mój syneczek, któremuś tak wielką zawsze okazywał przyjaźń!

Wóznica postąpił naprzód, chcąc ująć go za rękę; lecz nagle coś w twarzy młodzieńca przywiodło mu na myśl starego jegomościa z wozu, cofnął się więc i spytał:

– Edward! Więc to ty byłeś?

– Powiedz mu wszystko, Edwardzie! – zawołała Kropka. – Powiedz mu wszystko i nie oszczędzaj mnie, bo nic już na świecie nie skłoni mnie do nieszczerości wobec niego.

– Tak, to ja byłem.

– I ty wkradłeś się w przebraniu do domu swego starego przyjaciela! – zawołał wóznica. – Znałem cię ongiś jako chłopca uczciwego (ile to lat minęło, Kalebie, odkąd doniesiono nam o jego śmierci, i to z taką pewnością, żeśmy w tę wieść uwierzyli?)... który nie splamiłby się nigdy podobnym czynem.

– Miałem kiedyś przyjaciela szlachetnego, który bardziej mi był ojcem niżli przyjacielem – rzekł Edward. – Człowiek ów nie sądziłby nikogo, zanimby go nie wysłuchał. Tyś nim był, Johnie. Dlatego pewien jestem, że zechcesz mnie teraz wysłuchać.

Wóznica, zwróciwszy zatroskane spojrzenie na Kropkę, która nadal trzymała się od niego z daleka, odparł: – Hm, słuszne żądanie. Mów, Edwardzie.

– A więc musisz wiedzieć, że kiedy wyjeżdżałem stąd jako młody chłopiec, kochałem, i to kochałem z wzajemnością. Wybranka moja była bardzo wtedy młoda i może gotów jesteś pomyśleć, że nie znała swoich uczuć. Ale ja znałem swoje i miłowałem ją całą duszą.

– Ty! – zawołał wóznica. – Ty!

– Ja – odparł tamten. – A ona była mi wzajemna. Zawsze wierzyłem, że mnie kocha, teraz zaś jestem tego pewien.

– Boże, zmiłuj się nade mną! – rzekł wóznica. – To straszniejsze jest niż wszystko inne!

– Wierny swej miłości wracałem z nadzieją w sercu – ciągnął Edward. – Wracałem po licznych trudach i niebezpieczeństwach, aby dotrzymać dawnej umowy. Ale już w odległości mil dwudziestu dowiedziałem się, że ukochana moja nie dochowała mi wiary, że o mnie zapomniła, że przeniosła swe uczucia na innego, który znacznie jest bogatszy ode mnie. Nie zamierzałem czynić jej wyrzutów. Chciałem ją jednak zobaczyć, przekonać się, czy to na pewno jest prawdą. Miałem nadzieję, że może zmuszono ją do tego związku, wbrew własnym jej chęciom i mimo wspomnień naszej miłości. Pomyślałem, że acz niewielką, zawsze będzie to dla mnie pewną pociechą, więc też puściłem się w dalszą drogę. Aby poznać prawdę, całą prawdę. Aby patrzeć swobodnie i wydać swobodny sąd, bez nijakich przeszkód, a także nie wywierając na nią wpływu (jeśli posiadał takowy). Przebrałem się przeto – wiesz jak. I czekałem na drodze – wiesz gdzie.

Nie wzbudziłem w tobie żadnych podejrzeń. Ani też... ani też ona – tu wskazał na Kropkę – niczego się nie domyśliła, pókim nie szepnął jej kilku słów przy kominie, kiedy to o mało co mnie nie wydała.

– Ale jak zobaczyła, że Edward żyje – zaszlochała Kropka przemawiając teraz we własnym imieniu, do czego aż się rwała, gdy Edward mówił – i kiedy się dowiedziała, w jakim przybył celu, poradziła mu, aby pod żadnym pozorem nie wyjawiał swego sekretu, gdyż stary jego przyjaciel, John Peerybingle, niechybnie go zdradzi, bo nazbyt szczerą ma naturę, bo niezdatny jest do wszelkich forteli, ponieważ w ogóle straszna z niego niezdarą – dodała Kropka śmiejąc się i płacząc na przemian. – I gdy ona... to jest ja, John... powiedziała mu wszystko, jak to jego ukochana była pewna, że on nie żyje... Jak w końcu po długich namowach jej matka zdołała ją nakłonić do małżeństwa, które ta niemądra staruszka uważała za doskonałą partię. I kiedy ona... to jest znowu ja, John... – zaszlochała maleńka Kropka – powiedziała mu, że ślub jeszcze się nie odbył (choć miał się odbyć na dniach) i że małżeństwo to będzie jeno ofiarą ze strony jego ukochanej, gdyż nie ma w jej sercu miłości... I kiedy on o mało co nie oszalał ze szczęścia, wtedy ona... to jest znowu ja, John... powiedziała mu, że

będzie między nimi pośredniczyć, jak to nieraz czyniła za dawnych lat, i wybada jego ukochaną. I upewni się, czy ona... to jest znowu ja... nie myli się w swoich przypuszczeniach. I nie myliła się, John! I oni się na powrót spotkali, John! I wzięli ślub przed godziną! I panna młoda właśnie teraz weszła! I niech sobie stary Gruff i Tackleton umrze w kawalerskim stanie. A ja jestem najszczęśliwszą kobietą na świecie! May, niech cię Bóg błogosławi!

Była także kobietą uroczą, jeśli ma to coś do rzeczy; nigdy zaś nie była tak uroczą, jak w swym obecnym radosnym uniesieniu. Nigdy też nikt nie wypowiadał gratulacji tak serdecznych i tak zachwycających jak te, którymi obsypała hojnie pannę młodą i siebie.

Zacny woźnica stał jak osłupiały, gdy w sercu huczała mu nawałnica uczuć. Lecz kiedy po chwili rzucił się do Kropki, ona zatrzymała go wyciągnąwszy rękę i jak przedtem cofnęła się o kilka kroków.

– Nie, John, nie! Musisz wysłuchać wszystkiego! Nie możesz mnie kochać, dopóki nie wysłuchasz uważnie każdego słowa, które chcę ci powiedzieć. Niegodziwie postąpiłam, że miałam przed tobą sekrety. Przykro mi, Johnie. Ale nie myślałam, że robię coś złego, pókim wczoraj wieczór nie usiadła obok ciebie na małym stołeczku. Ale kiedy z wyrazu twojej twarzy zrozumiałam, żeś nas widział w składzie, i kiedy odgadłam twoje myśli, pojęłam wnet, jak płochy, jak nikczemnie postąpiłam. Ale Johnie, o Johnie, drogi, jak mogłeś... jak mogłeś tak pomyśleć!

Biedna maleńka Kropka! Jakże żalosnym wybuchnęła szlochem! John Peerybingle rad byłby pochwyć ją w ramiona. Ale nie! Ani myślała mu na to pozwolić.

– Nie kochaj mnie jeszcze, Johnie! Jeszcze nie tak zaraz. Smuciłam się z powodu tego zamierzonego małżeństwa, Johnie drogi, ponieważ pamiętałam Edwarda i May, kiedy byli jeszcze bardzo młodzi i bardzo zakochani. I ponieważ wiedziałam, że serce May obojętne jest dla Tackletona. Wierzysz mi teraz, Johnie? Prawda, że mi wierzysz?

W odpowiedzi na to pytanie John zamierzał przypuścić do Kropki nowy szturm, lecz ona i tym razem go powstrzymała.

– Nie, nie, John! Proszę cię, stój, gdzie stoisz! Kiedy czasem śmieję się z ciebie, Johnie, i mówię, że jesteś niezdara albo stary kochany osioł, albo coś w tym rodzaju, to dlatego, Johnie, że cię tak okropnie kocham i że lubię cię takim, jaki jesteś, i nie chciałabym, abyś się zmienił nawet na jotę – choćbyś za tę cenę miał jutro zostać królem!

– Hura! – rzekł Kaleb z niezwykłą u niego energią. – Takie jest również moje zdanie.

– A kiedy mówię, Johnie, o ludziach niemłodych i udaję, że jesteśmy małżeństwem nudnym i prowadzącym życie monotonne, to robię to dlatego, Johnie, że straszny ze mnie głuptas i wiesz, jak lubię czasem bawić się w niemowlę albo w coś takiego. I udawać, że to naprawdę.

Zobaczyła, że znowu rusza ku niej, i znowu go powstrzymała; lecz niewiele brakowało, a byłby ją wyprzedził.

– Nie, nie! Nie kochaj mnie jeszcze przez kilka minut, John! Proszę cię! To, co najbardziej chciałam ci powiedzieć, zostawiłam na ostatek. Mój drogi, szlachetny, dobry Johnie – kiedyśmy tamtego wieczora rozmawiali o świerszczu, już-już chciałam ci powiedzieć, że z początku nie kochałam cię tak serdecznie, jak kocham cię teraz, że kiedy przyprowadziłeś mnie do swego domu, bałam się trochę, że nie pokocham cię tak gorąco, jak miałam nadzieję cię pokochać – byłam przecie taka młoda! Ale z każdym dniem, z każdą godziną, drogi Johnie, wzrastała moja miłość do ciebie. Gdybym zaś mogła kochać cię więcej, niżli cię kochałam, uczyniłabym to pod wpływem szlachetnych słów, któreś wypowiedział dziś z rana. Ale nie mogę. Wszystką moją miłość (a było jej dużo) oddałam ci, jak na to zasługujesz, dawno, bardzo dawno temu – i nic już nie mam do dania. Teraz, drogi mój mężu, przytul mnie do serca! Ten dom jest moim domem! I niech ci nigdy, nigdy nie przychodzi do głowy dokądkolwiek mnie stąd wyprawiać.

Nigdy też widok ślicznej młodej kobiety w objęciach innego mężczyzny nie mógłby wam sprawić takiego ukontentowania, jakiego doznalibyście patrząc na Kropkę, gdy rzuciła się w ramiona woźnicy. Była w tym uczynku najpełniejsza, najbardziej żywiołowa i sercem dyktowana szczerość, jaką widzieliście w życiu!

Nie wątpicie zapewne, że woźnica popadł w stan absolutnej szczęśliwości; to samo można rzec o Kropce. To samo można rzec o wszystkich, nie wyłączając panny Slowboy, która wylewała obficie łzy radości, pragnąc zaś, aby jej młodociany wychowanek uczestniczył w ogólnej wymianie życzeń, podawała go kolejno z rąk do rąk – zupełnie jakby to było coś do picia.

Ale oto ponownie rozległ się stukot kół przed domem i ktoś zawołał, że Gruff i Tackleton wraca. Niebawem też zjawił się w izbie ów godny dżentelmen, wyraźnie zirytowany i podniecony.

– Hej, Johnnie, co to, u wszystkich diabłów, znaczy? – zawołał. – Zaszło widać jakieś nieporozumienie. Umówiłem się z przyszłą panią Tackleton w kościele, a tymczasem głowę dam, że spotkałem ją w drodze, jadącą tutaj. A, oto ona! Przepraszam pana – nie miałem dotąd przyjemności go poznać. Ale może zechciałby pan łaskawie ustąpić mi tę młodą damę, gdyż dzisiejszego ranka ma ona do załatwienia dość szczególną sprawę.

– Kiedy doprawdy nie mogę jej panu ustąpić – odparł Edward. – Żadną miarą nie mogę.

– Co to ma znaczyć, ty przybłędo? – warknął Tackleton.

– To ma znaczyć, że choć gotów jestem zrozumieć pana gniew – rzekł uśmiechając się Edward – to jednak tak jestem głuchy dzisiejszego ranka na wszelkie zaczepki, jak byłem wczoraj głuchy na wszystkie rozmowy wokół mnie prowadzone.

Ach, jakże ten Tackleton spojrział na Edwarda i jak się zdumiał!

– Przykro mi, panie – ciągnął Edward pokazując mu lewą rękę May, zwłaszcza zaś trzeci palec tej ręki – że ta młoda dama nie może panu towarzyszyć do kościoła. Ale ponieważ była tam już dzisiaj, zechce ją pan zapewne usprawiedliwić.

Tackleton bacznie się przez chwilę wpatrywał w ów trzeci palec, po czym wyjął z kieszeni maluchną paczuszkę owiniętą w bibułę i zawierającą, jak można się było domyślić, obrączkę.

– Panno Slowboy – ozwał się – czy zechcesz to łaskawie wrzucić do ognia? Dziękuję.

– Niech mi pan wierzy – powiedział Edward – że dawne, bardzo dawne zobowiązanie przeszkodziło mojej żonie spotkać się z panem w kościele.

– Pan Tackleton zechce zapewne przyznać sprawiedliwie, że mu wyznała wszystko, nie przed nim nie skrywając. Oraz że wspominała mu wiele razy, iż nigdy tamtego zapomnieć nie zdołał – rzekła May oblewając się rumieńcem.

– Och, naturalnie! – mruknął Tackleton. – Och, oczywiście! Wszystko w porządku. Tak, tak. Pani Edwardowa Plummer, jeśli się nie mylę?

– Ni mniej, ni więcej – odparł oblubieniec.

– Hm, nigdy bym pana nie poznał – rzekł Tackleton przyglądając się uważnie Edwardowi i składając przed nim głęboki ukłon. – Życzę szczęścia.

– Dziękuję.

– Otóż przykro mi, proszę pani – powiedział Tackleton zwracając się niespodziewanie do Kropki, stojącej u boku męża. – To prawda, że kiepską wyświadczyła mi pani przysługę, ale mimo to, dalibóg, przykro mi! Jesteś pani lepsza, niż myślałem. Wybacz mi, Johnnie. Rozumiesz mnie zapewne, a to wystarczy. Wszystko jest w porządku, panie i panowie, w najlepszym porządku. Żegnam!

I tak, nadrabiając miną, zakończył przemówienie i wyniósł się z izby. Przed furką przystanął na chwilę, aby zdjąć kwiaty i wstążki ze łba konia i dać zwierzęciu kuksańca w bok, informując je w ten sposób, że coś się w jego, to jest Tackletonowych planach pokręciło.

Naturalnie wynikał teraz dla wszystkich nie tyle jakiś obowiązek uczynienia z tego dnia takiego dnia uroczystego i świątecznego, jaki po wsze czasy upamiętniłby owe wypadki w kalendarzu rodziny Peerybingle'ów. Przeto Kropka jeła przygotowywać biesiadę, która winna była przynieść chwałę nieśmiertelną wszystkim jej uczestnikom i całemu domowi; niebawem zaś ręce unurzane miała aż po pulchne łokcie w mące. Bielila przy tym surdut woźnicy, ilekroć bowiem znalazł się on w jej pobliżu, zatrzymywała go i obdarzała pocałunkiem. Zaczyna

ten człowiek płukał jarzyny, obierał brukiew, tłukł talerze, przewracał garnuszki pełne zimnej wody stojące na kominie i starał się być pomocny na wszelkie możliwe sposoby. Tymczasem dwie wykwalifikowane siły kuchenne, wezwane z sąsiedztwa z takim pośpiechem, jak gdyby zależało od tego czyjeś życie, bezustannie wpadały na siebie we wszystkich drzwiach i wyskakiwały na siebie zza wszystkich węglów, każdy zaś z obecnych dosłownie co krok się potykał o Tilly Slowboy i niemowlę. Tilly przeszła samą siebie. Jej wszechobecność wywoływała ogólny podziw. O godzinie drugiej minut dwadzieścia pięć Tilly była w korytarzyku kamieniem tarasującym przejście; wilczym dołem była w kuchni dokładnie o godzinie drugiej minut trzydzieści, straszliwą zaś pułapką na strychu – o godzinie drugiej trzydzieści pięć. W ten sposób głowa niemowlęcia stała się niejako kamieniem probierczym dla wszelkiego rodzaju materii świata zwierzęcego, roślinnego i minerałów. Każda rzecz będąca tego dnia w użyciu zawarła z biedną tą główką bliską zaiste znajomość!

Potem zorganizowano wielką ekspedycję, która miała za zadanie wyruszyć w świat i odszukać panią Fielding; następnie okazać tej wykwintnej damie wzruszającą skruchę; i wreszcie przyprowadzić ją, choćby przemocą, aby weseliła się i przebaczyła winnym. Gdy ekspedycja odnalazła zaginioną, ta nie chciała przystać początkowo na żadne warunki, a tylko powtarzała niezliczoną ilość razy, że to straszne, iż musiała w ogóle dożyć takiego dnia. Poza tym nie zdołano z niej wydusić innych słów, jak tylko: – Złóżcie mnie teraz do grobu! – co wydawało się czystym nonsensem, ponieważ wcale nie była nieżywa ani nic takiego. Po pewnym czasie, popadłszy w stan przerażającego spokoju, rzekła, że gdy zaszły w handlu indygo owe niefortunne okoliczności, zaraz przewidziała, iż przez całe życie narażona będzie na najrozmaitsze zniewagi i obelgi; że rada jest, iż sprawdziły się jej przypuszczenia; i na ostatku, że prosi ich usilnie, aby przestali się o nią kłopotać (kim bowiem jest ona? Och, Boże, nikim!), aby zapomnieli, że taka nędzna istota przebywa na ziemi, i wreszcie, aby pominąwszy jej osobę, wedle własnej chęci ułożyli sobie życie. Z owego sarkazmu zaprawionego goryczą przeszła prosto w gniew, w którym to stanie wygłosiła epokową zaiste prawdę, że nawet robaka zaboli, kiedy go nadepną; wreszcie poddawszy się fali łagodnego smutku powiedziała, że gdyby jej zaufali – Boże miły, jakich by to ona mogła była udzielić im rad! Wykorzystawszy zręcznie ów moment zwrotny w uczuciach zacnej damy ekspedycja porwała ją w ramiona; niebawem zaś pani Fielding, w rękawiczkach, zdążyła do domu Johna Peerybingle'a niczym uosobienie nieskazitelnej wytworności; obok niej na siedzeniu spoczywał owinięty w papier czepek paradny, tak nieomal wysoki i tak sztywny, jak książęca mitra.

Przybyć także mieli rodzice Kropki w innej małej bryczuszce; no i spóźnili się, i wszyscy wypowiadali w związku z tym rozmaite swoje obawy, i wciąż ktoś wyglądał na drogę, a pani Fielding za każdym razem patrzyła w niewłaściwym i absolutnie nieprawdopodobnym kierunku. Gdy ją zaś o tym powiadomiono, wyraziła nadzieję, że wolno jej chyba patrzeć tam, gdzie ma ochotę. Wreszcie rodzice Kropki przyjechali; para okrągłutkich malutkich starszków o rozbajającym pełnym serdeczności obejściu, które cechowało całą snadź Kropkową rodzinę. Aż zachwył brał, gdy się spojrzano na Kropkę stojącą u boku matki; tak bardzo były do siebie podobne.

Teraz matka Kropki musiała odnowić znajomość z matką May, przy czym matka May cały czas stała na pozycjach swojej wytworności; matka zaś Kropki nie stała na niczym innym, prócz swych malutkich, ruchliwych nóżek. Stary Kropka, jeśli wolno tak nazwać ojca Kropki (zapomniałem, że nie jest to jego nazwisko, ale mniejsza o to), stanowczo za dużo sobie pozwalał. Wymieniał uściski dłoni zaraz przy poznaniu, uważał, zdaje się, że czepek to... no cóż, to tylko nakrochmalony muślin, dla handlu indygo zaś najmniejszego nie okazał poszanowania, mówiąc tylko, że i tak żadnej już nie ma na te sprawy rady. Ale w ostatecznej ocenie pani Fielding uznała go za człowieka zacnego, tylko – och – jakże pospolitego!

Za żadne skarby świata nie wyrzekłbym się widoku Kropki w ślubnej sukni (szczęść ci Boże, Kropko, za tę twoją twarzyczkę promienną) czyniącej honory domu; ani widoku zacne-

go woźnicy, który jowialny i rumiany siedział na końcu stołu. Ani widoku dzielnego żeglarza o spalonej słońcem twarzy i nadobnej jego żony. Ani w ogóle widoku żadnego spośród biesiadników. Wyrzec się obiadu, znaczyłoby odmówić sobie posiłku najsolidniejszego i najmiłszego, jaki człowiek spożyć może; wyrzec się zaś kielichów nalanych aż po brzegi, którymi biesiadnicy spełniali weselne toasty – cóż, byłoby to największe ze wszystkich wyrzeczeń.

Po obiedzie Kaleb zaintonował pieśń o spienionym pucharze wina. I jakim żyw, w którym to stanie przebywać mam nadzieję przez kilka najbliższych lat – dośpiewali ją do samiutkiego końca!

A niebawem, w chwili gdy Kaleb kończył ostatnią zwrotkę pieśni, zaszedł przypadek najmniej oczekiwany na świecie.

Rozległo się pukanie i do izby ciężkim krokiem wszedł – nie spytawszy ani czy można, ani czy wolno – mężczyzna niosący na głowie jakiś pokaźny pakunek. Umieścił go na samym środku stołu, nie naruszywszy symetrii znajdujących się tam jabłek i orzechów, po czym przemówił tymi słowami:

– Pan Tackleton zasyła ukłony, a ponieważ tort nie jest mu potrzebny, może państwo go zjecie.

Co powiedziawszy wyszedł z izby.

Domyślcie się zapewne, że wszystkich ogarnęło wielkie zdumienie. Pani Fielding, odznaczająca się niespotykaną wprost bystrością sądów, wyraziła przypuszczenie, że tort jest zatruty, i przytoczyła opowieść o torcie, po którego spożyciu zsiniała całutka bodajże pensja dla młodych panien. Lecz biesiadnicy przegłosowali panią Fielding jednomyślnie, po czym May radośnie, lecz z zachowaniem należytego ceremoniału, pokrajała tort.

Nie sądzę, aby ktokolwiek zdążył go spróbować, gdy znowu rozległo się pukanie i do izby wszedł ten sam posłaniec, niosąc pod pachą dużą paczkę owiniętą w papier.

– Pan Tackleton przesyła ukłony i kilka zabawek dla niemowlęcia. Nie są brzydkie.

Wygłosiwszy powyższą opinię posłaniec znów opuścił izbę.

Biesiadnicy niemałe napotkaliby trudności, zanim zdołaliby znaleźć słowa trafnie wyrażające ich zdumienie – nawet gdyby mieli czas ich szukać. Ale czasu nie mieli wcale. Zaledwie bowiem drzwi zamknęły się za posłańcem, znowu usłyszano pukanie i na progu stanął Tackleton we własnej osobie.

– Przykro mi, proszę pani – rzekł fabrykant zwracając się do Kropki. – Bardziej mi teraz przykro niżli dzisiejszego ranka. Miałem czas dokładnie wszystko przemyśleć. Posłuchaj, Johnie! Usposobienie mam zgryźliwe, ale choćbym nawet nie chciał, muszę złagodnieć w obcowaniu z człowiekiem twojego pokroju. Kaleb! Ta piastunka w nieświadomości swojej napomknęła wczoraj wieczorem o czymś, czego potem doszedłem po nici. Czerwienię się, kiedy pomyślę, jak łatwo mogłem przywiązać do siebie córkę twoją i ciebie i jak wielkiej dowiodłem głupoty, gdym ją uważał za osobę niespełna rozumu. Przyjaciele, w domu moim bardzo jest dzisiaj pusto i samotnie. Nie ma w nim nawet świerszcza za kominem. Odstrąszyłem je wszystkie. Bądźcie mi łaskawi, przyjaciele. Pozwólcie, bym uczestniczył w tej weselnej biesiadzie.

Po pięciu minutach czuł się jak ryba w wodzie. W życiu nie widzieliście takiego osobnika! Cóż też on robił ze sobą całe życie, iż się nawet nie domyślał, że tak przeogromne tkwią w nim zadatki na człowieka jowialnego! A może to duszki domowe zrobiły, że raptem zaszła w nim tak zdumiewająca przemiana?

– John! Nie odeślesz mnie dziś wieczór do domu? Powiedz, Johnie! – wyszeptała Kropka. Niewiele brakowało, a byłby ją odesłał! Jeszcze jedna tylko żywa istota, a towarzystwo będzie w komplecie. No i w mgnieniu oka zjawił się, i zziąjany po długim bieganiu podjął beznadziejne próby wciśnięcia łba w wąską szyjkę dzbana. Towarzyszył wozowi aż do końca podróży, rozgoryczony nieobecnością pana i jawnie buntowniczy względem jego zastępcy. Pokręciwszy się chwilę w pobliżu stajni, gdzie na próżno usiłował nakłonić wiekowego konia

do rebelii, to jest do samowolnego powrotu na drogę, poszedł do izby, gdzie warzono zwykle piwo, i położył się obok komina. Lecz wykoncypowawszy sobie nagle, że zastępca pana jest zwykłym oszustem, którego czym prędzej należy opuścić, wstał, odwrócił się doń ogonem i powędrował do domu.

Wieczorem odbyły się tańce. Na którym to ogólnikowym napomknieniu zakończyłbym chyba tę opowieść, gdyby nie pewne podstawy do przypuszczeń, że tańce owe odznaczały się niezwykłą oryginalnością i ułożone były z niespotykanych figur. Oto jak osobliwy był ich układ: Edward, ten żeglarz, wiecie – chłopak miły, swobodny w obejściu i dziarski – opowiadał różne cuda o papugach, kopalniach, Meksykanach i złotym piasku, gdy nagle strzeliło mu do głowy, aby zerwać się z krzesła i zaproponować tańce. Harfa Berty znajdowała się w izbie, a rzadko moglibyście usłyszeć grę piękniejszą niżli ta, co spod jej płynęła palców. Kropka (chytra mała komediantka, kiedy jej to dogadzało) rzekła, iż dawno minęły owe dni, gdy zwykła była tańczyć; moim zdaniem powiedziała to dlatego, że woźnica palił fajkę, ona zaś nadzwyczajnie lubiła siedzieć u jego boku. Usłyszawszy słowa Kropki pani Fielding nie mogła naturalnie uczynić nic innego, jak tylko rzec, iż dawno minęły te dni, kiedy ona zwykła była tańczyć; i wszyscy mówili to samo, prócz jednej May. May aż rwała się do tańca.

Przeto May i Edward wstali wśród głośnych oklasków i zatańczyli w jedną parę. Berta grała im najskoczniejszą ze znanych sobie melodii.

Wierzcie mi albo nie wierzcie, lecz tańczyli pięć najwyżej minut, gdy nagle woźnica odrzuca precz fajkę, chwyta Kropkę wpół, wyskakuje z nią na środek izby i jak nie zacznie przytupywać i hasać – no, po prostu cudownie! Zaledwie Tackleton to zobaczył, podbiega do pani Fielding, obejmuje jej kibić i dalej za tamtymi w tany. Zaledwie stary pan Kropka to zobaczył, zrywa się dziarsko i choć taniec dawno zaczęty, wraz z panią Kropką tańczy w pierwszej parze. Zaledwie Kaleb to zobaczył, chwyta Tilly Slowboy za obie ręce i chyżo mknie z nią na środek izby; przy czym panna Slowboy najgłębiej jest przekonana, że dawanie nura między pary i doprowadzanie do jak najczęstszych zderzeń – to jedyna reguła obowiązująca w tym tańcu.

Czy słyszycie, jak świerszcz wtóruje harfie swoim świrt, świrt, świrt? I jak imbryk gada?

Ale co to? Gdy przysłuchując im się z ukontentowaniem, zwróciłem oczy na Kropkę, aby rzucić ostatnie spojrzenie na tę postać drobną a tak dla mnie miłą, nie było już Kropki, nie było tamtych – wszyscy zniknęli, ja zaś pozostałem sam. Świerszcz świerka za kominem; połamana zabawka leży na podłodze; lecz poza tym nic już nie ma.